

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 6/405**

**1981**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

M. DANILEWICZ ZIELIŃSKA :

**FASADA, TYŁY I « POMIĘDZY »**

J. KOWALSKI : **WARIANT OPTYMISTYCZNY**

L. UNGER :

**WIDZIANE Z BRUKSELI I Z WASZYNGTONU**



## SPIS RZECZY

Redakcja:	<i>Zamach na Papieża</i> .....	3
Redakcja:	<i>Obserwatorium</i> .....	5
M. Danilewicz Zielińska:	<i>Fasada, tyły i „pomiedzy”</i> .....	12
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	31
Zygmunt Mycielski:	<i>Drugi list z Polski</i> .....	41

### WIERSZE

Pawło Tyczyna:	<i>Monolog Skowrody</i> .....	49
----------------	-------------------------------	----

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Jan Kowalski:	<i>Wariant optymistyczny</i> .....	53
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i z Waszyngtonu</i> .....	57
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i> .....	65
Andrzej Koraszewski:	<i>Pacta sunt servanda</i> .....	71

### K R A J

Anka Kowalska:	<i>W imieniu KOR-u</i> .....	79
Anatol Marek Lipiec:	<i>W strefie śmierci</i> .....	81
Stanisław Piotrowski:	<i>Jak wygląda współczesna architektura polska? (II)</i> .....	88

### SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	95
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	101
E. Zagiell:	<i>Kronika litewska</i> .....	105

### SPRAWY I TROSKI

Jerzy Jankowski:	<i>Francja wybrała nowego prezydenta</i> ..	107
------------------	---	-----

### WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	<i>Co dalej?</i> .....	113
---------	------------------------	-----

### KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Zachód w prasie sowieckiej</i> .....	117
Bronisława Karst:	<i>W poszukiwaniu samego siebie</i> .....	123
Krzysztof Zawrat:	<i>O krytyce Wita Tarnawskiego</i> .....	125
Józef Łobodowski:	<i>„Druga runda”</i> .....	128
Samuel Fiszman:	<i>„Columbia Dictionary of Modern European Literature” a Polska</i> .....	133
—	<i>Publikacje ukraińskie</i> .....	134
—	<i>Nadstawane nowości wydawnicze</i> .....	135

### WOLNA TRYBUNA

Ks. Stanisław Małkowski:	<i>Jeszcze o Kościele i Polsce</i> .....	137
--------------------------	--	-----



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	141
---	----------------------------------	-----

### N O T Y

D. M.:	<i>Prymas Węgier w roli propagandyżysty reżymu</i> .....	148
D. M.:	<i>„Pomoc Kościołowi w potrzebie” dla Polski</i> .....	149
—	<i>Spotkanie KKP z wiceministrem spraw zagranicznych PRL w Gdańsku</i> ..	150



Dr F. Kałuża, J. Łobodowski, A. Sutkowski, B. Wierzbiański:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	153
P. Iglowski:	<i>Uzupełnienie</i> .....	158

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec - Juin 1981

INSTITUT  LITERACKI



## WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Krzysztof Bandyk, Winterthur (Szwajcaria), po raz 2-gi ....	F. 40,00
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA), po raz 51-y — \$ 103,32	F. 568,20
Dla uczczenia pamięci Antoniego Krzyczkowskiego — synowa Maria Krzyczkowska i wnuczki Barbara i Anna Krzyczkow- skie — \$ 100,00 .....	F. 550,00
A. Kolator, Londyn, po raz 2-gi — £ 10,00 .....	F. 115,00
Marek Hłasko Institute, Berkeley, CA (USA) — zamiast kwia- tów na grób Marka Hłaski w 12-tą rocznicę Jego śmierci — \$ 20,00 .....	F. 110,00
Pamięci Stefana Komarnickiego w 6-tą rocznicę śmierci — Żona — £ 10,00 .....	F. 115,00
Stefan Nędzyński, Genewa, po raz 10-ty — F.S. 100,00 .....	F. 250,00
François Prause, Niamey (Republika Niger), po raz 20-ty ..	F. 100,00
Maria Rasiej, Bogota, N.J. (USA), po raz 8-my — \$ 23,00 ..	F. 126,50
J. S. Stankiewicz, Trenton, N.J. (USA), po raz 16-ty — \$ 42,00	F. 231,00
Irena Strutyńska, Knutange-Nilwange (Francja) .....	F. 100,00
Aleksander Waroczewski, Etobicoke, Ont. (Kanada), po raz 16-ty i 17-ty — \$ c. 70,00 .....	F. 290,00
Bezimiennie z Panorama, S.A. (Australia), po raz 12-ty .....	F. 300,00
Bezimiennie z USA, po raz 11-ty .....	F. 1.826,00

Hanna i Jerzy Gutkowscy, North Hollywood, CA (USA) — na lekarstwa dla Polski — \$ 100,00 .....	F. 550,00
Danuta Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — na opozycję w Polsce — \$ 100,00 (gotówką) .....	F. 550,00
W.S. z Nowego Jorku — na lekarstwa do Polski — \$ 50,00 ..	F. 275,00

DZIĘKUJEMY!

## WPLĄTY NA POMOC DLA ROBOTNIKÓW I NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z Grenoble (Francja) .....	F. 100,00
Dla uczczenia pamięci płk. Kazimierza Szternala, Ojca p. Marty Gołubiec — dar na „Solidarność” składają przyjaciele z Seattle, Wash. (USA) — \$ 105,00 .....	F. 572,75
Hanna i Jerzy Gutkowscy, North Hollywood, CA (USA) — do dyspozycji Lecha Wałęsy — \$ 100,00 .....	F. 550,00
Przekazane za pośrednictwem <i>Wiadomości Polskich</i> w Sydney na „Solidarność” M. McBridera — \$ A. 10,00, L. Satala — \$ A. 20,00 oraz na pomoc dla robotników w Polsce Z. Porębińska — \$ A. 5,00 — razem: \$ A. 35,00 ....	F. 210,00
Irena Strutyńska, Knutange-Nilwange (Francja) .....	F. 200,00
Marek Szymczak, Finlandia — zamiast kwiatów na grób brata Konrada na „Solidarność” .....	F. 61,80

(Dalszy ciąg na str. 159)

## Zamach na Papieża

Gdy piszemy te słowa, 19 maja, w dniu 61-ej rocznicy urodzin Jana Pawła II, komunikat ogłoszony przez profesora Emilio Tresalti mówi, że „zbliżamy się do chwili, gdy będziemy mogli stwierdzić, że niebezpieczeństwo minęło”.

13 maja na ekranach telewizji całego świata ukazany został — w kilkanaście minut po zamachu o 17 min. 47 — cały jego przebieg na Placu św. Piotra. Do późnej nocy mogliśmy śledzić szczegóły tych minut. Ilość ujęć włoskich, niemieckich, ilość zdjęć amatorskich, zwiększała się z każdą chwilą i świat, nie tylko chrześcijański, zamarł w oczekiwaniu. Papież ciężko ranny. Ile ran? Ile strzałów? Jeden, czy kilku zamachowców? Indywidualny czyn szaleńca-fanatyka — czy też spisek, jakaś walka ciemnych sił z perspektywami tego co ma zwyciężyć, co Jan Paweł II podjął się głosić od pierwszej chwili, przyjmując swój wybór na to zdumiewające świat stanowisko Namiestnika Chrystusowego?

Papież przewieziony natychmiast do polikliniki Agostino Gamelli — w 40 minut po zamachu poddany został operacji, która trwała blisko 5 godzin. Aż do chwili uspienia modlił się po polsku.

Nie możemy współzawodniczyć w miesięczniku z wiadomościami, które prasa codzienna podaje bez przerwy. Możemy tylko podjąć przewijający się w nielicznych pismach temat ofiary i cierpień sprawiedliwego i niewinnego. Jako pierwszy chyba, podjął ten temat arcybiskup Paryża, Lustiger.

Wśród wielu obrazów widzieliśmy zdjęcia modlących się tłumów i wzruszające obrazy z Polski, gdzie jednocześnie zdrowie Prymasa Polski, kardynała Wyszyńskiego, jest bardzo zagrożone.

Prymas Wyszyński i Jan Paweł II, dwa nazwiska, które



wybiły się na pierwszy — jakże pierwszy! — plan w dziejach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej! Paradoks? Fenomen nie do przyjęcia! Od chwili, gdy w październiku 1978 roku kardynał Karol Wojtyła błogosławił świat z balkonu bazyliki św. Piotra, zdaliśmy sobie sprawę, że od dziesięciu wieków żaden Polak nie dysponował tak uniwersalną trybuną. Jan Paweł II podkreśla i powtarza w swoich niezliczonych przemówieniach i w ciągu swoich licznych podróży po świecie tę swoją przynależność narodową, a robi to tak, że jego słowa nigdy nie potrącają o jakieś płasko-nacjonalistyczne struny. Świat dowiaduje się teraz o św. Stanisławie, o Wawelu i... Wadowicach, ale dowiaduje się też o naszych związkach z Kościołem Rzymskim i kulturą zachodnią. Jan Paweł II głosi światu nieznane mu sprawy, a Polakom pokazuje ich miejsce w kulturze i historii świata, utwierdza nas w tym, co tak bardzo jest u nas zagrożone. Jego podróż po Polsce stała się bodźcem samouświadomienia. Bez pysznej dumy, ale i bez kompleksów niższości. W momencie największej depresji gospodarczej jaką nasz kraj teraz przeżywa, zamach na Papieża zdawał się usuwać nam spod nóg jakąś *ultima irratio*, niewymierny i pozornie tylko irracjonalny fundament. Religijny, moralny, ale i polityczny. Nie można bowiem uniezależnić od siebie tych spraw. Religia, moralność, prawo, wiążą się z organizacją życia i pracy. Ich przeciwieństwa: wojujący ateizm, amoralność w życiu prywatnym i publicznym, bezprawie, wiążą się z nieudolnością i tak zwanym brakoróbstwem, niechlujstwem, choćby tylko administracyjnym. Państwowość i byt narodowy mogą u nas istnieć i przetrwać politycznie i historycznie tylko przy zachowaniu tych konstruktywnych wartości.

Alarmujące komunikaty o zdrowiu Prymasa zbiegły się z wiadomością o zamachu na życie Papieża. Napełniły nas trwogą. Trwogą o głos, który od kilku dziesięcioleci był jedynym niemal niezależnym głosem w Polsce i o głos z Trybuny Watykańskiej, który jest dziś tak rzadkim „wolnym głosem świata”.

Zamykając numer czerwcowy *Kultury* łączymy się z głosami Czytelników naszego pisma, życząc Ojcu Świętemu najszybszego powrotu do pełni sił i zdrowia.

REDAKCJA

## Obserwatorium

W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy społeczeństwo polskie odzyskało w znacznym stopniu swoją podmiotowość. Istotą tej podmiotowości stanowi możliwość decydowania, czy przynajmniej współdecydowania, o własnym losie. Ten nowy stan rzeczy stwarza szanse, których nie wolno zaprzepaścić; narzuca nieporównanie większą odpowiedzialność; w miejsce dawnych zagrożeń, wynikających z bezsily, przynosi nowe, wynikające z uzyskanych swobód.

Jakie możliwe do wykonania a zarazem niezbędne zadania stają dziś przed Polakami? Próbujemy sporządzić listę najważniejszych. Są one trojakiemu rodzaju:

- utrwalenie osiągnięć socjalnych, politycznych, prawnych i instytucjonalnych,
- przezwyciężenie kryzysu gospodarczego,
- przedsięwzięcie kroków, zabezpieczających przed nowymi zagrożeniami wewnętrznymi i zewnętrznymi.

Dwa ruchy społeczne mają szczególnie dużą możliwość wpływania na bieg wydarzeń: NSZZ Solidarność (wraz z Solidarnością Wiejską) — najpotężniejsza w naszych dziejach i najbardziej dziś prężna organizacja, oraz tzw. partyjne „struktury poziome”, skupiające najaktywniejszych zwolenników odnowy w partii.

Jakie są w chwili obecnej, naszym zdaniem, naczelnne zadania Solidarności? Usprawnić własną organizację i stworzyć trwałe podstawy dla zaufania członków wobec władz. W tym celu niezbędne jest dokończenie wyborów na wszystkich szczeblach oraz wyłonienie nowego składu ciała naczelnego, jakim jest Krajowa Komisja Porozumiewawcza. Równocześnie — pamiętając, że trzeba się w ciągu kilku miesięcy nauczyć tego, czego inni mogli się uczyć przez dziesięciolecia, to jest demokracji i wybierania



reprezentantów — należy prowadzić szeroką akcję uświadamiającą. Trzeba wyjaśniać członkom związku, że swobodnie wybrani w tajnych wyborach ich przedstawiciele uzyskują określone obowiązki, ale i prawa. Obowiązek dbania o interesy tych, którzy ich wybrali — a zarazem prawo do samodzielnego pobierania decyzji podczas okresu pełnienia swoich funkcji. Niezbędne zdaje się też wyraźniejsze określenie kompetencji członków władz zakładowych, regionalnych i centralnych Solidarności.

Działacze partyjnych struktur poziomych usiłują przekształcić PZPR — która mimo skostnienia, skompromitowania i kolaboracji z Sowietami skupia ponad trzy miliony Polaków — w autentyczną partię polityczną, posiadającą określony program, poza programem utrzymania się za wszelką cenę przy władzy. Jeżeli struktury poziome chcą uzyskać i utrzymać rzeczywisty wpływ na losy partii i państwa — stoją przed nimi zadania bardzo trudne.

Przede wszystkim: praktyczne wykorzystanie zasad demokracji wewnątrzpartyjnej i nowouzyskanych możliwości regulaminowych w przygotowaniach do zjazdu PZPR oraz w wyborach delegatów na zjazd. Tylko wyłonienie „od dołu” nowych, nie uplątanych w klikowe powiązania, nie zepsutych przez autokratyczne metody rządzenia i korupcję przywódców umożliwi wewnętrzną naprawę.

Po drugie, żądanie pociągnięcia do odpowiedzialności, nie tylko partyjnej ale i karnej, winnych nadużyć i zaniedbań, zostało spełnione tylko w małym stopniu. Dotychczasowe doświadczenie pokazuje, że komisje partyjne lub rządowe, złożone z ludzi należących do tych samych kręgów co sprawcy wykroczeń, poprzestają na powierzchownym zbadaniu niektórych tylko wypadków nadużyć. Jedynie stała presja, wyrażająca wolę całego społeczeństwa, może tę tradycję pobłażania władzy zmienić. Tylko skuteczne domaganie się śledztwa i kary może zdjąć z wszystkich szeregowych członków partii stygmat współwiny za rabowanie dobra społecznego, łamanie praworządności i rujnowanie majątku narodowego. Co więcej, tylko doprowadzenie do końca rozrachunków z winnymi może położyć kres szalejącym plotkom, cynicznym komentarzom o zastępowaniu jednej kliki złodziei przez drugą, i przekonaniu, że strajk jest jedynym sposobem wymuszania sprawiedliwości.

Po trzecie, spontaniczny, oddolny ruch w partii powinien dołożyć wszelkich starań, aby jak najprędzej objąć kontrolą działanie aparatu bezpieczeństwa. Wypadki bydgoskie, które doprowadziły Polskę na skraj katastrofy, były jaskrawym przykładem, jak łatwo jest tzw. organom ścigania sprowokować generalną

konfrontację między władzą a społeczeństwem. Bardzo liczne przypadki szantażowania, często i bicia, działaczy i współpracowników Solidarności przez milicjantów lub „nieznanych sprawców”, nie dochodzą do szerszej świadomości publicznej — ale świadczą o tym, że wielu funkcjonariuszy MSW albo daje się łatwo używać, albo jest po prostu tak wrogo nastawionych do zachodzących w kraju przemian, że gotowi są do użycia siły jeżeli tylko mogą sobie na to pozwolić. Działacze partyjnych struktur poziomych powinni o tym pamiętać we własnym interesie i zmuszać władze centralne do interwencji.

Zadania natury gospodarczej są nie mniej ważne od politycznych — a mogą okazać się znacznie trudniejsze do wykonania, ponieważ wymagać będą wyrzeczeń, ofiarności i zrozumienia całego społeczeństwa, nie tylko grup i środowisk najbardziej aktywnych i świadomych. Uważamy za najpilniejsze działanie na pięciu następujących odcinkach:

1. Mobilizacja środków materialnych i społecznych (np. przekwalifikowanie zbędnej w przemyśle siły roboczej) dla szybkiej poprawy stanu rolnictwa. Hasło „wszystko dla wsi”, które jeszcze w marcu tego roku było przez urzędujące władze rozumiane w sloganowym sensie „zadbania o terminowy remont maszyn rolniczych i zabezpieczenia ziarna siewnego” — musi zostać podjęte w rozumieniu znacznie szerszym. Nie wystarczy podniesienie cen skupu; konieczna jest radykalna poprawa zaopatrzenia, w ogóle warunków pracy i życia ludzi, pracujących na roli. Tylko taka zmiana zatrzyma odpływ najzdolniejszych i przyciągnie na wieś ludzi, gotowych do ciężkiej pracy, ale nie w warunkach urągających dzisiejszym potrzebom higienicznym i kulturalnym.

2. Wszyscy mający wpływ na podejmowane przez rząd decyzje dotyczące przesunięcia nakładów inwestycyjnych powinni pilnować, aby te bardzo ograniczone fundusze, jakimi dziś gospodarka polska dysponuje (i jakie uda się jeszcze dokończyć) były koncentrowane na usuwanie takich „wąskich gardeł”, jak energetyka i transport.

3. Obniżenie konsumpcji, podwyżka cen i ogólnie konieczność wielkich wyrzeczeń ze strony całego społeczeństwa nie mogą doprowadzić do zniszczenia pozytywnych bodźców ekonomicznych. Spowodowałoby to zahamowanie rozwoju takich dziedzin, jak drobny przemysł, rzemiosło, prywatne usługi. Te właśnie gałęzi gospodarki, najbardziej sprawne, najmniej kapitało- i materiałochłonne, powinny uzyskać możliwość szerokiego rozwoju.



Tylko one bowiem, obok indywidualnego rolnictwa, są zdolne do szybkiego zwiększenia produkcji bez wielkich nakładów inwestycyjnych i tylko one będą mogły wchłaniać część zwalnianej przez przemysł państwowy siły roboczej. Muszą więc być najszybciej uprzywatnione.

4. Minimum socjalne, zapewniające życie powyżej poziomu wyraźnego niedostatku, powinno zostać czy prędzej ustalone przez ekspertów i uzgodnione między rządem a władzami Solidarności. Dopilnowanie, aby nieunikniony spadek realnej siły nabywczej dochodów ludności nie powodował zeslizgiwania się żadnej grupy zawodowej czy społecznej, włączając bezrobotnych, poniżej minimum socjalnego, powinno być uznane za podstawowy obowiązek władz państwowych.

5. Wyrzeczenia, jakich od społeczeństwa wymaga zadanie wyjścia z kryzysu, będą bardzo dotkliwe i długotrwałe. Okazują się one konieczne w niewiele tylko miesięcy po tym, kiedy Polacy uzyskali możliwość wpływania na losy swojego kraju i wkrótce po wywalczeniu przez robotników wielu zdobyczy płacowych i bytowych. Co gorsza, wyrzeczenia te muszą nastąpić zanim jeszcze władze partyjno-rządowe zdołają osiągnąć choćby umiarkowane zaufanie społeczne. W tych warunkach przekonanie społeczeństwa o niezbędności ofiar jest zadaniem trudnym i ogromnie odpowiedzialnym.

Sugerujemy, aby Solidarność, partyjne struktury poziome, oraz np. Komisja Porozumiewawcza Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych — a więc ugrupowania posiadające autorytet społeczny — wyłoniły komisje informacyjno-nadzorcze, które uświadamiałyby ludności niezbędność wyrzeczeń, a zarazem stwierdzały, czy nie idą one na marne. Również Kościół katolicki, instytucja o największym autorytecie moralnym, mógłby w tej sprawie odegrać ogromną i pożyteczną rolę — nie angażując się w rozgrywki polityczne, ale biorąc praktyczny udział w rozwiązywaniu tak trudnego i bolesnego problemu. Być może właśnie uczestnictwo Kościoła mogłoby doprowadzić do zespolenia inicjatyw i wyłonienia jednej wspólnej „rady gwarancyjnej”, złożonej z ludzi cieszących się zaufaniem społeczeństwa i orzekającej o potrzebie i formach obniżania stopy życiowej?

Utrwalając zdobycze ostatniego roku i dążąc do zapobieżenia ostatecznej katastrofie gospodarczej — nie wolno tracić z oczu nowych niebezpieczeństw. Cztery spośród nich zdają się najważniejsze.

1. Inflacja, bezrobocie, braki w zaopatrzeniu, ogólny spadek

poziomu życia mogą wywołać masowe konflikty między grupami społecznymi a zawodowymi. Niezbędna dla spokoju publicznego współpraca może się załamać pod naporem niedostatku i rozgoryczenia. Konflikty takie będą wykorzystywane i rozdmuchiwane przez wewnętrznych i zewnętrznych wrogów zachodzących w Polsce przemian. Można się też spodziewać prób prowokowania awantur i buntów przeciwko brakom na rynku.

2. Władze partyjne i państwowe będą się starały skupiać uwagę społeczeństwa na problemach gospodarczych, odsuwając na drugi plan inne palące zagadnienia, na przykład dostęp do informacji. Będą się usiłowały wymigać od wprowadzania w życie podjętych zobowiązań, dotyczących cenzury, reformy wymiaru sprawiedliwości i swobody przekonań. Należy zachować czujność wobec prób odbierania społeczeństwu uzyskanych swobód i uprawnień pod pozorem konieczności spokoju, porządku i mobilizacji sił na sprawach gospodarczych. Partyjni konserwatyści będą się w ten sposób starali przywracać dawny styl rządzenia.

3. Przeciwnicy zaszyłych przemian wyraźnie liczą na to, że różnice zdań i temperamentów między przywódcami Solidarności, a także między ugrupowaniami zawodowymi i organizacjami regionalnymi tego związku doprowadzą do ostrych konfliktów i rozbicia. Temu celowi służy i będzie służyło rozdmuchiwanie odmienności poglądów, która jest w każdym ruchu demokratycznym zjawiskiem zupełnie naturalnym. W tym samym celu będą ponawiane próby skłócenia doradców Solidarności z kierownictwem i członkami związku.

4. Zagrożenie stanowi również stały i często brutalny nacisk z zewnątrz, zwłaszcza ze strony ZSSR, NRD i Czechosłowacji. Nacisk ten przybiera różne formy. Byłoby pożądane, aby zarówno niezależne publikacje w kraju jak nadające do Polski rozgłośnie zachodnie informowały dokładnie o atakach propagandowych i politycznych na PRL ze strony jej sąsiadów, o szykanowaniu polskich turystów, itd. Nie chodzi o rozniesienie obaw, ale o uświadamianie Polakom, jakie zarzuty wysuwają przeciw nim tzw. przyjaciele i sprzymierzeńcy. Ułatwi to zrozumienie międzynarodowego tła wewnętrznych rozgrywek partyjnych w Polsce a utrudni robotę tym, którzy posłuszeństwo wobec Kremla stawiają ponad polskie interesy narodowe.

Niewątpliwie świadomość, że próba interwencji zbrojnej w Polsce spotkałaby się ze zorganizowanym oporem robotników (o czym świadczą nieoficjalne ale szeroko znane plany strajku powszechnego i sabotażu) działa trzeźwiąco na podnieconych są-



siadów Polski. Cenne byłoby również spełnienie żądań przedstawicieli „struktur poziomych”, aby władze PZPR otwarcie i szczerze powiadamiały sąsiadów o rozmiarach, sile i celach ruchu związkowego w Polsce. Ignorancja i złudzenia są równie niebezpieczne dla nas jak dla nich.



W styczniu tego roku, podczas wizyty delegacji „Solidarności” w Rzymie, jeden ranek poświęcono na odwiedzenie Monte Cassino. Momentem najbardziej wzruszającym tych odwiedzin, momentem o głębokiej wymowie symbolicznej, był spontaniczny odruch Anny Walentynowicz. Odpięła nagle swój znaczek „Solidarności” i położyła go na płycie grobowej generała Andersa. Symboliczność tego gestu polegała naturalnie na połączeniu, zrozumiałym dla każdego Polaka, naszej historii w kraju i na obczyźnie. Każdy uczestnik bitwy montecassińskiej, oglądając tę scenę, musiał przeżywać wielki dzień w swym życiu. Dzień na który długo czekał — czy pozostawszy tu na emigracji, czy wróciwszy do kraju — razem ze wszystkimi Polakami. Ale gdyby mu powiedziano, że prochy generała Andersa winny być przewiezione nad Wisłę i złożone w jakimś narodowym sakrarium, wzruszyłby przypuszczalnie ramionami: zwycięski dowódca leży wśród swoich poległych żołnierzy, tam jest jego miejsce; i tam też, na Monte Cassino, powstało polskie sakrarium narodowe. Nie wszystkie narody mają taką historię jak nasz, nie wszystkie musiały powierzać walkę o swoją wolność i niepodległość żołnierzom na ziemi rodzinnej i żołnierzom tułaczom. A skoro mamy taką właśnie a nie inną historię, powinniśmy ją szanować. Jednym z dowodów tego szacunku byłaby zasada, że zmarli czy polegli dowódcy tułacze nie opuszczają swych żołnierzy tułaczy.

Wspomnieliśmy o generale Andersie tytułem przykładu tylko, nikt bowiem dotąd nie wysuwał propozycji przewiezienia jego prochów do kraju. Wsuwano natomiast, i to dość dawno już, propozycję przewiezienia do kraju prochów generała Sikorskiego. W dawnych latach, przed Polskim Sierpniem, wysuwały ją nawet władze PRL i to z wyraźnym odcieniem propagandowo-polemicznym: Sikorski został mianowany „dobrym” generałem i Polakiem, w przeciwieństwie do „złego” generała i Polaka Andersa. Teraz propozycja nabrała szerszego oddechu narodowego, cieszy się poparciem Kościoła, i stara się przed prochami generała Sikorskiego otworzyć bramy Wawelu. Mamy do niej dokładnie taki sam stosunek: Sikorski leży wśród swoich żołnierzy w Anglii, gdzie osiągnęła apogeum jego działalność wojskowa i polityczna, i tam jest jego miejsce. Także w Anglii nasza historia,

rozgrywająca się nad Wisłą i na obczyźnie, stworzyła nam polskie sakrarium narodowe.

Przy okazji wolno chyba zauważyć, że Wawel nie jest i nie może być czymś w rodzaju Super-Alei Zasłużonych. Jeżeli chce się uhonorować Sikorskiego nie tylko jako Wodza Naczelnego i Premiera rządu R.P. na obczyźnie, lecz również za jego zasługi wojenne w roku 1920 i polityczne przed odzyskaniem niepodległości oraz w okresie dwudziestolecia międzywojennego, to uprawniony staje się łańcuszek pytań. Jeśli Sikorski, to dlaczego nie Paderewski? Jeśli Paderewski, to dlaczego nie Dmowski? Jeśli Dmowski, to dlaczego nie Witos? Jeśli Witos, to dlaczego nie Daszyński? Nikomu, miejmy nadzieję, nie przyjdzie tu do głowy pomysł powołania się na „precedens” Piłsudskiego. Wyjątkowość roli Piłsudskiego w naszej historii jest poza dyskusją, świadczy o tym chociażby kult otaczający jego nazwisko w kraju, zarówno wśród starszych jak i wśród młodszych pokoleń.

Wawel za to, Wawel grobów królewskich, powinien być miejscem wiecznego spoczynku naszego ostatniego króla. Powinno się skończyć wreszcie poniewierka trumny Stanisława Augusta, także w imię szacunku dla naszej historii, dobrej i złej, szczęśliwej i nieszczęsnej. Że jest to ważna sprawa naszej narodowej godności (ożywiona zresztą świeżo rewizją oceny historycznej Stanisława Augusta w duchu książki Stanisława Mackiewicza), dowodzi artykuł Michała Rożka, wydrukowany kilka tygodni temu w *Tygodniku Powszechnym* (Nr 14 (1630) z 5. IV. 1981).

REDAKCJA



## Fasada, tyły i "pomiędzy"

### Współczesna literatura polska w fazie osmozy

„Jaka jest, jaka będzie polska literatura współczesna?” „Żywa czy martwa, głęboka czy płytka, prawdziwa czy na niby?” — pyta Zbigniew Mentzel w szlachetniejszej z każdym numerem *Polityce* (nr 41 z 11 października 1980) w otwierającym ożywioną polemikę artykule pt. „Mowa zależna”. Ale i on i ci, co po nim głos zabierali, rozszerzyli swoje uwagi (lub dywagacje) na całokształt krajowej sceny literackiej, koncentrując uwagę na swobodzie wypowiedzi i zgubnym wpływie cenzury i samocenzury. Z lektury periodyków literackich odnosi się wrażenie, że poczynają sobie odważniej od wydawców książek, wyraźnie dotąd zdezorientowanych. Drętwa mowa znikła nie tylko z łamów *Twórczości*, ale nawet *Nowych Książek*, a red. Sokorski, przeczekując najgorętszy okres, wydał i to z opóźnieniem podwójny zeszyt *Miesięcznika Literackiego* za październik i listopad. Miłośz okazał się w owym jesiennym przesileniu i ułatwieniem procesu odnowy i katalizatorem przemian: nie sposób go przemilczeć, konfiskować jego książek ani odmawiać mu wizy. Sprawa zelżenia cenzury wisi w powietrzu, ale odwilż na tym odcinku zaledwie naruszyła lody — nie można nawet powiedzieć, że kra płynie.

### „Fasada i tyły”

W roku 1977, z okazji Biennale weneckiego, powstała pierwsza wersja „Fasady i tyłów” Stanisława Barańczaka. Esej pod tym tytułem ukazał się w nrze 2-im *Pulsu* (powielonym w Kraju

a następnie przedrukowanym w roku ub. w Londynie i nieco wcześniej w tomie szkiców pt. „Etyka i poetyka” wydanym w Paryżu jako tom 303 Biblioteki *Kultury*). W legalnych wydawnictwach krajowych nie ukazał się dotąd, co mu nie przeszkodziło, a nawet pomogło, zrobić fantastyczną karierę. „Fasada” i „tyły” weszły w nadany im przez autora znaczeniu do mowy potocznej Kraju i Emigracji.

„Fasada”, odpowiednik „wsi potiomkinowskich”, w odniesieniu do piśmiennictwa PRL’u oznacza „system złudzeń i makiet konstruowany na użytek zewnętrznego obserwatora, a mający za zadanie wywoływać wrażenie, że wszystko jest w porządku, że kraj kwitnie a obywatele są zadowoleni”. Fasada wygląda dziś jak uliczny kiosk paryski ze strzępami afiszów po jesiennej wichurze; podtrzymują ją jeszcze pokiereszowane kolumny: „Sokorski”, „Putrament”, „Bratny”, „Żukrowski” nie dające się objąć odnową.

Za „fasadą” umieścił Barańczak „tyły”, na których panowała się już w roku 1977 „kultura nieoficjalna” w „sporym budynku” uzupełnionym „podziemnymi katakumbami”, w których powielano, co należy. Ta koncepcja twórczego podwórza budzi reminiscencje literackie: studentów z „Lalki”, klimatu „Złego” Tyrmanda, suteryn Białoszewskiego, przygodnych „nowowisk” Kornhausera czy Andermana, powieści Henryka Grynberga a nawet — chyba niedocenionej — „Ballady o Januszku” Sławomira Łubińskiego. Lub — w nagłym przerzucie na szczyty — tyłów Zakładu św. Kazimierza w Paryżu ze słynną paulownią. Na to samo pięknie rozrośnięte drzewo „o kilkadziesiąt lat młodsze, na jego czarny chropowaty pień i duże sercowate liście” patrzył Cyprian Norwid — przypomina Maria Czapka.

Dychotomia „Fasady i tyłów” Barańczaka wydaje się podziałem bardzo drastycznym, ale taka to już jest cecha *eye-openers*. Przykro, że nie uwzględnia literatury emigracyjnej, której w całości nie da się ulokować na „tyłach”. Nie mieszczą się w niej tradycyjni i niektórzy z neokreowanych „klasyków” oraz pokaźny ładunek literatury nie sięgającej szczytów ale dalekiej od cynicznej produkcji „gnid” z dosadnego określenia Piotra Wierzbickiego.

### O s m o z a

W recenzji moich „Szkiców o literaturze emigracyjnej” (w numerze 8-ym *Zapisu*) Barańczak określił literaturę emigracyjną jako „odrabianą gałąź”. Wydarzenia ostatniego roku wykazały, że gałąź ta żwawo przyrasta do tradycyjnego drzewa piśmiennic-



stwa polskiego. Dendrologia uczy, że słoje na przecięciu pnia składają się z warstw różnej grubości i składu, co umożliwiła klimatologom określenie nie tylko wieku drzewa ale i okresów suszy, silnych mrozów czy odwilży. Lata ostatnie, po roku 1968, doczekają się w przyszłości właściwej oceny historyków literatury. Dziś rysują się jako okres chaosu, lub w bardziej optymistycznej ocenie, *osmozy*.

Zjawisko to występuje w wyniku zacierania się granic między literaturą zwaną emigracyjną a krajową. Przynależności paszportowe i adresy pisarzy tracą znaczenie z dnia na dzień, choć kurczowo liczy się z nimi bojąca się ryzykownej odmiany cenzura. W czasopiśmie i wydawnictwach książkowych ukazujących się poza Krajem i „poza cenzurą” zwiększa się z każdym miesiącem procent tekstów powstałych w Kraju lub napisanych przez emigrantów politycznych świeżej daty. *Vice versa* w publikacjach krajowych wyczuwa się wyścig o przemylenie jak największej porcji tekstów „emigracyjnych” a wymownym tego świadectwem są zarówno fakty ujawniania nazwisk pisarzy przemilczanych jak i sporadyczne ułaskawienia zbuntowanych. Dowodzą tego też, poza samo-zdemaskowaniem „Tomasza Stalińskiego” i staraniami o przedruki Miłozsa, zapowiedzi „Ronda” Brandysa, druk fragmentów „Literatury” Woroszyłskiego itp.

### *Stosunek do literatury emigracyjnej*

Literatura emigracyjna nie została jednak dotąd odkryta i nadal do Kraju dostają się tylko przypadkowo dobrane jej kaski. Bo nawet Miłozs, ułaskawiony pod presją Nobla, jest raczej bohaterem legendy niż towarem w księgarniach. „Pan Hertz — piszą mi z Warszawy — szczył się przekładem psalmów, gdy przyszedł na zebranie Rady Bibliotecznej Związku Literatów Polskich jakoś tak nawet nie dawał tej książki dotknąć!”. W polemikach krajowych (o czym niżej) powtarza się postulat dopuszczenia pisarzy emigracyjnych. W recenzjach, felietonach, przypisach bibliograficznych padają nazwiska do niedawna nie do pomyślenia, nawet tak trefne jak Giedroyc (zamiast prawidłowego Giedroyc) czy Danilewiczowa (zamiast Danilewiczowa).

### *Polemiki literackie (na przykładzie „Polityki”)*

Świadomość, że schorzenia literatury współczesnej domagają się radykalnej kuracji nie wyraża się li tylko biadolaniem i kawiarnianymi kawałami, ale znajduje wyraz w polemikach pras-

wych. Dobrym przykładem inauguracji jawnych protestów są np. dwie posierpniowe dyskusje na łamach *Polityki*: o „Mowie zależnej”, zainicjowana artykułem Zbigniewa Mentzla (w nrze 41) i „Między fasadą a tyłami” rozpoczęta i zakończona przez Adama Krzemińskiego (w nr. 40 i 49).

„Mowa zależna” Mentzla przynosi bardzo pesymistyczny obraz sytuacji. Wszechładnie panuje klimat zwątpienia w słowo, kornhauserowskie przekonanie, że „literatura to kłamstwo”, rozdziew między powagą wydarzeń a szczękościskiem twórców. „Polska literatura współczesna — konstatuje — krzyczy, płacze i śmieje się tylko z jednego powodu — z bezsilności”. W szczególności boli Mentzla nieobecność książek „koniecznych”, jakimi były ongiś powieści Żeromskiego. „Autentyczność spotyka się (...) na pograniczach literatury — w reportażu, esejistyce, także — o dziwo! w krytyce” — i w poezji, gdzie nawet „w rzadką sieć Sandauera wpadają od czasu do czasu grube ryby”. Wśród książek uznanych za autentyczne przeważają do niedawna złe widziane, a więc: Cywińskiego „Rodowody niepokornych”, Króla i Karpińskiego „Sylwetki polityczne XIX wieku”, Kijowskiego „Listopadowy wieczór”, Ossowskiej „Normy moralne”, Jasienicy „Wojna domowa”, Kornhausera i Zagajewskiego „Świat nie przedstawiony”, Burka „Zamiast powieści” itd.

Stąd droga do rewelacyjnej konkluzji: „Gdyby na pierwszą szalę wagi — pisze Mentzel — położyć jeden tylko tom wierszy z tego okresu („Pana Cogito” Herberta), jeden dramat („Emigrantów” Mrożka) i jeden tom szkiców krytyczno-literackich („Odmarsz” Błońskiego), na drugą zaś ponad setkę tomów prozy wydawanych co roku, szala pierwsza opadnie z głuchym łoskotem”. We wcześniej sformułowanych zarzutach wysuniętych pod adresem prozaików najbardziej boli Mentzla brak autentyczności, przechodzenie „obok sedna rzeczywistości swojego czasu”. Jest to właściwie powtórka tezy Kornhausera - Zagajewskiego ze „Świata nie przedstawionego”. Ozdabiają ją jednak przykładowe nazwiska reprezentacyjnych winowajców: „choćby Zukrowskiego, Sokorskiego, Bratnego — ten bije ostatnio wszelkie rekordy niechlujstwa”. W sąsiedztwie — a także może jako asekuracja przed zarzutem zbytowego wychylenia się — znaleźli się Konwiczki i Andrzejewski. Boczkami dostały się ciągi Lemowi, Kuśniewiczowi i Kapuścińskiemu, gdyż — zdaniem Mentzla — świat oczekuje od pisarzy polskich czegoś więcej od „opowieści o wojnach gwiazdnych, c.k. monarchii austro-węgierskiej i wnętrzu pałacu w Etiopii”. W dalszym ciągu wywodów, nie czekając na replikę przypominającą, że zaatakowane wyżej książki mają wydźwięk uniwersalny a np. „Witraż” Kuśniewicza dotyczy Francji, wysuwa najcięższy zarzut, że oto owe w moim wycuciu ambitne



książki pisane są „mową zależną”, „mniej lub bardziej metaforycznie”. „Literatura polska — dowodzi — pozbawiona (jest) wymiaru tragicznego”, jest „jednostronnie naiwna”, jest literaturą „krzyku, płaczu, śmiechu” a ilustruje to twórczość poetycka Barańczaka (krzyk), Konwickiego (płacz) i... „Towarzysz Szmaciak” Gnomackiego, co nie uchybiając autorowi „kpiny” świadczy, że Mentzel jest dobrze odczytany w wydawnictwach emigracyjnych.

#### *Precz z podtekstami!*

W „okresach minionych” raziło Mentzla, że „na pierwsze oznaki odwilży z szuflad pisarzy wychodziły 'złote lisy' a później dowiadywaliśmy się, jak to 'ciemności kryją ziemię! Parabola ma być miarą odwagi polskich pisarzy współczesnych, wartości polskiego piarstwa szuka się w cenniku aluzji”. A więc — precz z podtekstami! Precz z tkwieniem w korzeniach polskości: „Ukrainie Iwaszkiewicza, Wilnie Konwickiego, Polesiu Kuncewiczowej i Podolu Kuśniewicza”. To bowiem — Mentzel nie dopowiada — pogrąża czytelników „w letargicznym śnie”.

#### *Pochwała Błońskiego i Berezy*

Dwuznaczna pochwała dwu krytyków uznanych za reprezentacyjnych: Błońskiego i Berezy, kończy się zarzutem, że obaj, każdy na swój sposób oceniając literaturę współczesną, nie szukają w niej „jedności treści i formy”. Czynią to co najwyżej połowicznie: „Błoński pamięta zawsze o znaczeniu treści”, dla Berezy — „forma staje się Absolutem, który wymyka się kontroli intelektualnej”. To ostatnie podejście ilustruje morderczą cytata z oceny „W barszczu przygód” Marka Słyka. Nie wydaje się jednak, by trafne było przeciwstawienie „rygoru elegancji i wytworności” Słyka „martwemu językowi literackiej polszczyzny” jaką Edward Stachura kreślił okaleczoną ręką wstrząsający dziennik przedśmiertny („Pogodzić się ze światem”). Tu na marginesie sygnalizuję zapowiedź pięciotomowego zbiorowego wydania pism Stachury. Kto pierwszy ogłosi go pisarzem klasy Brunona Schulza? Borowskiego? Wojaczka?

#### *Konkluzje Mentzla*

„Przez całą polską literaturę współczesną przebiega bolesne rozdarcie między tradycjonalizmem a terażniejszością” — kon-

kluduje Mentzel. „Dlaczego (...) nie powiódł się jak dotychczas program kulturalnego realizmu lub, jak kto woli, realistycznej kultury? Dlaczego nie powiódł się program zawarty w „Świecie nie przedstawionym”? Cisną mi się pod pióro dwie odpowiedzi: *primo*, bo cenzura, *secundo*, bo Mentzel nie czytuje *Zapisu*, gdzie znalazłby osłabiające jego wątpliwości teksty Tadeusza Korzeńskiego, Antoniego Pawlaka i in.

„Rok 1970 — konkluduje Mentzel — nauczył polską literaturę współczesną stawiać pytanie — jak można bronić prawa do niezależności? Rok 1980 powinien wreszcie nauczyć polską literaturę współczesną stawiać pytanie — jak można bronić niezależności, jak niezależności dowieść?”.

#### *„Prześwit”*

Problemy wysunięte w „Mowie zależnej” podjął w nrze 47 *Polityki* Marian Stala w artykule pt. „Prześwit”. Obraz literatury lat 1970-tych rysuje mu się inaczej niż Mentzlowi. Widzi na nim „piaszczysty, martwy krajobraz, w którym nie sposób się zatrzymać, w którym nie można wznieść żadnego domu sensu”. Z tłem tym nie są związane wartościowe osiągnięcia indywidualne „twórców wybitnych”, a są nimi dla Stali „Parnicki, Strykowski, Konwicki, Kuśniewicz czy Lem”. Cóż, kiedy ci „wielcy i autentyczni zdają się nie wiedzieć, że istnieje ktoś poza nimi”. Literatura współczesna nasuwa Stali porównanie z wieżą Babel, „w której każdy mówi odmiennym głosem, starając się nie słyszeć i nie rozumieć pozostałych głosów”. Literatura ta „cierpi na chorobę przerwania dialogu, rozmowy między dziełami i wartościami”, „jest rozproszona, zatowizowana w swych dążeniach”. Wyraźnie rysuje się, zdaniem Stali, „odruch zamykania się ruchu nieoficjalnego wobec wszelkich przejawów działania w nurcie oficjalnym”.

#### *Kraj - Emigracja w oczach Stali*

Stala dostrzega wyraźnie, poza barańczakowskim rozdrożeniem na fasadę i tyły, interesujący nas bezpośrednio podział na „część krajową i emigracyjną” i sądzi, że „chodzi tu w końcu o zbiór tekstów, których ilość i waga przekracza wielokrotnie to, co powstało w ciągu kilkuletniego działania 'tyłów' krajowych”. Co więcej — są one wolne od przekleństwa „mowy zależnej”. „Czy trzeba przypominać — pyta — że w połowie lat sześćdziesiątych tworzyli poza krajem jednocześnie Czesław Mi-



łosz, Witold Gombrowicz, Sławomir Mrożek, Jerzy Stempowski? A to oznacza pisarzy, bez których nie ma i nie może być mowy o współczesnej poezji, prozie, dramacie i eseju". W dalszym ciągu wywodów Stali padają nazwiska Aleksandra Wata, Wierzyńskiego, Wittlina, Stanisława Vincenza i Stefani Zahorskiej. Odcięcie od literatury emigracyjnej oznacza nieznajomość „nielicznych autentycznych dialogów postaw” — takich jak np. ścierania się poglądów Gombrowicza i Miłosza.

W dalszym ciągu „Prześwitu” Stala wysuwa hipotezę, że „brak autentycznego dialogu” we współczesnej literaturze krajowej „okazywał się stanem pożądanym dla kierujących kulturą — czasem bardziej pożądanym od przytakiwania”. „Politycy — jego zdaniem — wołają krytyka-estetę Berezę od Błońskiego, „który wprawdzie nie jest zwolennikiem czystej treści ale za to niewątpliwie traktuje literaturę jako sposób myślenia i poszukiwania wartości”.

Istotnym składnikiem sytuacji jest kryzys powieści, owo instynktowne przerzucanie się pisarzy na pograniczne tereny niy-filozoficzne, niy-psychologiczne czy niy-socjologiczne. Warto dodać „lingwistyczne”, gdy istotą eksperymentu powieściowego są igraszki językowe. A także włączanie do powieści dużych porcji dzienników intelektualnych tak charakterystyczne dla np. Kazimierza Brandysa czy Jerzego Andrzejewskiego („Miazga”), nie mówiąc o niemal obowiązkowej postaci narratora identyfikującego się z autorem powieści mimo sakramentalnych zastrzeżeń na wstępie o przypadkowych zbieżnościach życiorysów. (Ostatnie lata przyniosły także *novum* kynologiczne („psubrat”, „zapach psiej sierści”, „pies Borges”)!).

### „Kultura realistyczna” z propozycji Mentzla

Stala niepokoi się wezwaniem Mentzla do „stawania twarzą w twarz wobec rzeczywistości” — a więc realizmu czy „realistycznej kultury”. Zgodnie z hasłami „odnowy” domaga się „prawdy i autentyczności”, nie bojąc się dochodzenia do nich poprzez alegorię czy symbol — byle nie kicz! „Wrogiem prawdy i autentyczności — konkluduje — są zdania, które mówiąc o wartościach, mają za sobą pustkę”.

Wysuwany ostrożnie przez Mentzla „realizm kulturalny” i jego przydatność (dla kogo?) w obecnej sytuacji obudził żywy sprzeciw Anny Tatariewicz (Polityka nr 50). W wielkiej literaturze i polskiej i światowej widzi ona „ludzką skłonność do metaforyzowania i, godząc się na prymat Sandauera, Błońskiego i Berezy na polu współczesnej krytyki, wytyka jednak pierwsze-

mu błędy w ocenie Grochowiaka i Różewicza, drugiemu — za patrzanie się w „estetyzujący naturalizm” Prousta, a trzeciemu — „samobójcze (*sic*) tendencje do odnawiania literatury przez języki „spisywane z życia”.

### Literatura faktu i literatura metaforyczna wg A. Tatariewicz

Anna Tatariewicz lansuje trzeci podział literatury współczesnej na literaturę faktu i literaturę metaforyczną. W dokonującej się obecnie nowej „zmianie warty” dostrzega nie — jak to dawniej bywało — konflikt pokoleń ale „stanów”. Ze sceny schodzi pokolenie starointeligenckie (Iwaszkiewicz, Kuśniewicz, Strykowski), pokolenie „wywłaszczonych z kraju lat dziecińczych”, lawirujących w twórczości wokół motywu „pozornego końca świata”. W „nurcie wiejskim” za kluczowy uważa problem „zdrady ziemi” i „kryzys tożsamości, związany z początkową fazą emancypacji kulturowej” i jako przykłady cytuje „Pałac” Myślińskiego, „Oset” Kawalca i „Proroka” Nowaka. Jeśli o „mowę zależną” oskarża się pisarzy, czy nie słuszniej — zdaje się sugerować autorka — skierować zarzuty pod adresem oficjalnej krytyki, która „poucza”, „potępia”, „wskazuje właściwą drogę”?

### Przyszłość literatury współczesnej

Od czego więc zależy przyszłość literatury w najbliższym okresie? Władysław Zawistowski (Polityka nr 50), podpisując się pod oceną literatury współczesnej „jaka jest” (w ujęciu Mentzla) z niepokojem szuka wyjścia z panoszącej się obecnie szarzyzny w wyniku wieloletniego zastraszenia. „Tradycja, społeczna rola, własna wiara, nieliczne przykłady, czasem sytuacja — zmuszają do wielkości. Tymczasem życie, codzienność, chleb, fikcje i lojalności każą przyjmować „zadania”. Frustracja małością podaje rękę histerii niespełnienia. Koło się zamyka” — i „może przyszłość literatury polskiej zależy od tego, czy wydepczemy — każdy osobno — wąską ścieżkę między tym, co indywidualne i tym co zbiorowe?”.

### „Odmarzające bajorko”

Jerzy Pilch (Polityka nr 50) doszukuje się w obecnej sytuacji pewnych elementów optymistycznych. Cenzura — jego zdaniem



— „do niedawna monstrualnie krwiożercza” zachowuje się obecnie „jak nieludzko dobry lew” z wiersza Herberta: „wszystko bierze poważnie/pod każdym drzewem wietrzy symbole (...) porykuje czując oborę pełną marchwi”. Ale co dalej? „Co też wypłyne na powierzchnię odmarzającego bajorka?”: Zagajewski, Anderman, tragiczne *adieu* Stachury, „mimo wszystko Konwicki i Barańczak”. Ponosi go niecierpliwość, nie umie czekać: „kwestia najistotniejsza to ciągłe i paradoksalne zderzenie nieistniejącej literatury z istniejącą rzeczywistością”, którą dalej nazywa „orwellowską”: „rzeczywistością lichych przedmiotów i zastępczych towarów, nie otynkowanych domów i ciasnych mieszkań”. „Jak podołać konieczności złożenia świadectwa, skoro nawet przełomy historyczne jawią się jako mroczny i bełkotliwy splot niezależnych okoliczności?”. Logiczne rozwiązanie widzi w wyzyskaniu szansy jawności i odwagi mówienia o rzeczywistości mową „niezależną”. Podobnie jak Stala widzi przede wszystkim potrzebę „kultury opartej na prawdzie i autentyczności”.

#### „Soc-parnasizm” Michała Głowińskiego

Artykuł Michała Głowińskiego pt. „Soc-parnasizm” (nr 6, 1981) wnosi do dyskusji literackich *Polityki* nowe określenie: „soc-parnasizm”. Barańczakowska „fasada” rozpada się według niego analogicznie na fasadę i tyły, co „przypomina znany średnio-wieczny motyw: dziewicy-trupa. Z przodu dziewica owa była niezwykle nadobna (...) od tyłu jej ciało było samym obrzydliwstwem” — a właśnie „w literaturze współczesnej mamy do czynienia z efektownym frontem i podgniętymi tyłami. Składają się na nie różnego rodzaju „głupie sprawy”: tandetne powieści kryminalne, pseudopamiętniki, wszelkiego rodzaju sensacyjne historyjki z lat okupacji, nie pozostające w żadnym stosunku do dziejowej prawdy, tzw. literatura pracy”. Ową produkcję pseudopopularną przesłaniała, zdaniem Głowińskiego, „wspaniała fasada — właśnie soc-parnasistowska” „budowana z książek często dobrych, kulturalnie napisanych, eleganckich językowo, czasem nawet pomysłowych”. „Brakuje im tylko jednego — istotności. Istotności literackiej, społecznej, moralnej, filozoficznej, psychologicznej”. Przywtarzając Mentzłowi Głowiński odnosi się superkrytycznie do „utworów o czasach Franciszka Józefa i *belle époque*, poetyckich wspomnień z dzieciństwa, grotesk [owych utworów] stanowiących dwudziestą wodę po Gombrowiczowskim kisielu”, „wielu tzw. powieści wiejskich, owych do granic wytrzymałości spoetyzowanych i przeestetyzowanych malowanek na szkle, kiczowato pięknych jak odpustowe świecidełka. I ta chłop-

ska wersja soc-parnasizmu zdumiewa i irytuje najbardziej — zwłaszcza na tle tradycji literatury polskiej w tej materii, na tle drapieżnych utworów Orzeszkowej, Reymonta, Dąbrowskiej”. Maksymalizm Głowińskiego dochodzi tu najsilniej do głosu. I strach pomyśleć, jak osądziłby np. Berenta za to że w czasie Pierwszej Wojny Światowej, gdy ważyły się losy Polski, cyzelował „Żywe kamienie”? Czy nie lepiej, że Kuśniewicz napisał „Lekcję martwego języka” zamiast zabijać czas przekładami, jak Dąbrowska w „minionym okresie”. Sam Głowiński sugeruje zresztą, że soc-parnasizm może pozostawić w spadku jakieś wartościowe utwory, jako że „sprzyjał rozwojowi form literackich, przechowywał kulturę literacką w czasach, gdy w kulturze masowej dominowała tandeta” i — dopowiadam od siebie — przemawiał do „szarych” czytelników językiem Zachodu.

Wystąpienie Głowińskiego jest chyba świadectwem niemożności oderwania się od problemów dnia w klimacie długotrwałego kryzysu. Nasuwa się analogia z czasów wojny. Wielu uchodźców i zesłańców przemierzało słynne z piękności krajobrazów okolice i zatrzymywało się w pełnych zabytków miastach, nie dostrzegając ich walorów, patrząc niewidzącymi oczyma. W okresie powstania warszawskiego wielu Polaków w Londynie zatrafiło wrażliwość na wycie alarmowych syren i latające bomby, choć w okresach wcześniejszych pierwsi dobiegali do schronów, tak byli zaabsorbowani tragedią stolicy i skąpymi wiadomościami z kraju.

#### *Polityka versus etyka — polemika zainicjowana przez Krzemińskiego*

Na łamach *Polityki* toczyła się równolegle, w drugim półroczu ub. roku, druga polemika zainaugurowana artykułem Adama Krzemińskiego (od wywiadu z Bøllem) pt. „Między fasadą a tyłami” (nr 40 z 4 października 1980). Autor, podobnie jak Mentzel, dzieli literaturę współczesną na „oficjalną” i „nieoficjalną”, biadając przy tym nad głębią przedzielającego je „rowu”. Na czoło obiekcji kierowanych dyskretnie przeciw „obiegowi nieoficjalnemu” wysuwa Krzemiński zachłanność i bezkompromisowość opozycji oraz pewne delikatne aspekty sytuacji: „jak krytykować nieudaną powieść, skoro jest niedostępna, jak polemizować z poglądami, których nie można przedstawić?”. Godzi się jednak z faktem, że „utworzenie powielanych pism wynikało z konieczności literackiej” a „motywacje *etyczne* były wśród pisarzy inspiracją zasadniczą”. Kwestionuje jednak słuszność tego stanowiska, analizując bliżej „stosunek polityki do ety-



ki". I tu powołuje się na Maxa Webera, który w eseju pt. „Polityka jako zawód” sformułował pojęcie *Gesinnungsethik* („etyki przekonań”), przeciwstawiając mu *Verantwortungsethik* („etyki odpowiedzialności”). Ta druga wydaje mu się w obecnych geopolitycznych warunkach polskich bardziej właściwa. Rozbicie pisarzy, polaryzacja inteligencji i „skrajny moralizm” uniemożliwia próby kompromisu. Proponuje przeto zdecydowanie zalatujące oportunistycznym rozwiązaniem: pisarz, jako „człowiek publiczny” winien stosować normy „etyki odpowiedzialności”. Jako artysta może uprawiać swój zawód w ramach norm „bardziej rygorystycznej 'etyki przekonań'”. Wszystko to, po przemyśleniu pułapek języka ezopowego, prowadzi do wskazania „odgórnego”: nie buntujcie się przeciw „oficjalności”, a na „tyłach”, na swoim podwórku bawcie się grzecznie w chowanego, wypowiadając w niskonakładowych pisemkach poglądy zgodne z sumieniem, prawdą, autentycznością... Na dowód, że nie było tak źle, przypomina że przez sita cenzury przesywały się „Rozmowy z katem” Moczarskiego (zapominając o losach pewnej przedmowy i, co ważniejsze, powodach zamknięcia Moczarskiego we wspólnej celi z nazistowskim przestępcą). „Czy nieautentyczne są — pyta — książki Hanny Krall, Kapuścińskiego, opowiadania J. J. Szczepańskiego, Andermana, szkice Błońskiego i Puzyny, eseje Kieniewicz, Micewskiego, Walickiego, Marii Janion albo „esej (?) Mariana Brandysa o szwależerach”? Jako przykład niesłusznych — jego zdaniem — przejawów „skrajnego moralizmu” przytacza znane czytelnikom *Kultury* swoje własne perypetie z uzyskanym podstępnie wywiadem z Heinrichem Böllem (w roku 1978). Innym przejawem absurdów podziału jest dla Krzemińskiego przekonanie, iż aczkolwiek w wersji powielanej ukazały się książki „których wydanie w Czytelniku czy PIW'ie było niemożliwe”, to jednak „są też rzeczy, które znalazły się na powielaczu tylko dlatego, że ślepa administracja piętnowała sposób życia autora a nie treść utworu i artykułu”. Wydaje mu się ponadto, że „Traktat o gnidach” Piotra Wierzbickiego zbyt pochopnie kwalifikuje „ludzi pogranicza”, tych wszystkich, którzy „wolą rezygnować z jednoznacznych społecznie ról w zamian za zachowanie integralności i niezależności?”. Czy aby? Stanowisko Krzemińskiego jest równoznaczne z postawą ludzi tchórzliwych i zstraszonych, głoszących dziś: „Ja zobaczę, co z tego wyniknie... Ja się przyglądam... Ja poczekam...”.

Krzemiński pyta wreszcie wprost: „Czy żądanie: wszystko albo nic, jest społecznie rozsądne w momencie, gdy koniecznością staje się odnowienie dialogu między „górami” a „dołami”, między władzą a społeczeństwem”. Uważa, że nadszedł moment, by „kultura nasza wyszła z okopów, by rozpoczęły się rozmowy na

przedpolu”. Jako zabieg wstępny uważa ożywienie „martwych nazwisk” i przyjęcie zasady, że o druku czy pracy „decyduje merytoryczna jakość tekstu i decyzje kolegów redakcyjnych, nie klucze i listy”.

### *Odważne wystąpienie Wojciecha Karpińskiego o roli literatury emigracyjnej*

Aby dowieść, że nie są to puste słowa *Polityka* dopuściła do głosu zadziwiająco odważne głosy polemiczne. W nrze 46-ym ukazał się artykuł Leszka Szarugi pt. „Za fasady” (garmondem) a w trzy tygodnie później skróty wypowiedzi Wojciecha Karpińskiego i Antoniego Pawlaka (petitem). Przyzwyczajona do rozpoczynania lektury pism od „Listów do Redakcji” doczytałam się u Karpińskiego rewelacji na temat Miłosza. Przyznanie mu nagrody Nobla ujawniło „skrępowanie dziennikarzy wykazujących gruntowną ignorancję i zadziwienie szerokich kręgów”. Sięgnął też po Małą Encyklopedię PWN — i pod hasłem: Miłosz znalazł, co następuje: „książę Serbii, chłop z pochodzenia, wódz antytureckiego powstania 1815”. „Dla Czesława Miłosza miejsca nie było”. Myślący praktycznie Karpiński domaga się przeto zniesienia ograniczeń w bibliotekach i archiwach i „jak się ładnie wyraził ostatnio Aleksander Gieysztor, zniesienia prohibicji na dobra kultury powstałe poza Krajem”. „Mamy skarb — konkluduje — jakim jest wielka literatura powstała poza granicami kraju, mamy też dług wobec tych, którzy ją tworzyli i propagowali”.

### *Szwależerska szarża Leszka Szarugi*

„Ja poczekam...” występuje w interpretacji skrajnie różnej w artykule Leszka Szarugi. I on też czeka — ale w okopie „nieprzejednanych”, nie kusi go propozycja zamazywania swojej postawy, współzycie etyki przekonań i etyki odpowiedzialności — słowem uroku symbolicznego „pomiędzy”, chybotliwej kładki łączącej fasadę z tyłami. Najdobitniej dochodzi u niego do głosu nieufność i rozgorzyczenie młodych pisarzy, pamiętających takie np. fakty, jak to, że „W. Bartoszewski za znakomitą pracę o polskim państwie podziemnym w okresie okupacji jako honorarium otrzymał... wyrok kolegium do spraw wyroków”. Tym wszystkim, którzy „mały obieg” wydawnictw „poza cenzurą” uważają za dostępny dla wąskiego tylko grona wtajemniczonych, przeciwstawia milionowe rzesze słuchaczy rozgłośni zachodnich. Zwalcza



także podejrzania Krzemińskiego, że w „małym obiegu” obowiązują swoista sitwa krytyków popierających „swoich” autorów. On, Szaruga, tylko „w okopie” może być sobą: „nie jestem tu petentem, nie jestem zmuszany do „kompromisów” godzących w mój honor”.

Wypowiedź swą kończy Szaruga nutą optymizmu: „Myślę, że po obu stronach niewidocznej linii demarkacyjnej dzielącej tak dotkliwie naszą kulturę, są ludzie nie ulegający zasadzie dwójmyślenia, o której pisze Krzemiński”.

### *Atmosfera polemiki*

Polemika nie przyniosła Krzemińskiemu popleczników. „Historia literatury polskiej — pisze np. Janina Zakrzewska (nr 48) — to również historia różnych kierunków, prądów, grup o sprzecznych poglądach, różnych uwarunkowaniach, literatury wyrażającej poglądy postępowe i reakcyjne, literatury lewicy i prawicy, rządowej i opozycyjnej. Na tym chyba również polegała zawsze jej barwność i bogactwo”. Aleksander Ziemny w tymże numerze *Polityki* domaga się ukrócenia techniki wykańczania pisarzy na podstawie „grymaśnych plotek, nierzadko rozpoczwanionej obmowy” i terroryzmu klik: „Wśród jakich ludzi obracasz się, panie pisarzu? Ważnych, pół-ważnych, pośrednio-ważnych, niedo-ważnych, niby-ważnych — i nieważnych. Oto ludzkie znamiona”. Marzy mu się „jednakowa zasada spokojnych, niekonunkturalnych ocen”, która objęłaby zablokowane obecnie przez cenzurę książki. W świetle zapowiedzi wydawniczych jest to marzenie ściętej głowy. Wynika z nich, że fasadę reprezentować będzie nadal Sokorski, Putrament i Bratny a do księgarń rzuci się wznowienia (czy najpilniejsze?) „Błogosławionej winy” Zofii Kossak gwoli dania szerokim rzeszom godziwej lektury. W międzyczasie Zukrowski snuć będzie dalszy ciąg opowieści o *dolce vita* na bułgarskiej plaży.

### *Wnioski Krzemińskiego w zakończeniu polemiki*

Z głosów polemicznych, które nie ograniczyły się do łamów *Polityki*, wysnuł Krzemiński zasadę, iż „do prawdy dochodzi się w dialogu” (nr 49). Wydaje się, że i on i redakcja tygodnika chciała jak najprędzej zakończyć niewygodną polemikę „o sprawach, które nawet po sierpniu nie od razu zaczęły sływać z pióra, a w wielu tygodnikach do dziś są zamazane”. Krzemiński stara się odsunąć diagnozę sytuacji na czas przyszły i wyznaje,

że nie uważa „ani tekstu 'Między fasadą a tyłami' za zbyt udany, ani całej dyskusji za zbyt porywającą”. Zgoda. Jest jednak bardzo pouczająca.

### *Różne prognozy wydobyte z planów wydawniczych*

Prezes Towarzystwa Wydawców książek oświadczył w końcu stycznia przed mikrofonem Warszawy I, że na tzw. statystycznego Polaka przypadają rocznie 4 książki, co oznacza 50 % wykonania planu z roku 1974. Jeśli istotnie produkcja wydawnicza sprowadza się do jednej książki na kwartał na twarz — niech to będzie przynajmniej pożywny pokarm dla ducha. Znosi się jednak na to, że nawet duch będzie głodował w świetle informacji: „Co wydawcy proponują”.

Najwięcej konkretnych informacji podał Zbigniew Mentzel w artykule pt. „Przyszłość na lądzie”. Przypomniał na wstępie, co pisali w warszawskiej *Kulturze* (nr 38/80) Stanisław Bębenek i Andrzej Kurz („W żadnej sferze upowszechnienia kultury a chyba i w żadnej gałęzi produkcji kryzys lat ostatnich nie okazał się tak głęboki jak w dziedzinie książki”). Sam Mentzel opisuje sytuację obecną tak: „Buble zalegające księgarnie i magazyny, *bestseller'y* sprzedawane po bazarach, oraz 'bibuły' nielegalnie przemycane z rąk do rąk — oto co składa się na sytuację książki w Polsce”.

Z przytoczonych przez Mentzla przykładów z planów wydawniczych wynika (ograniczam się do tytułów i nazwisk autorów najbardziej interesujących czytelników *Kultury*):

PIW (Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie) zapowiada antologię poezji metafizycznej w opracowaniu Stanisława Barańczaka, antologię poezji żydowskiej, wiersze Jerzego Ficowskiego, Aleksandra Wata i Józefa Wittlina, „Sonety” Szekspira w przekładach Jerzego Sity i Wiktora Woroszyńskiego (zdjęte przez cenzurę z powodu *niebłagonadiożności* tłumaczy, bo Szekspir nie jest zasadniczo objęty zakazami cenzury).

*Czytelnik (Warszawa)* obiecuje „Rondo” Kazimierza Brandysa, „Cudowną melinę” Orłósia, „Maść na szczyry” Madeja (dwie ostatnie książki miały „premiery” w Bibliotece *Kultury*), wznowienia „Kalendarza i klepsydry” Konwickiego i „Majakowskiego” Woroszyńskiego, i in. (np. eseje Andrzeja Kijowskiego i felietony Słonimskiego z *Tygodnika Powszechnego*).

*Iskry* wydać mają „List do Chagalla” Jerzego Ficowskiego, dalszy ciąg dzieł Andrzeja Struga, książkę Zakrzewskiego o Witosie i wznowienie „Wniebowstąpienia” Konwickiego.

Mentzel sygnalizuje nadto wydanie wielu książek zamrozo-



nych w wydawnictwach. W niektórych wypadkach przywraca się teksty skreślone lub zakwestionowane, np. rozdział o socrealizmie w książce Jerzego Poradeckiego o Wilhelmie Machu. „Autor tekst przerobił, teraz przywraca pierwotny”.

„W dalszym ciągu — pisze Mentzel — niejasna jest sprawa „Miazgi” Andrzejewskiego i „Błaszanego bębenka” Günthera Grassa („obie te książki ukazały się w pełnym kształcie w wydawnictwach nieoficjalnych”).

Mentzel kończy swój artykuł przykładami nazwisk autorów, na których książki trzeba będzie czekać „nie wiadomo jak długo”. I pyta: „Kiedy więc ukazą się książki Gombrowicza i Stempowskiego, Hłaski i Tyrmanda, Stawara i Kotta, Beylina i Baczki, Jasienicy i Ossowskich, Krońskiego i Cywińskiego, Burka i Karpińskiego, Szackiego i Lipińskiego oraz wielu innych znakomych autorów”. Istotnie — *kiedy???* W ramach pomocy „głodowej” przydałoby się Polsce kilka wagonów książek już istniejących lub szybko mogących się ukazać poza PRL'em. Głód książki mieści się pono między brakami zaopatrzenia w żywność i opał a głodem mieszkaniowym.

#### *Radosne odkrycie nieznannej literatury*

Przeskok od przemilczeń i kalumnii do literatury „Drugiej Wielkiej Emigracji” jest przeżyciem wyjątkowym i niełatwym do strawienia. W moim artykule sygnalizuję rewelacyjne wystąpienia Wojciecha Karpińskiego i Leszka Szarugi na łamach *Polityki*. Ostatnio wystąpiło kilka pomysłowych zjawisk świadczących o przechodzeniu od słów do czynów. Na listach książek otrzymanych przez redakcję pism pojawiły się niespodzianie nowe nazwiska pisarzy emigracyjnych i już wydane ich książki (np. „Kula magiczna” Pietrkiewicza) a rewelacje na temat ukrytych skarbów nieznannej czy „najmniej znanej” literatury mnożą się z każdym dniem.

#### *Rewelacje Sprusińskiego*

Sprusiński wypowiedział się obszerniej, niż poprzednio w felietonie radiowym i w *Polityce* z 28 marca (nr 13). Lista nazwisk pisarzy zasługujących na jak najszybsze wydania krajowe urosła z dwudziestu do czterdziestu jeden plus Miłosz. Obejmuje ona alfabetycznie następujące nazwiska: Stanisław Baliński, Jan Bielatowicz, Andrzej Busza, Bohdan Czaykowski, Florian Czarnyszewicz, Andrzej Chciuk, Zdzisław Czermański, Adam Czerniaw-

ski, Zbigniew Grabowski, Witold Gombrowicz (tu wymowny nawias: „Testament określa warunki wydawania jego książek w Polsce: najpierw trzy pełne tomy „Dzienników”, potem inne tytuły. Przekreślenie możliwości publikowania „Dziennika” zamyka więc drogę wznowieniom” (tytułów z 1957 roku), Zygmunt Haupt, Marian Hemar, Marek Hłasko, Waław Iwaniuk, Aleksander Janta, Jan Lechoń, Jan Leszcza, Herminia Naglerowa, Zygmunt Nowakowski, Beata Obertyńska, Jerzy Paczkowski, Bronisław Przyłuski, Sergiusz Piasecki, Zofia Romanowiczowa („powieści 'Łagodne oko błękitu' i 'Groby Napoleona' dają jej miejsce wśród najwybitniejszych prozaiczek”), Juliusz Sakowski, Arnold Słucki („poczyniono już odpowiednie decyzje wydawnicze (PIW)”), Jerzy Stempowski, Czesław Straszewicz, Artur Maria Swinarski, Tymon Terlecki, Wit Tarnawski, Stanisław Vincenz, Ignacy Wieniewski, Kazimierz Wierzyński, Jan Winchakiewicz, Józef Wittlin, Tadeusz Wittlin, Stefania Zahorska — w tym 29 zmarłych — w stosunku do listy radiowej oznacza to jednak postęp!

Blaskom artykułu Sprusińskiego przeciwstawiają się jednak upiory niesławnej przeszłości. Sprusiński pisze mianowicie, co następuje: „Nie wspominam tutaj trzech pisarzy: Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Józefa Mackiewicza i Tadeusza Nowakowskiego. Tematyka ich prozy czy esejów i polityczne uwikłania ich autorów nie pozwalają na przedstawienie ich książek czytelnikowi w kraju”. Jasne czy nie jasne?

Bo jeśli nie jasne dostarczyć mogę dalszych świadectw niedoskonałości „odnowy”. W tym samym tygodniu (27-29 marca) w *Kurjerze Polskim* ukazał się wywiad Anny Baniewicz z krytykiem literackim i członkiem zarządu „Paxu” Zygmuntem Lichniakiem. Tematem rozmowy była literatura emigracyjna i poświęcone jej prace Lichniaka. Zareagował on żywo na pytanie o Instytut Literacki w Paryżu, by stwierdzić, że „służył [on] zawsze jako bezprzykładny symbol reakcyjnej dywersji. Trudno jest oczywiście zaprzeczyć, że wiele ukazujących się tu pozycji ma wyraźny, użyjmy popularnego zwrotu, antysocjalistyczny charakter. Powiem dobitnie: poglądy polityczne inicjatorów i inspiratorów paryskiej *Kultury* uważam za błędne, nie zgadzam się z nimi i uznaję je za obce życiu polskiemu w Polsce”. „Po prostu: wątpię, by był sens dogadywania się czy choćby dyskusji w tym zakresie”. Ząb za ząb, oko za oko — nie warto dyskuutować z wypowiedzią Lichniaka — przyszłość się z nim sama rozprawi i nietrudno przewidzieć sytuację, w której będzie zręcznie odwoływał swoje obecne sądy (czy raczej oświadczenia publiczne).

Z tekstu wywiadu wynika, iż Zygmunt Lichniak jest nie tylko



autorem wielu ogłoszonych drukiem książek (jedna z nich pt. „Dokoła Wojtka” to „rzecz o Wojciechu Żukrowskim”), ale i złożonej przed *dziesięciu* laty w wydawnictwie PAX i dotąd nie wydanej książki pt. „O współczesnej literaturze polskiej na emigracji”. „Książka moja nie mogła wyjść — czasy były nie po temu. Pisałem ją dwa lata, zaś materiały zbierałem o wiele dłużej”. Intencją Lichniaka było włączenie do naszego kulturalnego krwioobrotu wszystkiego tego co cenne, twórcze i wartościowe, co wzbogaca nasz kulturowy i narodowy stan posiadania i wkład w kulturę ogólną”. Stop. Słyszemy starą, ograniczoną melodię: o wyborze tradycji wartościowych. Przy jej dźwiękach odczytywano na nowo i rehabilitowano poszczególnych pisarzy i poszczególne ich utwory. Śladem tych zabiegów są luki w wydaniach zbiorowych pism Żeromskiego i Conrada.

Wynurzenia Lichniaka dobrze wprowadzają nas w konkretną sytuację obecną — najciekawsze są w nich takie np. realia, jak potwierdzenie parokrotnie już publikowanych narzekań na „brak debitu dla wszystkich nieomal książek i czasopism wydawanych poza krajem”. „Nie wolno ich również przywozić (na razie tylko Miłosz jest zwolniony od tego zakazu...)”. „Wiele nazwisk krążyło jako hasła-symbole, bez pokrycia w książkach”, co z kolei, jak ujęła to Anna Baniewicz — „sprzyjało powstawaniu mitów”. Jednym z nich — sądzi Lichniak — był „mit doskonałości wszystkiego, co powstawało poza krajem”. Pisarzy emigracyjnych a w szczególności Miłosza i Gombrowicza „studiowano tylko na klęczkach”, dostrzegając same światła.

Lichniak zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że po dziesięciu latach wiednięcia w archiwach wydawnictwa PAX książka jego zdezaktualizowała się w wysokim stopniu. Przyznaje się, że oparta jest zresztą na niezbyt naukowym gromadzeniu materiałów: „Z dotarciem do samych prac emigracyjnych jest kłopot” — pisze Lichniak. „Korzystałem z nich podczas moich podróży za granicą, trochę przywoziłem, gromadziłem własne archiwum. Musiałem z trudem i raczej samotnie zbierać informacje o tym, co się ukazało, gdzie tego szukać”. Przykładowo wymienia tytuły kilku opracowań literatury emigracyjnej wydanych poza krajem, z których korzystał, a więc dwutomowe dzieło zbiorowe „Literatura polska na obczyźnie” pod redakcją Tymona Terleckiego, bibliografie zawartości *Kultury* w opracowaniu Jana Kowalika i moim oraz, co kłóci się z informacją o złożeniu maszynopisu gotowej książki przed 10 laty, z moich „Szkiców o literaturze emigracyjnej”, wydanych w roku 1978 (tom 289 Biblioteki *Kultury*), a więc przed zaledwie *trzema* laty. O tym, że czytał je istotnie świadczy szereg wypowiedzi, ujmujących podobnie do mnie np. problem przyptyków i odpłyłów pisarzy,

pojęcie pisarzy - instytucji i in. Innym, pośrednim świadectwem jest bijący w oczy brak przykładów z najnowszej literatury emigracyjnej z ostatnich lat nie objętych moimi „Szkicami” oraz błędne informacje o Tymonie Terleckim, który — zdaniem Lichniaka — „prowadzi wykłady na uniwersytecie w Chicago”, Jerzym Pieterkiewiczu (!), wykładającym na uniwersytecie londyńskim oraz Wiktorze Weintraubie „uczącym w Harvardzie”. Ta ostatnia pomyłka jest szczególnie wymowna. Czyżby Lichniak nie wiedział o dopiero ostatnio przewyciężonych a trwających dwa lata trudnościach z wyjazdem prof. Stanisława Barańczaka, na którego od *dwu* lat czeka katedra w Harvardzie zwolniona po przejściu na emeryturę prof. Weintrauba? (Trzej wymienieni przez Lichniaka profesorowie są już od roku czy dwu na emeryturze).

#### Propozycje wydawnicze Lichniaka

Wywiad z Lichniakiem kończy się zapytaniem Anny Baniewicz: „Co i kogo proponowałby Pan najpierw wydać?”. „Możliwie dużo i selektywnie” — pada odpowiedź. Wcześniej wspominał Lichniak o zapadłych już decyzjach wydania dalszych tomów „Na wysokiej półoninie” Stanisława Vincenza oraz powieści Danuty Mostwin. Obecnie upomina się o „pełnego Gombrowicza”, poezje emigracyjne na przykład Jana Rostworowskiego, Stanisława Balińskiego, Józefa Łobodowskiego, twórczość Mariana Pankowskiego („częściowo znaną w Kraju”), Kazimierza Wierzyńskiego — „choćby 'Korzec maku', 'Ziemię-wilczycę' i 'Siedem podków’”. W dalszym ciągu „chciałby bardzo zobaczyć na naszych półkach niektóre książki Tadeusza Nowakowskiego np. „Szopę za jaśminami” lub „Aleję dobrych znajomych” (...) może i książki Herlinga-Grudzińskiego np. „Skrzydła ołtarza”, oraz powieści Marka Hłaski, czy szkice A. Stawara”. Poza tym „książki Z. Romanowiczowej, M. Danilewicz, J. Bielatowicza, pamiętniki prof. Lednickiego, Aleksandry Piłsudskiej a także znanych dowódców i polityków... I wreszcie eseistykę Stempowskiego i Bobkowskiego”. Sądzi, że nie jest to snucie nierealnych propozycji, gdyż „Miłosz przełamał pewien istniejący impas”. „Proces przyswajania literatury emigracyjnej musi być [jednak] *długotrwały*, ale trzeba go wreszcie zacząć”. To był cel podjęcia prac nad książką o literaturze emigracyjnej — przed 10 laty... Przymiotnik „*długotrwały*” (podkreślenie M.D.Z.) nabiera w tym kontekście złowrogo znaczenia.

Z propozycji wydawniczych wysnuć można ciekawe wnioski. Już wcześniej wspominałam o predylekcji do pisarzy zmarłych.



Ale i oni nie są ułaskawieni w całości ich dorobku z lat emigracyjnych. Występuje to wyraźnie w wylczeniu tomików wierszy Kazimierza Wierzyńskiego, w którym pominięto „Czarny polonez” i ostatni znakomity tom przedśmiertny „Sen mara”. W jeszcze wyższym stopniu dotyczy to pisarzy żyjących i nadal czynnych: Tadeusza Nowakowskiego i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Razi nieobecność dobrze znanego czytelnikom krajowym Włodzimierza Odojewskiego, Leopolda Tyrmanda, Henryka Grynberga i in., przemilczenie Józefa Mackiewicza oraz brak najlżejszych bodaj wzmianek o Janinie Kowalskiej, Alicji Iwańskiej i innych pisarkach emigracyjnych. Na liście najpilniejszych dezyderatów zabrakło nazwiska Wacława Iwaniuka. Głucho o Pawle Łysku. Słowem: aktualizacja złożonej w Paxie książki wymaga dużego i czasochłonnego wkładu pracy i przewyżczenia skłonności do pochopnych sądów, których najlepszą ilustracją jest ryczałtowe potępienie Instytutu Literackiego a następnie stopniowe włączanie do wywiadu dziesiątków wydanych przez tę placówkę książek.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejfo, 18 kwietnia 1981

## BBC — POLISH SECTION

The BBC requires a Programme Assistant (journalist-translator) for its Polish Section in London. Applicants with perfect Polish must have: — A degree level education, a thorough knowledge of English, the ability to translate quickly and accurately, a good microphone voice, an interest in current affairs. Journalistic and/or broadcasting experience would be an advantage.

Write, giving brief c.v., within 14 days to:

**Recruitment Office, Language Services,  
BBC, P.O. Box 76, Bush House, Strand,  
London, WC2B 4PH, England.**

Please quote reference 81. G. 1239 and enclose an addressed envelope for reply.

## Dziennik pisany nocą

Neapol, 7 kwietnia 1981

W poczcie zaległej po „lafickim miesiącu” list, który warto wpisać do dziennika, wykrótkowując tylko to co w nim mniej istotne lub znamienne.

„Szanowny Panie, zobaczyłam adres Pański w *Kulturze* i nadsunął mi się oczywisty wniosek, że należy spróbować napisać list. Chciałabym przede wszystkim podziękować za te książki, które dopiero za granicą miałam okazję przeczytać. Jestem tutaj po to, aby uczyć się prawdziwej historii Polski, co na pozór jedynie wydaje się nonsensem. No właśnie... Myślę cały czas o *Innym Świecie*. Ta książka to był dla mnie szok. Naprawdę. Ale myślę, że szok potrzebny... Aby zrozumiał Pan tę historię mojego szoku (to nie egzaltacja, proszę mi wierzyć), muszę spróbować opisać troszeczkę moje życie. Otóż jestem z rocznika 1959, a więc grubo po wojnie. Przyjaźń ze Związkiem Radzieckim i te wszystkie bzdury, o których nie mogę teraz pisać bez irytacji dla mojej naiwności, były dla mnie czymś oczywistym i przyjemnym: w okresie dzieciństwa listy do pionierów radzieckich, obrazy międzynarodowe, 1 Maja itp. Później, w liceum, tak jak wszyscy demonstracyjnie nie uczyłam się języka rosyjskiego (posiadanie 'czwórki' albo — co gorsza — 'piątki' było bardzo niemile widziane przez społeczność klasową), zrywałam Lenina z gazetki ściennej i tym podobne głupstwa. Jednocześnie wszyscy nasiąknęliśmy intuicyjną nienawiścią do ZSRR. Piszę 'intuicyjną', bo przecież skąd mieliśmy się dowiedzieć prawdy? Podręczniki tego nie mówią, a starsi, nawet jeżeli wiedzą, też milczą.



Boją się?... Na nieszczęście dla 'czynników oficjalnych', czyli dla naszej pani z historii, historia współczesna przewidziana jest w programie szkolnym dopiero w IV klasie. Czyli w wieku 18-19 lat. To może nie jest dużo, ale niektóre zupełnie oczywiste fakty można już pokoiarzyć... Wiedziałam o różnych rzeczach trochę i moim zadaniem na zagranicę było dowiedzieć się więcej. To co przeczytałam przeszło moje najgorsze oczekiwania — zaraz, w pierwszych miesiącach pobytu, te książki: Pan, Sołżenicyn, Czapski, Orwell. Moja nienawiść zyskała realne podstawy. Po przeczytaniu *Innego Świata* napisałam sobie: 'Nic z tej książki nie da się opisać, bo słów nie starcza. Trzeba przeczytać... i co? Nigdy nie zapomnieć i nigdy nie przebaczyć'. Nie wiem czy to dobre credo, ale cały czas tak myślę. I jeszcze, że trzeba robić wszystko, żeby przeczytali tę książkę moi rówieśnicy, moi przyjaciele... W mieście mojego obecnego pobytu często widuję na murach rysunki, w których znak równania figuruje między swastyką oraz sierpem i młotem. Na początku myślałam, że to jednak przesada. Teraz tak nie sądzę... Przepraszam, że ten list nie jest bardzo składny, ale bardzo chciałam go napisać".

◆

Cieszyłbym się, gdyby list mojej dwudziestodwuletniej korespondentki przeczytał Stefan Bratkowski, który w wielkim programowym artykule na łamach *Życia Warszawy* pisze: „Jest w naszej *wspólnej* (podkreślenie — S.B.) historii wiele spraw do wyjaśnienia. Ale do wyjaśnienia, nie do kampanii nienawiści. Nie możemy z najbliższym sąsiadem, z kolejnymi jego pokoleniami, układać swych stosunków na płaszczyźnie win i dramatów sprzed czterdziestu lat. Ani załatwiać żadnych interesów, rozpłomięniąc w sobie resentymenty strachu i niechęci. To do niczego nie prowadzi. Nie będziemy żyli w niczym innym sąsiedztwie, choćby niektórym z nas wydawało się, że mieszkamy na Madagaskarze”.

Cieszyłbym się również, gdyby ze szczególną uwagą przeczytał fragment mojej przedmowy do *Innego Świata* w krajowym wydaniu NOW-ej: „Falę rosyjskich opisów Gułagu wyprzedziła znacznie polska, dlatego po prostu że poza granicami ZSSR i zasięgiem policji totalitarnej dane nam było wcześniej dorwać się do piór. Przy takich czy innych różnicach doświadczeń, akcentów i naturalnie talentów nasz obraz „cywilizacji więziennej” był podobny: nieodłączna część składowa komunizmu, jak karczety i komory gazowe stanowiły nieodłączną część składową hitleryzmu. Chciałbym bardzo, żeby czytelnicy krajowego wydania *Innego Świata* tak właśnie go odczytali, nie nasłuchując w nim

zanadto ech „specyficznie rosyjskich”, mimo że patronują mu z oddali *Zapiski z martwego domu* Dostojewskiego. Nie wierzę w absolutnie niezmiennie „predyspozycje narodowe”, wierzę natomiast w działanie historii i w zdolność ludzi do jej kształtowania, przynajmniej w pewnych granicach. W roku 1963, naza jutrz po ukazaniu się opowieści Sołżenicyna w miesięczniku Twardowskiego, napisałem szkic *Jegor i Iwan Denisowicz*, w którym sołżenicynowski bohater wystąpił jako bliski powinowaty bohatera jednego z rozdziałów książki Czechowa o Sachalinie. Ostatnio ten szkic przedrukowano po rosyjsku w numerze *Kontynentu* poświęconym Sołżenicynowi. Słyszę że Sołżenicyn poczuł się koligacją dotknięty, dopatrując się w niej aluzji do „wiecznego rabstwa” rosyjskiego, może w duchu słynnego eseju Bielinkowa *Strana rabow, strana gospod*. Nie dostrzegł jednak w moim szkicu jego motywu przewodniego, sparafrazowanego lekko okrzyku Marksa: „Jakże nędzny jest ustrój, który dla swej obrony musi się odwoływać do kata!”. Tyle byłym rosyjskim i nie rosyjskim marksistom zostało, i winno na zawsze zostać, z Marksa w obliczu ustroju opartego na jego naukach. Obsesja (jak ją nazwał Iwaszkiewicz) — szlachetna obsesja! — „archipelagu”, „innego świata”, „nie ludzkiej ziemi”, łączy wielkiego pisarza rosyjskiego, polskiego autora niniejszej książki i tysiące Rosjan, Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Żydów, na przekór upartym stereotypom narodowym”.

To są „liczne sprawy do wyjaśnienia w naszej wspólnej historii”. Jestem, jak Bratkowski, za ich wyjaśnieniem (co, rzecz prosta, oznacza ich uprzednie ujawnienie) zamiast „kampanii nienawiści”. Sęk w tym że przeciw są władcy naszych krajów, po obu stronach „naszej wspólnej historii” (podobno Chruszczow zaofferował Gomułce odsłonięcie prawdy o Katyniu na rachunek „kultu jednostki”, ale spotkał się z jego stanowczą odmową). Skazani, po obu stronach „naszej wspólnej historii”, na życie przeszłością zafałszowaną i amputowaną, nie powinniśmy się dziwić uczuciom wyrażonym w liście mojej młodej korespondentki z kraju: uczuciom nienawiści „intuicyjnej” aż do chwili zdobycia „realnych (lecz zatajonych) podstaw”, uczuciom które streszcza credo „nigdy nie zapomnieć i nigdy nie przebaczyć”. Zatajenie podsyci nienawiść, rozpłomięni ją do słów „nigdy nie przebaczyć”. Lepiej więc w Warszawie dążyć w miarę sił do zmiany tego stanu rzeczy, niż dość lekką ręką odsuwać na bok „winy i dramaty sprzed czterdziestu lat”. Właśnie w imię, i w dobrze rozumianym interesie, owego „sąsiedztwa”; w imię faktu, że „nie mieszkamy przecież na Madagaskarze”.

W Bibliotece *Kultury* moja książka ukazała się z krótkim wstępem wydawcy. Są w nim słowa które przeczyła może,



a których nigdy także nie powinna zapomnieć, moja młoda korespondentka: „Nie da się widm przeszłości wyegzorcyzmować milczeniem. Jeżeli cokolwiek może zbliżyć Polaków do Rosjan, to mówienie na głos o krzywdach i świadomość wspólnego cierpienia. Wspólne cierpienie, cierpienie wszystkich więźniów stalinowskiego imperium koncentracyjnego, tkwi u źródeł *Innego Świata*. Ze wspólnego cierpienia powstaje wspólna nadzieja”.

13 kwietnia

To co się w Polsce dzieje od sierpnia ubiegłego roku określane jest najczęściej słowem „odnowa”. Definicja ma charakter swoistego kompromisu semantycznego, który poręcza tzw. dobrą wolę społeczeństwa i władzy w poszukiwaniu kompromisu politycznego. Ale jest to definicja nieściśła: jak zwykle bywa ze słowami które starają się dogodzić wszystkim i usiłują spiłować lub zamazać ostre kandytu sytuacji, więcej zasłania niż odkrywa. Formułę dokładniej przylegającą do Polskiego Sierpnia trzeba zapożyczyć od wytrawnego znawcy przedmiotu. „Rządzący zdają sobie sprawę że nie mogą dalej rządzić starymi metodami, rządzeni nie chcą już dopuścić by rządzono nimi dalej starymi metodami”. Tak Lenin określił niegdyś sytuację rewolucyjną. „Odnowa” zaspakaja bardziej, w kompromisie semantycznym, potrzeby władzy. Z przymiotnikiem „socjalistyczna”. I z przestrogą zawartą w maksymie Tocqueville’a: *Le moment le plus dangereux pour un mauvais gouvernement, c’est lorsqu’il commence à s’amender*.

Pierwszy etap polskiej sytuacji rewolucyjnej rozwinął się i zamknął w pewnej mierze pod znakiem „charyzmy” Wałęsy, który w wywiadzie udzielonym na początku marca Orianie Fallaci część swojej „charyzmy” przypisał uczciwie „decydującemu poparciu” kardynała Wyszyńskiego. Wywiad — kto wie, czy nie dzięki rozmaitym „przegadaniom” i szarżom w psychologicznym rozluźnieniu szczerości — jest ciekawy i pouczający. Do „charyzmy” należą zdania: „Nie wiem, czy jestem przywódcą, ale gdy tłum milczy, rozumiem co chciałby powiedzieć i sam to mówię”; „umiem kontrolować gniew ludu”. Do istoty polskiej sytuacji rewolucyjnej zdania: „Polska po sierpniu 1980 nie będzie nigdy więcej taka jak była, nigdy więcej”; „chcieli byśmy się bali karabinów i czołgów, a my się ich nie boimy”; „wielkie imperia upadały w dziejach ludzkości”. Prawda: od rewolucji 1917 roku nie było w historii komunizmu wypadków równie doniosłych i brzemiennych w skutki, jak Polski Sierpień. Prawda też: jes-

teśmy, być może, świadkami początku końca imperium sowieckiego.

U progu drugiego etapu powstają problemy przerastające „charyzmę”, co Wałęsa zdaje się przeczuwać w epilogu rozmowy z dziennikarką włoską. Problemy „samoograniczającej się rewolucji”, jak je nazywa Jadwiga Staniszkis. „Samoograniczającej się”, bo „ruch związkowy, niesłuchanie radykalny na początku, zaczął szybko pod presją sytuacji zewnętrznej poszukiwać formuły jeszcze możliwej do zaakceptowania przez władze”. Mimo wszystko i wciąż rewolucji, bo ani nie można zahamować „impetu dołów”, ani nie wolno rezygnować z „rosnącego radykalizmu i szybko postępującej polityzacji mas robotniczych”.

Dla pełnego obrazu (do czego, poza takim obrazem, mogę aspirować w moim dzienniku?) mądry artykuł Kazimierza Dzięwanowskiego w pierwszym numerze *Tygodnika Solidarność*. Mowa w nim o niezmiernie ważnym przedziale pokoleniowym w polskiej rewolucji sierpniowej. Z roczników starszych i średnich „wywodzą się ludzie o postawie uparcie mediacyjnej, ostrożnej, nieraz naznaczonej brakiem wiary we własne siły”. Młodzi „nie przeżyli już wielkiego strachu i ostatecznej rozpacz... Starci do niedawna patrzyli na nich z pobłażaniem, nawet z lekceważeniem. Ale niesłusznie — ci młodzi właśnie są ludźmi normalnymi; nienormalni zaś są ci, którzy widzieli kłeskę”. Głównym naszym kapitałem jest ta całkowita normalność rewolucyjna, a nie pół- czy ćwierćnormalność „odnowy”.

15 kwietnia

Normalność, nienormalność. Zachód, przy całej sympatii do rewolucji polskiej, uważa ją w głębi ducha (czasem nawet nie za bardzo w głębi) za nienormalną, jak w anegdocie o człowieku, który po raz pierwszy w życiu zobaczył żyrafę i mruży pod nosem kręcąc niedowierzająco głową: „Nie, nie, takiego zwierzęcia nie ma”. Skoro nie ma, skoro jest majakiem albo niezwykłym wybrykiem natury, to albo za chwilę zniknie albo sama natura zgotuje mu nagłą śmierć aby znowu zapanowały jej zwykłe prawa. Ciągłe krakanie prasy zachodniej o nadchodzącej już już inwazji ośmiela pośrednio „naturę” do restytucji „naturalnego porządku” owych „praw”. Do jałtańskich chorób Zachodu (uleczalnych? nieuleczalnych?) należy również atrofia wyobraźni.

Wyjątkowość rewolucji polskiej polega na tym, że jest bezkrwawa. Nienormalność rzeczywista na tym, że musi dbać o ocalenie monopartii przeciw której wybuchła. Jak jedynowładcom narzucić — nie kwestionując nominalnie ich jedynowładztwa —



faktyczną dwu- czy trójwładzę? Jak podzielić się władzą ze stróżami i wykonawcami władzy niepodzielnej? Podkreślając i wykazując bezustannie, na każdym roku, że nie istnieje żadna inna alternatywa; z wyjątkiem najgorszej, która niczego nie ułatwi i niczego jedynowładcom nie przywróci prócz bata wciśniętego im do rąk przez najeźdźcę w obliczu powszechnego oporu narodowego i społecznego. Pytanie, czy dostatecznie dobrze rozumie to sam potencjalny najeźdźca; i czy potrafi przejść do bardziej wyrafinowanych, subtelnych form obrony swego zagrożonego, imperialnego stanu posiadania. Wczoraj w Rzymie poeta rosyjski B. powiedział mi, że byłyby one „dla nas wszystkich niebezpieczniejsze”. Co do mnie, wolę to ryzyko od czekania na generalny krach systemu i gwałtowny rozpad imperium.

### 19 kwietnia

Podczas jednej z sesji literackich *Biennale del dissenso* w Wenecji, w grudniu 1977, znany germanista czeski Edward Goldstücker poprosił o głos w sprawie nie związanej bezpośrednio z tematem obrad. Tego dnia przypadała rocznica egzekucji Slansky'ego i towarzyszy i rozsypania ich spopielenych resztek na pustym polu pod Pragę, wezwał więc obecnych do uczczenia minutą milczenia ich pamięci. Obecni spojrzeli po sobie, zapadło milczenie, ale zakłopotane (żeby użyć eufemizmu). Tylko te i *takie* ofiary terroru, nawet w śmierci „równiejsze od innych”... Na szczęście przewodniczący zarządził przerwę, w powietrzu wiisała groźba eksplozji „sprzeczności wewnętrznych” *dissenso*.

Goldstücker, komunista od wczesnej młodości, spędził wojnę w Anglii, po wojnie odkomenderowano go w Pradze do służby dyplomatycznej, ambasadorował w kilku stolicach, aresztowano go i automatycznie wyrzucono z partii w roku 1951 za „udział w spisku syjonistycznym”, skazano na dożywocie, przesiedział cztery lata, potem wrócił do swojej germanistyki, w roku 1963 był animatorem „rehabilitacji” Kafki „wykłętego” w „socjalistycznej” Czechosłowacji, w okresie Wiosny Praskiej został członkiem KC, rektorem Uniwersytetu Karola i prezesem Związku Pisarzy, po inwazji uciekł z kraju, obecnie wykłada w Anglii. Wszystko to opowiada dziennikarzowi włoskiej *Unità* w książeczce-sповідzi *Da Praga a Danzica*. Wszystko to także, nie przestawszy być ani na chwilę komunistą (i nie przestając nim być nadal). Gdy go w roku 1955 zwolniono z więzienia, pierwsze kroki skierował do Komitetu Centralnego, gdzie go przyjął czeski ubek, b. organizator „nielegalnych procesów”. Trochę pogadali, trochę pożartowali i pośmiali się na wspomnienie minio-

nych dziejów, po czym ubek oznajmił mu że jeśli chce wrócić do partii, musi zapłacić zaległe składki. Ponieważ nie miał jeszcze pieniędzy, ustalili praskim targiem symboliczną koronę za każdy odsiedziany miesiąc, z zaliczeniem lat za kratami do rejestru wysługi partyjnej. Czy był to trybut złożony „nowej socjalistycznej alienacji” przez protektora Kafki, czy po prostu dowód komunistycznego zidiocenia (nazywanego w książeczce „wiarą”), jest dylematem którym niech się zajmą badacze „zniewolonego umysłu” (jeżeli tacy wciąż jeszcze istnieją).

Dla mnie ciekawszy jest pomysł książeczki, czyli spojrzenie na Pragę z perspektywy Gdańska. W momencie jej przygotowywania do druku, we wrześniu zeszłego roku, Goldstücker na wielki plus partii „z dumą” zapisuje uniknięcie „ogromnego niebezpieczeństwa”, mianowicie stłumienie w zarodku spontanicznego, przybierającego z dnia na dzień na sile hasła robotniczego „twórzmy związki zawodowe bez komunistów”. Natomiast Dubczek i towarzysze popełnili, według niego, trzy kardynalne błędy: nie ostrzegli od początku ZSSR i pozostałych krajów „bloku”, że nie będą tolerować żadnej ingerencji w wewnętrzne sprawy Czechosłowacji; dopuścili do ogłoszenia manifestu *Dwa Tysiące Słów*; pobłażliwie potraktowali projekt odbudowy czeskiej partii socjaldemokratycznej. Kiedy zaś w oczach ZSSR przebrała się wreszcie miarka, kiedy ich po inwazji (bez wystrzału) odstawiono skutych do Moskwy, nie powinni byli godzić się na pertraktacje i podpisanie układu kapitulacyjnego. Jak się ten melanz układu w profesorskiej głowie o „ludzkiej twarzy”, jest dla mnie nie do pojęcia. Lepiej już pojmuję opis Zdenka Mlynara w *La Nuit sur Prague*, w którym 26 sierpnia 1968 na kremlo wskazanym egzaminie profesor marksizmu-leninizmu Breżniew beszta rozdygotanego uczniaka Dubczeka za karygodnie mizerne postępy w nauce.

### 20 kwietnia

W pierwszą rocznicę śmierci Sartre'a piszący o niej nie ukrywają zdumienia i zaskoczenia: w ciągu roku został prawie całkowicie zapomniany, jak to możliwe, czym wytłumaczyć taką radykalną „desartryzację” po kilku dziesięcioleciach tronowania jednego z wielkich *maitres-à-penser*? Zdumiewające i zaskakujące było raczej jego długie, choć ostatnio przyćmione już buntami i oporami, tronowanie. Zachodziłem zawsze w głowę, dlaczego okadzali go i nabożnie słuchali wyznawcy na Zachodzie, po co pątnikowali do niego pokornie adulatorzy ze Wschodu? Nawet tak mądry pisarz jak Gombrowicz krążył wokół niego bez przer-



wy w *Dzienniku*. Co prawda polemicznie, ale czy nie z przesadną wytrwałością? Nie widział, mógł doprawdy nie widzieć, jaki kolosalny humbug intelektualny kryje się za błyskotliwym, sztucmistrzowskim piórem?

Do grobu odprowadziło Sartre'a 15 kwietnia 1980 piętnaście tysięcy osób. W zupełnej ciszy rozległ się nagle czyjś okrzyk: „Boże, jak go nienawidzili!”. Kto? Prawica? Musiał się przed laty dobrze natrudzić, by go w końcu wepchnięto z grupką demonstrantów ulicznych do furgonetki policyjnej. Lewica? W gorące maja paryskiego wygwizdali go studenci na Sorbonie. Dzisiaj układa się, dla zabawy, małe antologie jego periodycznych wzlotów myślowych. Rok 1954: „W Związku Sowieckim panuje absolutna wolność, obywatel sowiecki poprawia stale swoje położenie w społeczeństwie stale postępującym naprzód”. Rok 1955: „Byłem jak porażony pełną identycznością poglądów narodu chińskiego i jego klasy kierowniczej; nazywam to samostanowieniem mas”. Rok 1956: „Błędem niewybaczalnym był raport Chruszczowa, gdyż szaleństwem jest publiczne oskarżanie postaci o cechach sakralnych”.

Zostawił po sobie w spadku skrajną nieufność do „intelektualistów”. Nie lada dokonanie filozofa, dzierżącego tak długi berło *maître-à-penser*.

23 kwietnia

Od dnia porwania Moro stanowczo, a wcześniej nie bez pewnych wahań, byłem zdania że współczesny terrorizm powstał z diabolicznej mikstury, którą podgrzały w alembiku i doprowadziły do stanu wybuchowego „obce ambasady”, według schematu conradowskiego *Tajnego Agent*a. Zarobiłem sobie tą opinią wśród włoskich przyjaciół i znajomych na miano pomyłka czy co najmniej maniaka, któremu czerwień Czerwonych Brygad rzuciła się dodatkowo na mózg, przeżarty już od dawna urazem antykomunistycznym i antysowieckim. Kilka miesięcy temu na podobne schorzenie mózgu zapadł prezydent Pertini (wywołując święte oburzenie w Moskwie), co moich włoskich przyjaciół i znajomych musiało jednak odrobinę zreflektować. Coś w tym jest, jeśli urzędujący prezydent Republiki i emigracyjny przybłęda dochodzą do analogicznych wniosków: pierwszy czyta ściśle tajne raporty, drugi tylko książki i gazety, czyżby w obu źródłach wyczytać można było to samo? Dzisiaj moja hipoteza stała się truizmem, tezą niemal urzędową (niemal, bo Pertini zastrzegł się że przemawia *a titolo personale*), tracąc wiele ze swego dotychczasowego uroku „wariactwa”.

Książka dziennikarki amerykańskiej Claire Sterling *The Terror Network*, czytana teraz z przejęciem we Włoszech, jest skrupulatnym udokumentowaniem schematu *Tajnego Agent*a. Dla odmiany interesuje mnie w niej inny składnik (choć jego inność jest względna) mikstury w terrorystycznym alembiku. Odtwarzając pierwotną strukturę terroryzmu włoskiego, z okresu założycielskiego, Claire Sterling twierdzi że była ona wierną kopią modelu rosyjskiego, wymyślonego przez Nikołaja Iszutina w roku 1866. W wynalazku Iszutina działały dwa kręgi. Jawny, nazywany po prostu „Organizacją”, zajmował się agitacją i propagandą w szkołach, księgarniach, stowarzyszeniach społecznych, kółkach inteligencji. Tajny koncentrował się wyłącznie na mordach, napadach, rabunkach, szantażach, porwaniach. I nazywany był, też po prostu, „Piekieł”. Wynalazca umarł obłąkany na Syberii. *Biesy* powstały w latach 1869-1870.

28 kwietnia

„U nas wsio w balszom massztobie, u nas wszystko na wielką skalę”. Często słyszałem w ZSSR te słowa, wypowiedane bądź z odcieniem dumy przez nadzorców więziennych i obozowych, bądź z odcieniem gorzkiej ironii przez więźniów. I rzeczywiście, zasada sprawdza się na każdym odcinku. My mamy *Małą Apokalipsę* Konwickiego, oni *Wielką Apokalipsę* Zinowiewa. Gotowiśmy się nabawić tzw. Miko, *Minderwertigkeitskomplex*, polskiego kompleksu niższości.

Wizję Wielkiej Apokalipsy sowieckiej roztacza Zinowiew w rozmowie z dziennikarzem francuskim. Otóż Zachód popełnia „gigantyczny” błąd. „Garstka uprzywilejowanych miałaby (według tego błędu) trzymać dziś w łapach, dzięki systemowi policyjnemu, zrewoltowaną potajemnie masę. Oczywiście system policyjny trwa ciągle. Lecz Gułag jako instytucja jest w trakcie zanikania. I naród sowiecki nie ma najmniejszej ochoty buntować się przeciw swym przywódcom”. Rzecz da się wyjaśnić obrazowo, za pomocą „swego rodzaju dowodu”. Brzmi on następująco: „Większość świń czuje się szczęśliwa. Biegają dokoła swego chlewu, przynosi im się żarcie, tarzają się i taplają w błocie”. Jak się ta sztuka uświnienia i uszczęśliwienia narodu udała przywódcom sowieckim? Jaka — pyta dziennikarz francuski Suffert — jest istota ich siły? Nasza głupota? Ich ideologia? Ich potęga wojskowa? To też, ale przede wszystkim prawo entropii. Co tu ma do rzeczy entropia? Niech pan się nie gorączkuje, drogi panie Suffert, niech pan posłucha: „Entropia pochodzi z praw Carnota i termodynamiki. Entropia jest funda-



mentalnym prawem wszystkiego co istnieje: jest schyłkiem, obniżeniem, przemieszczeniem, prochem. Słowem, jest ostatnim stadium materii. No i to stadium zerowe jest, jeśli się tak można wyrazić, zdobywcze. Wszystko co istnieje musi od niego wyjść i do niego wrócić, rozpuścić się w jego anonimacie. Myślę więc, że komunizm może się z powodzeniem stać ostatnim stadium ludzkiej historii, ponieważ odpowiada prawu entropii; jest, krótko mówiąc, punktem zerowym człowieka”.

Trudno zaprzeczyć, że nasza rodzima, polska entropia jest betką w porównaniu z sowiecką. W Wielkiej Apokalipsie Zinowiewa chlewisko zbudowano w balszom *massztapie*, biegają dookoła niego ogromne knury i maciory, tarzają się i taplają w bezkresnym błocku. W *Małej Apokalipsie* Konwickiego uganiają się po widmowej Warszawie przyszłości małe zadowolone polskie wieprzaczki, ryją się w poszukiwaniu żarcia w skromnym ojczystym chlewiku, tarzają się i taplają w płytkim nadwiślańskim błocku, nie zwracając najmniejszej uwagi na gromadkę postrzelonych dwunożnych amatorów całopalenia. W rok po ukazaniu się powieści Konwickiego wybuchł Polski Sierpień. Dla Zinowiewa nie byłby to żaden „swego rodzaju dowód”. Należy on bowiem do filozofów święcie przekonanych, że jeżeli rzeczywistość nie daje się dopasować do skonstruowanego logicznie systemu teoretycznego, tym gorzej dla niej.

Dziwny ten Zinowiew. Znakomity, gdy w *Przepastnych wyżynach* i w lepszej jeszcze *Świetlanej przyszłości* opisuje konkretnych inteligentów moskiewskich z krwi (zatrutej) i kości (przełęczonych). Dobry nawet, gdy w studiach nie powieściowych analizuje zamkniętą strukturę władzy i biurokracji sowieckiej. Zadufany, zachłystujący się własną „teorią naukową komunizmu”, urzeczony „śmiałyymi rzutami czystej myśli”, gdy przychodzi mu coś powiedzieć o całej reszcie, czyli o wielomilionowym stadzie „szczęśliwych świni”.

Książd Tischner słusznie zauważa: „Nie wiem, czy istnieje jakaś inna teoria społeczna oprócz marksistowskiej, która by tak dalece stępiała człowiekowi naturalny zmysł rzeczywistości”. Okazuje się, że istnieje. Zakwita na gruzach marksizmu, jako jego podobizna z odwrotnym znakiem.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Drugi list z Polski

Jak wlać moją łyżeczkę do morza artykułów o Polsce? Wyjechałem z niej dziesięć dni temu i już trudno mi wyobrazić sobie, jak tam jest. Jak wygląda życie osobiste, zawodowe, praca. A w masie obywateli jaka jest ich jednomyślność i jakie są podziały, według wieku, zawodu, przynależności partyjnej czy związkowej.

Bo ludzie nie tylko są różni, ale i nie są równi. Ten czysto teoretyczny wynalazek równości zrobiono dwieście lat temu nie bacząc, że już niemowlęta rodzą się zdrowe, chore, upośledzone.

Z wolnością i braterstwem jest podobnie. Trzeba sobie jakoś radzić z tymi hasłami, niezależnie od dłuższego czy krótszego życia hasań branych dosłownie, co zazwyczaj prowadzi do najokropniejszych rezultatów. W związku z tymi rozmyślaniami pytam, co się stało w Polsce? Czy przypadła nam rola dziecka, które krzyknęło (w wielomilionowej masie ludzkiej), że król jest nagi?

Przebąkiwało o tym wielu pisarzy i wielu ludzi obdarzonych szczyptą rozsądku. Byli wśród nich i racjonalści i irracjonalni prorocy. Czego jednak trzeba i kiedy nadchodzi moment, w którym absurd zostaje nie tylko odkryty, ale i publicznie, wszem wobec i całemu światu pokazany? Jasno, jako coś, co winno być powszechnie widoczne. Czy to się stało rzeczywiście — a więc, czy rzeczywiście zaistniały warunki po temu, żeby robotnicy i chłopcy pokazali światu to, czego świat nie chciał zobaczyć i nie mógł widzieć, oślepiiony durnymi hasłami, które się nigdy i nigdzie nie sprawdziły, choć powstały ze szlachetnych pobudek i spekulacji?

Mógłbym zacząć od zdania: „Oto kraj, doprowadzony do bezprzykładnej ruiny”. Wiedzą o tym wszyscy, Polacy jednak



mało o tym mówią. Skarżą się, to prawda. Połowa tego — zawsze jeszcze rolniczego — kraju stoi w ogonach po podstawowe artykuły spożywcze. Ale mało kto rozprawia o przyczynach gospodarczej i ekonomicznej ruiny, o zysku, rentowności, o produkcji, pieniądzu i o konkretnej reformie gospodarczej.

Moim pierwszym wrażeniem po 90-ciominutowym locie z Warszawy do Zurychu było, że znalazłem się w kraju, w którym można wszystko kupić za pieniądze. Zacząłem więc myśleć nie tylko o pieniądzach, ale i o tym, że tu wszyscy coś fabrykują, produkują, sensownie pracują i organizują swoją pracę, a przy tym — o dziwo! — zarabiają. Papierek z cyfrą 10 czy 1.000 reprezentuje tu towar którego jest, na oko, za dużo. W systemie, w którym środki produkcji i narzędzia pracy są własnością państwa, wszystko to jest do góry nogami. Obywatelowi odjęta jest swobodna i prywatna inicjatywa. Żeby nie wiem co zarobił czy ukradł, nie może tego obrócić ani na prywatną, ani na państwową inwestycję. (O willach nie piszę, bo to nie są inwestycje rentowne). W imię szlachetnej teorii, że prywatny zysk prowadzi do wyzysku człowieka przez człowieka, upaństwowiono wszystko, łącznie z osławionymi narzędziami pracy, i odebrano jednostce wszystko co było od sześciu tysięcy lat motorem, pobudzającym ową jednostkę do (osobistego!) działania. Kto nie wierzy, niech popatrzy na kraje, w których zrealizowano te szlachetne idee. Po zniesieniu drastycznych nieraz niesprawiedliwości wszędzie nastąpiła bądź klęska, bądź katastrofa ekonomiczna.

Nie będąc ekonomistą, ani politykiem, widzę tylko tyle co widzieć może dziecko. Dziecko, które wykrzyknęło, że król jest nagi. I widzę, że mój kraj nie chce przyjąć systemu i porządku, który mu narzucono. Że ten kraj — powiedzmy wielkie słowo: że ten naród zwymiotował podawaną mu od trzydziestu pięciu lat potrawę.

Co ma się jednak stać z krajem, który wymiotuje ustrój, którego ze względów geopolitycznych — jak to nazywa Kisielewski — nie można zmienić? Czy można zmienić coś, czego zmienić nie można?

Można rozmawiać, pertraktować. Można wynajdywać słowa, które coś zamaskują, coś ułożą, ułożą *modus vivendi*, dialog władzy z narodem i dialog władzy z władzą nadrzędną, tą która na Kremlu pilnuje, ażeby w krajach podległych panował porządek.

Trzydzieści pięć milionów obywateli tego kraju — wyłączyć z nich można jednostki i kilka czy kilkadziesiąt tysięcy ludzi zastraszonych lub trzymających się kurczowo swoich posad — trzydzieści pięć milionów żywi mocną nadzieję, że możliwa jest

ewolucja, „polski model socjalizmu”, rozszerzenie swobód. Skoro ten system przełknął istnienie i rolę niezależnego od władzy Kościół, skoro nie upaństwowiono wszystkich gospodarstw rolnych, to może potrafimy precyzyjnie przez doktrynalne ucho igielne i reformy dotyczące całej gospodarki narodowej? Ale jakie mają być te reformy?

Chłopi! Kisielewski widzi w ich istnieniu i polepszonym statusie nadzieję. „Kto Polskę może uratować?” — pisze w kwietniowym numerze *Kultury*. „Moim zdaniem chłopi. (...) Chłopi mogą i muszą przeprowadzić to, od czego uchylają się związki robotnicze i co wyadministratrować próbuje pewna komisja: reformę gospodarczą, przemianę ekonomicznego myślenia, odrodzenie realnego prawa wartości. Chłopi w komunistycznej Polsce ostali się jako jedyna autentyczna, nie zaś sztucznie zaprojektowana warstwa społeczna. Chłop jest zarazem pracobiorcą i pracodawcą, robotnikiem i producentem, własnym planistą...” itd.

Czy jednak będziemy mogli zdobyć się w PRL na rzetelne poparcie chłopskich gospodarstw, z których młodzież uciekła, niepewna losu tych kilkuhektarowych przeważnie działek?

Przez długie lata kułak był przedmiotem wszystkich możliwych ataków. A wiemy, że to on właśnie powinien być głównym żywicielem kraju, tak jak w RFN jest nim *Grossbauer*, a w Stanach Zjednoczonych czy w Kanadzie farmer. Gospodarz, który sam, przy pomocy kilku pracowników, wyjeżdża orać, siał i zbierać, hoduje bydło, świnie i owce, może kupić i naprawić maszyny rolnicze, powiększyć swoje gospodarstwo lub zbankrutować, jeżeli nie potrafi go prowadzić. Nawiasem tu dodam, że „prawo do bankructwa” jest takim samym motorem jak prawo do inicjatywy i do wzbogacania się. Tylko socjalizm gwarantuje dotacje, popierające nierentowne przedsiębiorstwa.

Czy wszystkie te warunki, popierające indywidualną i chociażby tylko rolną gospodarkę „przeklętych kułaków” — są możliwe w PRL, czy też są tylko marzeniem? Z pewnością poprawa losu i bytu chłopów jest możliwa i może sprawić, że nie znajdziemy się w sytuacji ZSSR, gdzie największe obszary świata nie są w stanie wyżywić swoich mieszkańców; ratują się importem dziesiątków milionów ton ziarna i paszy, importem, którego embargo zniósł właśnie prezydent Reagan w chwili, gdy piszę te słowa.

Gigantomania państwowych inwestycji przemysłowych, które zaistniały za panowania Gierka zdumiewa. Zdumiewa beztraska, z jaką je zaplanowano, nie dbając o kolejność planów, o zabezpieczenie transportu, dostawy surowców, o perspektywę kalkulacji, co jest i co może być rentowne czy nierentowne. Kolosalne budowle stoją lub pracują połowicznie, sprowadzony za dewizy



sprzęt rdzewieje i stoi bezużytecznie, tysiące połamanych wagonów zalega na kilometrach bocznych torów przy każdej większej stacji. Przykłady takie można mnożyć w nieskończoność. Czy powodem tego jest tylko idiotyczny gospodarczy system, czy też i niedołęstwo, zniechęcenie i brak odpowiedzialności? Słowem, rozkład zdolności administracyjnych, zdolności zarządzania, a może i gorzej: rozkład zdolności rządzenia?

Z dostępnych mi źródeł wnioskuję, że obywatel sowiecki nie stawia sobie takich pytań. Odcięty od świata, znosi posłusznie to co jest, to znaczy własną władzę, władzę taką, jaką to państwo wydało. Świadomy jest przy tym, że jego państwo jest potężne i wielkie, jak jeszcze nigdy nie było. Aleksander Zinowiew twierdzi, że ten obywatel nie jest niezadowolony ze swego losu. Pisze nawet, że w okresie stalinizmu miliony ludzi awansowało społecznie na miliony stanowisk, o których dawniej nie mogliby marzyć. Jest to nie tylko prawdopodobne, ale i prawdziwe przy tak ogromnym zwielokrotnieniu stanowisk, które wszystkie są stanowiskami państwowymi.

W Polsce ten „etatyzm społeczny” nie chwycił. Chłopi zostali na miejscu, robotnicy nie przestali myśleć. Przeciwnie, zaczęli coraz więcej myśleć. Dynamitem nie stała się inteligencja ani korowcy. Nawet nie Kościół, chociaż Kościół stał się ośrodkiem i platformą, chroniącą „indywidualne człowieczeństwo”, w przeciwieństwie do Kościoła prawosławnego, który uległ władzy państwowej, bo i od dawna był jej uległy i podległy.

Można więc założyć, że dzisiaj Kościół, inteligencja wraz z KOR-em, a nawet i Lech Wałęsa i doradcy związkowi stali się „elementem uspokajającym” wobec tej masy, która jest „dynamitem narodowym”, która zwymiotowała narzucony jej ustrój.

Jest cudem, imponującym cudem, że w tych warunkach ani jedna prowokacja, ani jedna szyba nie została wybита przez związkowców, przez studentów czy przez podszywających się pod nich chuliganów. Wszystkie osiągnięcia i ustępstwa rządu zostały uzyskane pod presją: strajku, czy ostrych pertraktacji. To prawda, jak prawdą jest, że elementem uspokajającym są dziś doradcy, przywódcy i trybuni tego ruchu oraz Episkopat. A wielki brat draży i nalega, naciska na jedno: żeby partia nie utraciła tego, co nazwano jej przywódczą czy kierowniczą rolą.

Ale — co dzieje się z partią i w partii? Wiemy o tym dosyć dużo, choć nie wiemy wszystkiego. Gdy słowa te znajdą się w numerze *Kultury*, zobaczymy już, w jakim stopniu walny zjazd przyczyni się do tego, co nazywam *modus vivendi* partii z narodem i dwukierunkowym dialogiem partii: z narodem i Komitetem Centralnym sowieckiej partii. Nie wyobrażam sobie bowiem, by możliwe były — niestety! — inne z Rosją dialogi niż

te, które PZPR prowadzi. Byłoby to zbyt piękne, gdyby Kisielewski i Michnik mogli rozmawiać — choćby z Susłowem.

A co do reformy gospodarczej, zobaczymy, czy „polski model socjalizmu” zadziała, w jakim stopniu stanie się dla Polaków zachętą do pracy, czymś, co tę pracę umożliwi.

Na jakich podstawach? Juścić, że nie kapitalistycznych. Tego by jeszcze brakowało! Ale jednak na podstawach sprawdzonych od początku znanej nam historii.

Czy wyżej przytoczona teza o społeczeństwie, które zwymiotowało ten ustrój zezwala na przeprowadzenie reform gospodarczych, czy nasza osławiona geopolityka (cudowny termin!) na nie zezwala? Na razie obserwujemy wielomiesięczne pertraktacje, wzajemne badanie, dokąd dojść mogą ustępstwa i kompromisy, dokąd żądania, jaka ma być forma współżycia, czy też walki otwartej, bądź podjazdowej. Czy to polega na znalezieniu panaceum, wspólnego *modus vivendi*, czy polega tylko na zezwoleniu Polakom na indywidualną inicjatywę i pracę — a potem bywaj zdrów, paskuj, cygań, obławiaj się i płac podatki.

Sprawa jest skomplikowana. Wystarczy pomyśleć o czwartym pokoleniu, które w ZSSR dochodzi do głosu od czasu wybuchu rewolucji. Wiem o Rosji tyle co i wszyscy, którzy się tym krajem interesują. Uderzające są cechy, które rozwinął i utrwalił porowolucyjny ustrój, a które zostały do nas importowane po 1945 roku. Zinowiew widzi tam rozszerzoną bazę ludowładztwa, *pouvoir populaire, pouvoir du peuple*, którego stalinizm stał się istotną i logiczną wykładnią. W pełnych paradoksów i sprzeczności tekstach, zebranych w zbiorze „Nous et l'Occident”, podkreśla Zinowiew stratyfikację, zamykającą ludzi w instytucjach państwowych, w których wszyscy każdego i każdy wszystkich pilnuje, przy zachowaniu ścisłej hierarchii, od której zależny jest status i przywileje jednostki — od góry do dołu. Jest to więc samopilnujący się ustrój, przy czym jego podstawy, baza tej władzy, zostały niezwykle rozszerzone, rozprowadzone, przy zachowaniu najściślejszej dyscypliny. Rosjanie poddali się tej dyscyplinie. Zniosła ona bowiem indywidualną odpowiedzialność, konieczność wyboru i inicjatywy, czyli wysiłku potrzebnego żeby egzystować i swoją egzystencję polepszać. Państwo wciela jednostkę w instytucje, zapewniające jej egzystencję, od przeraźliwie marnej po przeraźliwie uprzywilejowaną. Nikt jednak nie musi się wysilać. Wystarczy bierność, cierpliwość, rezygnacja, uległość — cechy, które zawsze w tym kraju istniały.

Jednostki które próbują się z tego porządku wyłamać zostają unicestwione, stają się automatycznie pasożytami, społeczność, to znaczy kolektyw wyrzuca je z siebie, nie dopuści aktywnej jed-



nostki do głosu. Bo tylko kolektyw się liczy i posiada niwelującą jednostki władzę. Jednostka nie musi więc dobrze pracować, przedsiębiorstwo nie musi być rentowne. W ogromnym gospodarstwie ZSSR znajdują się zawsze środki na obronę, na zastępy pracowników bezpieczeństwa (dostarczających z kolei darmowej siły roboczej z obozów i więzień), na członków tak zwanej nomenklatury wreszcie. W tej ogromnej maszynie, łączącej instytucje i tworzącej „kolektywne jednostki” wystarczy obecność na zebraniach, obecność w zakładach pracy czy w biurach, wystarczy schlebić przełożonym, wiedzieć komu dać łapówkę, pilnie donosić i umieć zdradzić tego kogo należy w danej chwili zdradzić (str. 111 francuskiego przekładu). Tak więc największe osiągnięcie komunizmu — zapewnienie wszystkim prawa do pracy — jest ściśle związane z obniżeniem wydajności tej pracy, z jej złą organizacją i obniżeniem jakości ogólnie zaplanowanej produkcji.

Jednakże mylimy się, gdy sądzimy, że to wszystko prowadzi nieuchronnie do rozkładu i rozpadu ekonomicznej, społecznej i państwowej struktury tego kraju. Zinowiew temu przeczy. Wyciąga nawet odwrotne wnioski. Twierdzi, że system jest nie tylko trwały i stały, ale i konstataje, że fascynuje świat. Że „porządek” sowiecki oślepia Zachód, a wypływa to z ogólnego trendu, z rodzaju zmczenia, któremu podlega człowiek zmuszany do ustawicznego wysiłku, inicjatywy i wyścigu „pracy bez tchu”. Stan ten przesłania ludziom na Zachodzie czarne strony życia sowieckiego. Sądzą oni, że komunizm będzie u nich inny, że nie będą się musieli pożegnać z poziomem życia, który stworzyli i do którego przywykli.

A jak jest w Polsce? Co się stało w Polsce? Kościół nie poddał się niwelującej presji systemu. Chłopi pozostali w większości na swoich gospodarstwach, pomimo „ucieczki do miast”. A robotnicy powiedzieli „dosyć tego” i „nie”. Okazało się, że nie są bierną masą. Przeciwnie, że są masą myślącą, która w dodatku wzięta na serio hasło dyktatury proletariatu i socjalizacji. Czy jednak robotnicy nie przyzwyczaili się już do tego, że państwo zapewnia im i pracę, i pewne ułatwienia, czy obietnice, których powinno dotrzymywać? Czy nie przyzwyczailo ich do „fuchy” i ogólnej niemożności, do przestojów, do niewiary wreszcie w rezultaty tej pracy? Tego nie wiem, ani zmierzyć nie mogę.

Żeby usprawnić gospodarkę, trzeba przeprowadzić czystkę i w zakładach pracy i w biurach, gdzie — tego jestem pewien — 15 osób może wykonać pracę, którą dzisiaj wykonuje 100 osób, a i to — źle! W upaństwowionych zakładach usługowych i w handlu jest podobnie. Czyli... wszędzie. Czy zielone światło dla inicjatywy prywatnej, dla rzemiosła i rolnictwa pozwoli na wchłonięcie tych mas, które dzisiaj zatrudnia gigantycznie rozdęty i

wszechwładny „sektor państwowy”, jedyny w gruncie rzeczy pracodawca? Czy proces sowieckiej socjalizacji nie wprowadził do Polski nieodwracalnych zmian? Słowem, czy machina, którą jest „społeczeństwo sowieckie” nie tworzy sytuacji, w której efektywna poprawa i reforma ekonomiczna stają się czymś niemożliwym?

Chruszczowowska destalinizacja przyniosła ulgę, policyjny system terroru, w którym i oprawcy i ofiary były w jednym worku, zelżał. Jednak prawdziwa destalinizacja nie nastąpiła, bo i Chruszczow i całe społeczeństwo było stalinowskie. Wąz nie może się zjeść od ogona.

Z ustrojem, który się nazwał socjalistycznym jest podobnie. Jaki ma być typ reform, które uzdrowią polską gospodarkę przy zachowaniu „socjalistycznego modelu”? Czy ma to być wolna konkurencja sił, inicjatyw i zdolności, która jednak wyrzuca jednostki „niesprawne” na obszary bezrobocia i musi je wtedy subwencjonować, opatrzyć zasiłkami, o których zresztą cicho jest w środkach przekazu na Wschodzie. A wreszcie, bieda i niedoęstwo nie mogą liczyć na etaty, które zapewniają jakieś minimum jednostkom bez żadnych kwalifikacji. Socjalizm płodzi całe armie niepotrzebnych ludzi, stwarza miliony miejsc i stanowisk, które hamują produktywność, postęp i prężność ekonomiczną.

Biedzą się nad tymi problemami ekonomiści i wielu intelektualistów. Chłopi pozostają w Polsce jedyną warstwą, której „system” nie zdołał dotychczas porazić, choć utrudniał ich egzystencję na wszystkie możliwe sposoby. Jeżeli teraz „zielone światło” zostanie im jasno i uczciwie zapalone, to może będą oni mogli wykazać to, co w innych sektorach już zostało zniszczone. Natomiast fabryki, stocznie, kopalnie, warsztaty i handel uwikłane są w taki splot etatyzmu, biurokracji, planifikacji i niedoęstwa, że nie wiem jak tu niezależne związki zawodowe zadziałają, żeby z tego wybrnąć. Czy dyrektorzy i dyrektwy mają się wyłonić z rad zakładowych, czy potrafimy zarządzać gospodarstwem, które przez 35 lat było bądź niszczone, bądź głupio projektowane? Czy poradziłby tu Kwiatkowski, Lubecki, Tyzenhaus — nie grzeszyliśmy nigdy wielką ilością „gospodarzy na wielką skalę”. A teraz, czy w istniejącym systemie taki gospodarz może sobie dać radę?

Same pytania, które na razie znajdują się dopiero w fazie politycznej ciąży. Dziecko się jeszcze nie urodziło. Na razie urodziła się u nas odwaga. Urodziła się też i rozważa, niby linoskoczek nad wzburzonym morzem. Patrzymy na to z zapartym tchem. Ile można jeszcze? A może już dosyć? Żądać, ustąpić, pogodzić się, zagrozić? Niezwykły to, narodowy taniec na linie. Gdybym miał dezynwolturę i odwagę Kisielewskiego, napisałbym



kto trzyma tę linę. Okazuje się jednak, że ma ona trzeci, czwarty i piąty koniec, taka to dziwna lina! Cały świat patrzy z rozdziewioną gębą: na komunizm, nawet i o marksizmie coś jeszcze bełkoce, na Polskę, na Zatokę Perską — to tak blisko Afganistanu! — na własną niemoc i na własny strach, żeby się tu tylko coś nie popsuko, żebyśmy nie musieli stracić, walczyć, umierać.

Śmieje się z tego i Wałęsa i wielomilionowa rzesza Polaków. Andrzej Żabiński darmo podszeptuje: dać im władzę, pieniądze — władza i pieniądze zawsze zdemoralizują. Andrzej Żabiński się myli. Ludzie nie są równi. On tego widocznie nie wie. Pieniądze nie wszystkich demoralizują. A władza też nie wszystkich. Nie tych, którzy dbają nie tylko o swoje stołki, posady, służbowe samochody i jazdy taksówkami do Gdańska.

Wałęsa i z tego się śmieje. Jego uwaga i powaga zwrócone są „na wewnątrz”. A socjalistyczne sądownictwo nie wie jak ma wybrnąć z tysięcy oskarżeń o kradzieże, łapownictwo i nadużycia. Bo władza — rzeczywiście: doprowadziła do straszliwej demoralizacji. Ale ten naród się otrząsa. Jak pies, co wyszedł z wody. Z bardzo brudnej wody.

Nie cierpię zdania „Polak wszystko potrafi”. Ale teraz zastanawiam się: czy Polak potrafi zmienić ustrój, którego nie można zmienić? Może potrafi. Cholera wie. Z tym dziwnym narodem nic nie wiadomo.

Zygmunt MYCIELSKI

Paryż, 25 kwietnia 1981

## TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA

— pióra generała Sir John Hackett'a — to sensacyjna książka z gatunku współczesnej powieści polityczno-wojennej, która stała się światowym *bestseller*'em Nr 1 natychmiast po jej ukazaniu się w języku angielskim (patrz *Kultura* Nr 3, Paryż 1979). W języku polskim powieść ta ukaże się wiosną 1981 roku nakładem

**LITERATURA Publishing Co.,  
6201 Lexington Ave, Hollywood, CA, 90038 USA.**

Cena: 14,50 dolarów.

W estetycznej szacie graficznej — edycja ta ukaże się w ściśle ograniczonym nakładzie — 500 egz. Zamówienia do realizacji przyjmujemy wyłącznie z przedpłatą, stąd zastrzegamy sobie prawo do negatywnego załatwienia (tj. zwrotu wpłaty) późniejszych zgłoszeń.

## Wiersze

Pawło TYCZYNA

### MONOLOG SKOWORODY

Płomień. Stepowa burza. Ciężenie. Ruch. Świadomość.  
Materia... Biegnie życie moje  
według spirali. W tych spiralach ginę!  
(Samotność mnie pokonała.) Więc  
w owych spiralach jestem, ja, Laokoon,  
w strasznych uściskach. (To samotność.) Smutek.  
Zaczekaj, życie! (Smutek.) Zaczekaj. Wstrzymaj się.  
Dobiegnę i dorównam: Ja —  
o, nie, o nie!

(Z ironicznym, filozoficznym gestem.)

Czy może się zatrzymać  
same żywota prawo?

„Wstrzymaj się, życie”.

To takie śmieszne! Chyba cud potrzebny  
w tych sferach, w których rozum działa  
i myśl określa jąca? Smutek.

W Europie Faust  
wciąż pobrzękuje wątpliwością. Mgła  
alchemii i przyrodnicze

uściśnienie wzrostu. Więc cóż!

Brud Europy

przetworzyć w złoto — to by była służba.  
Ale nie taka. (Nie, nie taka!) Smutek.



(Decydujące, w grudach ziemi.  
rosnące raptem.)

Przetworzyć w złoto pragnę  
energię tej hołoty, co się wysiliła!

Przetworzyć w złoto pragnę  
i trud i oburzenie! Oraz walkę!  
(Tak, również w walkę!)

Słyszycie? — tam są burze!  
Tam burze najburzliwsze! Przedarły się i idą.  
Słyszycie? Tam są bory! Tam są bory!  
Przedarły się. I idą...

I grają pluski —  
i grają pluski i grają pluski,  
grają!

I obca łaska w tej czerwieni i krok czerwony  
i krzyk

i szum czerwony — i ja...  
(Dłońmi nieboskłon potrzásając.)

Więc pytam was —

A kimże wy jesteście. Kim naprawdę jesteście,  
którzy rzucacie nas na kpiny  
pod pańskie nogi,

z prośbą, by nas okaleczyły, może się zlitują.  
Słyszycie? — pytam!

(Wstrzymując się przed najgłębszym śmiechem,  
szukam potrzebnych słów! Same ręce  
wyrzekają się tego, co było uprzednio.)

Ot. Zdzieciinniałem,

maleńkim stałem się. I pytać? Po co!

Czyż pytaniami

można się pozbyć tych złych dni,  
które na naszych plecach się panoszą —  
a tego nikt na całym świecie nie mógł dostrzec!  
Gnębieniu nastał kres!

(i grają pluski —

i grają pluski i grają pluski, grają!  
I obca łaska w tej czerwieni i krok i krzyk czerwony!)  
— Więc jestem dzieckiem!

To, co na plecach wypisano,  
niechaj w stulecia rzuci krzyk! Jest takie  
pismo! Oto Alfabet Świata

otwarty, abyśmy ludzi pognębionych  
uczylili według

(Bez błądnie!)

nienawiści! I miłości! Toż istnieje  
takie pismo!

Pawło TYCZYNA

(Przełożył z ukraińskiego Józef ŁOBODOWSKI)

## OD TŁUMACZA

Sądzę, że należy czytelnikom *Kultury* podać kilka wiadomości o Hryhoriju Skoworodzie, którego wybitny poeta współczesny, Pawło Tyczyzna, wybrał na bohatera swego utworu pt. „Skoworoda. Simfonia” (str. 117-121). Skoworoda (1722-1794) pochodził z ubogiej rodziny kozackiej. Kształcił się w Akademii Kijowskiej, następnie wykładał w kolegiach w Perejaślawiu i Charkowie. Oryginalność jego poglądów i bezkompromisowa odwaga w ich głoszeniu udaremniły mu dalszą pracę pedagogiczną. Mając blisko pięćdziesiąt lat, Skoworoda zaczął wędrować po całej Ukrainie, głosząc swoje opinie filozoficzne. Pozostawił po sobie liczne utwory dydaktyczne, garść przekładów z Plutarcha i Cyserona oraz wierszy, powstałych w granicach barokowego manieryzmu Akademii Mohylańskiej w Kijowie. Swoiste peregrynacje ukraińskiego filozofa trwały aż do jego śmierci, czyli przez całe ćwierćwiecze.

Skoworoda podczas swoich pieszych wędrowek po Ukrainie (1769-1794), miał wielki wpływ głównie we wsiach, gdzie go przyjmowano to jako proroka, to jako pomyłonego geniusza. Właśnie jego wybrał za główną postać swojej „Symfonii” jeden z najwybitniejszych poetów ukraińskich, Pawło Tyczyzna. Debiut Tyczyny przed przeszło sześćdziesięciu laty stanowił rewelację. Nigdy dotąd poetycka mowa Ukrainy nie przemówiła z taką liryczną i melodyjną siłą, jak w „Słonecznych klarnetach” Tyczyny. Zapowiadał się na wielkiego poetę, ale został wkrótce zmiądzony przez przemoc sowieckiego materializmu. Pod naciskiem szantażującej go władzy przeszedł od świetnej poezji do żalostnej, socrealistycznej grafomanii.

„Skoworoda. Simfonia” miała być w zamiśle zmaltretowanego poety artystycznym oraz ideowym odkupieniem za tamten upadek. W cztery lata po jego śmierci ukazał się ów poemat w Kijowie, w wydawnictwie „Sowiecki Pisarz”. Ale nie w stanie kompletnym. Na szczęście zachowały się fragmenty, które uszły reżymowej cenzurze i świadczą o tym, jaki był autentyczny pomysł utworu. Trudno na podstawie jednego fragmentu, jakim jest „Monolog”, sądzić o całości. Jak mnie poinformowano, jest to epicki poemat, przedstawiający tragiczną bezsilność twórczego człowieka, który zmuszony jest do bezradnej konfrontacji z imperialistyczno-policyjną tyranją.

J. Ł.



BIBLIOTEKA « KULTURY »

CZESŁAW MIŁOSZ

## « DZIEŁA ZBIOROWE »

JUŻ UKAZAŁY SIĘ NASTĘPUJĄCE TOMY:

ZNIEWOLONY UMYŚŁ, str. 240 — cena F. 60,00  
(\$US 15,00).

ZDOBYCIE WŁADZY, str. 160 — cena F. 50,00  
(\$US 13,50).

RODZINNA EUROPA, str. 248 — cena F. 60,00  
(\$US 15,00).

DOLINA ISSY, str. 196 — cena F. 60,00  
(\$US 15,00).

PRYWATNE OBOWIĄZKI, str. 256 — cena F. 60,00  
(\$US 15,00).

ZIEMIA ULRO, str. 224 — cena F. 60,00  
(\$US 15,00).

WIDZENIA NA ZATOKĄ SAN FRANCISCO, str. 172  
— cena F. 40,00 (\$US 10,50).

OGRÓD NAUK, str. 256 — cena F. 65,00  
(\$US 15,75).

POEZJE, T. I, str. 292 — cena F. 75,00 (\$US 18,00).

POEZJE, T. II, str. 240 — cena F. 70,00 (\$US 17,00).

## Archiwum polityczne

### Wariant optymistyczny

Od jesieni zeszłego roku widmo interwencji sowieckiej wisi nad Polską. Ale interwencja nie następuje. Ujmując rzecz w kategoriach tak zwanej doktryny Breżniewa o ograniczonej suwerenności, Rosjanie mają już od wielu miesięcy „powód” do interwencji. Najpierw zaskoczyły ich strajki robotnicze latem zeszłego roku, w czasie których podobno dwukrotnie grozili wejściem do Polski. Następnie musieli strawić powstanie wolnych związków zawodowych i przyznanie robotnikom prawa do strajku. Dla wielu z nas wydarzenia te były zaskoczeniem, coś więc mówić o władzach Kremla. W czasie pobytu Kania na zjeździe KPZS w Moskwie miały paść ze strony przywódców sowieckich dwa bezapelacyjne postulaty pod adresem partii polskiej. Zabroniono jej udzielenia zgody na związek zawodowy rolników indywidualnych i zażądano odłożenia zjazdu PZPR o rok. Kania próbował wywiązać się z tych nakazów, ale ciśnienie od dołu zniweczyło jego „dobre chęci”. Mimo uprzedniego negatywnego wyroku Sądu Najwyższego PRL wiemy już, że fala buntu chłopskiego wymusiła faktyczną i prawną zgodę na zarejestrowanie „Solidarności” wiejskiej. Wreszcie bunt dołów partyjnych, ulegających demokratycznemu duchowi całego narodu, spowodował wcześniejsze zwołanie zjazdu partii, zgodnie z wolą jej członków i wbrew woli Moskwy. Ciśnienie z dołu okazało się tym razem silniejsze niż ciśnienie z góry i Kania musiał złamać umowy i przyrzeczenia dawane w Moskwie.

Najdelikatniejszym politycznie momentem w ostatnich miesiącach była groźba strajku generalnego, związanego z pobiciem działaczy związkowych w Bydgoszczy. Wiele wskazuje na to, że gdyby 30 marca nie nastąpiło porozumienie komisji rządowej i przedstawicieli „Solidarności” i w konsekwencji odwołanie strajku generalnego, to władze spróbowałyby uprzedzić strajk i zastosować przemoc, co wobec ich słabości musiałyby skończyć się interwencją sowiecką. Ale i tym razem Rosjanie, choć



w ramach manewrów wojskowych Układu Warszawskiego mieli najdogodniejszą operacyjnie okazję szybkiego opanowania Polski, nie uciekli się do tego drastycznego środka.

Wszystko to nie jest przypadkowe. Nacisk na Polskę trwa nadal, ale niezdecydowanie kierownictwa sowieckiego jest wyraźne. Mówi się nawet, że Breżniew i Gromyko są przeciw interwencji ze względu na jej ewentualne skutki i komplikacje międzynarodowe, a Susłow i Andropow prą do niej, jeden z przyczyn ideologicznych, a drugi, jeśli tak rzecz można, z powodów profesjonalnych. Układ sił w sowieckiej górze partyjnej musi być jednak nadal interwencji niesprzyjający. Nie bez znaczenia pozostaje naturalnie fakt, że Zachód, a szczególnie administracja Reagana interweniuje w sprawie polskiej wcale energicznie. A do tego Sowietci już od dawna nie są przyzwyczajeni. Na tok myślenia przywódców Kremla, w tym wypadku w przeciwnym kierunku, ma wpływ „nietypowa” dla nich sytuacja w polskiej partii. Jest już oczywiste, że jeżeli interwencji nie będzie, to PZPR stanie się po zjeździe inną partią, mniej zbiurokratyzowaną, mającą wiele mechanizmów kontrolnych. Zachowując przynajmniej formalnie zasady marksizmu-leninizmu, partia będzie bardziej autentycznie robotnicza i bardziej się uspołecni, pozbawiając zawodowych „aparaczyków” dużej części ich wpływów i przywilejów. Niektórzy sądzą, że to właśnie stanie się przyczyną sowieckiej interwencji, że Rosjanie mogą zgodzić się na wszystko, tylko nie na partię, która nie jest w ich całkowitej i wyłącznej dyspozycji. Jest to argument poważny, głównie ze względu na międzynarodowe położenie Polski, na jej strategiczne znaczenie dla imperium sowieckiego. Dlatego uważam, że ani do zjazdu PZPR, ani też przez pewien czas po tymże zjeździe, nie można wykluczyć inwazji sowieckiej na Polskę. Ale mimo wszystko skłaniam się do wariantu optymistycznego, że inwazja nie jest jednak nieunikniona.

Dość powszechnie wiadomo, że głód panuje nie tylko w Polsce, ale i w Rosji. Okupacja wojskowa Polski przez Rosję sprawiłaby tej ostatniej potężne kłopoty. Nie tylko Ameryka, ale nawet Francja i RFN dały Kremlowi do zrozumienia, że byłby to koniec wszelkiego „odprężenia”, koniec — przynajmniej na pewien czas — rozmów rozbrojeniowych, koniec korzystnej wymiany gospodarczej i zdobywania zachodniej technologii. Sami Rosjanie wiedzą, że ich korpus ekspedycyjny w Polsce musiałby być o wiele liczniejszy niż w Afganistanie. Musieliby więc wziąć setki tysięcy rąk od pracy i żywić setki tysięcy żołnierzy okupujących Polskę. Wreszcie przejęliby całość odpowiedzialności za skutki finansowego bankructwa państwa polskiego wobec państw i banków zachodnich i musieliby sami stawić czoła głodowi w Polsce. A głód dyktuje różne, nawet nieobliczalne odruchy. W razie interwencji rozlew krwi mógłby nastąpić nie tylko w czasie wkraczania Rosjan, ale także w czasie ich postojów w naszym kraju. Rosjanie są także świadomi, jak wszystko to rzutowałoby na wewnętrzną sytuację w ZSSR, jak bardzo osłabiłoby

ten kraj gospodarczo, prowadząc w konsekwencji do poważniejszych rozruchów w samej Rosji.

Wszystkie te argumenty są znane całemu światu, ale, moim zdaniem, nie tylko one powstrzymują Rosjan od inwazji przeciw Polsce. Góra partyjna w ZSSR dobrze wie, że poważna część społeczeństwa także w Rosji żyje w nędzy i wie, że terrorem można zmuszać je do godzenia się z tą sytuacją. Od lat terrorem zmusza się narody Związku Sowieckiego do straszliwych wyrzeczeń, by prowadzić politykę imperialną i prześcignąć Zachód w zbrojeniach. Choć więc gospodarcze skutki interwencji w Polsce mogłyby być dla Rosji niemal katastrofalne, to jednak nie one definitywnie decydują o tym, że Rosjanie zwlekają z decyzją, a być może nie zdecydują się na interwencję.

Nie zapominajmy, że ZSSR jest mocarstwem światowym a jego przywódcy, choć w polityce wewnętrznej bywają tępi i dogmatyczni, w polityce zagranicznej myślą w kategoriach imperialnych, a nie partykularnych. Imperium sowieckie dokonało w ostatnich latach olbrzymiego wysiłku zbrojeniowego, a następnie umocniło swą pozycję światową szeregiem lokalnych zaborów jak choćby w Angoli, Abisynii, Jemenie czy Afganistanie. Wszystko to jednak spowodowało częściowe „obudzenie się” Zachodu, zwycięstwo prezydenta Reagana i pierwsze próby przeciwstawienia się lokalnym agresjom sowieckim. Rosjanie doskonale wiedzą, że zdecydowanie przeciwstawienia się ich dalszym zdobyciom imperialnym jest o wiele silniejsze w USA niż w krajach Europy zachodniej. Dlatego jednym z ich celów strategicznych jest rozluźnianie sojuszu zachodniego i wykorzystywanie w tym celu odziedziczonych po generale de Gaulle separatystycznych tendencji Francji i narodowych aspiracji Republiki Federalnej Niemiec. Wielu komentatorów zachodnich sądzi, że NATO stanowi dziś sojusz bardziej formalny niż faktyczny. Nie szedłby tak daleko, ale fakt rozluźnienia związków USA z ich europejskimi sojusznikami nie ulega wątpliwości. Osobny rozdział stanowi także rola Japonii, której dynamika gospodarcza stawia i Stany Zjednoczone i ich europejskich sojuszników w sytuacji wielce kłopotliwej. Gdyby nie typowy dla myślenia imperialnego upór Sowietów w sprawie wysp Kurylskich, sytuacja na odcinku Japonii mogłaby nastęrczać także wiele obaw. Zachłanność stanowi na szczęście największą słabość imperializmu. Stawiając na rozluźnienie w bloku zachodnim, jako na swój główny cel strategiczny, Rosjanie nie mogą jednocześnie powtórzyć w Polsce operacji węgierskiej z 1956, czy czechosłowackiej z 1968 roku. Tak więc, przez lata całe denerwujący Polaków brak solidarności Francji i Republiki Federalnej Niemiec ze Stanami Zjednoczonymi, w tym momencie gra na naszą korzyść. Najpoważniejszym rozmówcą Breżniewa w ostatnich miesiącach był zachodni-niemiecki minister spraw zagranicznych Hans D. Genscher. Tenże Breżniew sam właściwie zaprosił się do Republiki Federalnej Niemiec. Rosjanie, nieprzyzwyczajeni do tonu, jakim rozmawia z nimi administracja Reagana, chcą teraz za wszelką cenę kon-



ferować z Niemcami Zachodnimi i Francją. Można wątpić, czy kraje te będą z tego wiele miały, poza oczywiście korzyściami w wymianie i współpracy gospodarczej. Ale trudno jest przypuścić, żeby Rosjanie nie rozumieli, że ich wielka gra na rozluźnianie więzów bloku zachodniego byłaby do pogodzenia z interwencją w Polsce i dalszym zaciskaniem powrozów krępujących blok wschodni. Być może znajdujemy się na pewnym zakręcie historycznym, oznaczającym rozluźnienie więzi w obydwóch blokach, przy jednoczesnym utrzymaniu zasadniczych struktur NATO i Układu Warszawskiego. Jeśli jesteśmy rzeczywiście świadkami takiego zwrotu, to Polska ma szansę, jaka zdarza się raz na kilkadziesiąt lat. Przełomy historyczne bywają jednak zdradliwe i nieraz występują w czasie ich trwania cofnięcia wstecz. Stąd nakaz ostrożności i rozwagi dla Polaków pozostaje w całej pełni w mocy. Wielka ilość czynników politycznych i psychologicznych wpływa i będzie wpływała na politykę sowiecką, by w sprawie polskiej nie dała za wygraną. Polacy mogą przychylić się do tego, by Rosjanie nie popełnili szaleństwa, które w ostatecznej konsekwencji wstrząsnęłoby całym ich imperium. Możemy to uczynić umacniając wolności uzyskane od lata 1980 roku i wszelkie dalsze kroki podejmując z należytą ostrożnością, po dokładnym rozeznaniu sytuacji. Nie ma żadnych stałych granic, które chroniłyby nas przed interwencją sowiecką. Granice są płynne, stale się zmieniają. Wpływ na ich wytyczanie mamy my sami, jak to mogliśmy stwierdzić w ostatnich dziewięciu miesiącach. Wpływ ma układ sił na Kremlu i ogólna sytuacja imperium sowieckiego. Tym razem poważny wpływ ma także Zachód i to nie tylko Ameryka, ale głównie Niemcy zachodnie. Jeśli uda im się wciągnąć ZSSR do stałego dialogu z Zachodem, to będziemy uratowani, naturalnie pod warunkiem, że w Polsce nie zdarzy się nic, co stałoby się wielką prowokacją. Nie możemy łudzić się, że KGB stać tylko na prowokacje tak prymitywne, jak pobicie związkowców w Bydgoszczy. Pewną nadzieję budzi fakt, że społeczeństwo polskie w ciągu ostatniego roku przeszło niezłą szkołę polityczną, reaguje alergicznie na skrajności i nie wydaje się podatne na próby awantury, czy prowokacji.

Wydaje się także, że powinniśmy z pewnym relatywizmem podchodzić do tezy o rozluźnianiu się więzów w obydwóch wielkich blokach politycznych. Pamiętajmy, że armie sowieckie stoją nad Łabą, a co kilka dni instalowana jest nowa rakieta średniego zasięgu, wycelowana na zachód. Pamiętajmy, że na wszystkich naszych granicach, dosłownie dookoła Polski stoją armie, gotowe w każdej chwili wejść do naszego kraju. Z pewnością Sowiety, jak każde inne imperium w dziejach, przeszły swój rozwój, miały liczne konflikty, ujawniły się ich załamania i rysy strukturalne i nieuchronnie wejda w fazę upadku. To wszystko wiemy i możemy przewidywać w oparciu o liczne analogie historyczne. Historia nie zna jednak jeszcze upadku imperium wyposażonego w broń nuklearną i inne monstrualne siły zniszczenia. Stąd wpływa wymóg ostrożności w przewidywaniach rozwiązań final-

nych i w wysuwaniu zbyt daleko idących haseł politycznych. Za takie hasła uważam nadal ideę wyjścia z Układu Warszawskiego, lub tak czy inaczej pojętą finlandyzację. Nikt nie jest w stanie przewidzieć rozwoju wydarzeń na zbyt odległą metę. Niestety przewidywania na bliską przyszłość też nie są całkiem pewne, bo nie znamy wszystkich współczynników międzynarodowych i wewnętrznych polityki bloku wschodniego, decydujących o naszej przyszłości. Wysunęliśmy hipotezę optymistycznego wariantu rozwoju spraw polskich. Hipoteza ta ma, jak sądzę, poważne oparcie w celach politycznych, jakie stawia sobie obecnie imperium sowieckie. A więc działania Polaków w ostatnich latach i w ostatnich miesiącach wydają się racjonalne. Musimy jednak uwzględnić możliwość ruchów wstecznych. Historia nie wyraża krzywej nieustannego i niezagrożonego wzrostu ku dobremu. Dlatego interwencji sowieckiej w Polsce wykluczać nie wolno i nie wolno zapominać o należytej ostrożności. Jednak bez pewnego ryzyka polityki narodowej i niepodległościowej uprawiać nie można. Nie jesteśmy natomiast narodem straceńców. Nasze poczynania i wysiłki mają szansę i opierają się o sprzyjające elementy w rozwoju sytuacji międzynarodowej. Polska rewolucja z lata 1980 roku zaczęła się z przyczyn wewnętrznych, z niemożliwości dalszego znoszenia przez naród bezprawia, niszczenia kraju przez dyktatorów, przy jednoczesnym stałym uzależnianiu go od Sowietów. Nasza rewolucja jest najeżona wielkimi niebezpieczeństwami, a w momentach spięć w Polsce w całej Europie zapierało ludziom dech w piersiach. Nie dla pokrzepienia serc, ale w oparciu o trzeźwą analizę sytuacji ogólnej możemy dziś jednak stwierdzić że istnieje także optymistyczny wariant dalszego rozwoju wydarzeń.

Jan KOWALSKI

## Widziane z Brukseli i z Waszyngtonu

PRAWO PROF. GOLDMANA

„Czarny piątek” napisał grubymi literami w poprzek pierwszej strony swojej gazety codziennej p. John R. Block, zamężny farmer w stanie Illinois, w ów dzień styczniowy roku 1980, kiedy prez. Carter w odpowiedzi na inwazję Afganistanu zarządził embargo zbożowe wobec ZSSR.



„Ten piątek jest jednym z najszcześniejszych dni w moim życiu” — napisał takimi samymi literami w poprzek tej samej gazety ten sam John R. Block, który już nie był farmerem, a był ministrem rolnictwa w rządzie USA, w ów dzień kwietniowy roku 1981, kiedy prezydent Reagan zniósł embargo i upoważnił władze Stanów Zjednoczonych i stanu Illinois do podjęcia natychmiastowych negocjacji z Moskwą na temat nowego układu zbożowego.

Nie dla wszystkich jednak ów kwietniowy piątek 1981 roku był taki szczęśliwy.

Przede wszystkim nie dla Afgańczyków. Ofiary napaści dowiedziały się mianowicie w ów piątek, że zamiast broni partyzantom, którą im był przyrzekł, prezydent Reagan zaczął dostarczać zboże agresorom. W dniu kiedy prezydent Reagan zniósł embargo, władze sowieckie ogłosiły (zwyczajny zbieg okoliczności naturalnie), że właśnie wysłały 300.000 ton zboża do bratniego Afganistanu. Moskwa nie podała czy zboże owo — być może amerykańskiego pochodzenia — przeznaczone było także do oddziałów burzących właśnie tego dnia drugie co do wielkości miasto afgańskie Kandahar, ale nie ma właściwie powodów, dla których te akurat oddziały miałyby być z tej manny wykluczone.

Jak wynika z mojej krótkiej wizyty w USA, Afganistan przestał już właściwie interesować Amerykanów. Dyskrecja jest tak widoczna, że niektórzy obserwatorzy zastanawiają się, czy nie chodzi tu o zaskakujący ale realny handel wymienny: Afganistan za Salwador. Tak jak Amerykanie nagle zamilkli na temat Afganistanu, tak Sowieci zeskromnieli na temat Salwadoru. Nawet CIA przyznała, że dostawy komunistycznej broni właściwie ustały w Salwadorze. Z drugiej strony fachowcy (np. A. Kruczek) zauważyli, że przedstawiciel kompartii Salwadoru nie został dopuszczony do głosu w czasie niedawnego, XXVI zjazdu w Moskwie, chociaż na poprzednim, nr 25, był jednym z najbardziej gorąco oklaskiwanych mówców.

Kiedy w Waszyngtonie zapytałem jednego z bardzo wysokich dygnitarzy, odpowiedzialnych za sprawy bezpieczeństwa kraju, o losy obiecanych dostaw broni dla afgańskich rebeliantów, zostałem publicznie i ostro skarcony. „To nie są rebelianci — uniósł się dygnitarz — to są bojownicy o wolność ich kraju”. Zapomniał natomiast wyjaśnić co jest z dostawami broni i co mają myśleć ci bojownicy o wolność którzy nie tylko nie mają z czego strzelać, ale także nie mają co jeść, dowiedziawszy się, że ich napastnicy, którzy mają z czego strzelać, będą teraz w trakcie strzelania dokarmiani amerykańskimi proteinami.

#### Uśmiech przez tży

Polacy też nie mają specjalnych powodów do radości z powodu zniesienia embarga. Z polskiego punktu widzenia chodzi tu o ostateczne ośmieszenie oręża, który jeszcze niedawno przed-

stawiany był przez sekretarza stanu Aleksandra Haiga jako jeden z podstawowych sposobów riposty USA na ewentualną inwazję Polski przez tego samego napastnika co w Afganistanie.

Polacy powinni się uśmiechnąć, przez tży naturalnie. Jak wynika z rozmów w okolicach Białego Domu, zniesienie embarga zbożowego nałożonego na ZSSR z powodu inwazji na Afganistan pozostaje w dość ścisłym, choć nie tylko, związku z obietnicą rzekomo udzieloną przez Rosjan, że nie najadą na Polskę. Jest to rozumowanie intelektualnie ubogie, a moralnie wątpliwe. Odpowiada np. ułaskawieniu bandyty, który właśnie zamordował osobę nam bliską, w zamian za jego obietnicę niemordowania osoby jeszcze nam bliższej.

Mówiąc w kategoriach bardziej politycznych, logicznie biorąc Polacy mogliby dojść do wniosku, że następne embargo nałożone po wcale niewykluczonej interwencji sowieckiej w Polsce będzie także po roku zniesione w zamian za obietnicę Moskwy nienajechania na Berlin zachodni, Jugosławie, Finlandię (niepotrzebne skreślić...).

W istocie rzeczy, znosząc embargo, prezydent Reagan nie zajmował się ani Afganistanem ani Polską czy Finlandią, a zajmował się sprawami wewnętrznymi Stanów Zjednoczonych. To jego prawo, a nawet obowiązek. Embargo zostało zniesione, ponieważ prezydent Reagan potrzebował poparcia członków Kongresu, reprezentujących stany produkujące zboże, w głosowaniu nad planem jego reformy gospodarczej, która jest dla niego ważniejsza niż kilka Afganistanów naraz.

Znosząc embargo prezydent Reagan dokonał być może nieuniknionej operacji wewnętrznej, ale z punktu widzenia międzynarodowego popełnił jednak, nazwijmy to, nieostrożność. W zamian za głupie 3 miliardy dolarów, które wpłyną do farmerskich kas (jest to mniej więcej 10 % podwyżki budżetu wojskowego USA na następne dwa lata), prez. Reagan zapłacić może będzie musiał wysoką cenę w sensie politycznym. Fakt że akurat w tym momencie i w takich warunkach podjął decyzję o dostawach zboża dla ZSSR musi mieć, niezależnie od wszystkich argumentów wewnętrzno-amerykańskich, także poważne reperkursje międzynarodowe. Decyzja prezydenta równa się bowiem udostępnieniu środków nie tylko farmerom amerykańskim, ale i państwu sowieckiemu na prowadzenie polityki „i armaty i masła”, to znaczy takiej właśnie polityki, jakiej USA chciałyby bardzo uniknąć. Zboże bowiem, cokolwiek by o tym Kongres USA myślał, stanowi jeden z najbardziej strategicznych artykułów w stosunkach z ZSSR, w handlu i w polityce.

#### Za jaką cenę?

W dzień po zniesieniu embarga amerykańscy *businessman*'i zwrócili się do rządu z pytaniem na temat embarga technologicznego. Słusznie. Oni też powinni otrzymać prawo



podjęcia dostaw dla ZSSR. Np. maszyn dla nowej fabryki ciężarówek typu Kama, które tak świetnie zdały egzamin w Afganistanie i w czasie niedawnych manewrów w Polsce.

Decyzja zbożowa Reagana zwalnia także wszystkie hamulce, jakie jeszcze ograniczają wyścig europejskich czy japońskich kapitalistów do sowieckich rynków. Podpisanie kolosalnej umowy o wymianie zachodniej technologii za sowiecki gaz można uznać za załatwione. To przecież właśnie pod presją USA niektóre kraje zachodnioeuropejskie, np. Francja, skłonne były uwzględnić konsekwencje energetycznej (a więc i politycznej) zależności zachodniej Europy od sowieckich dostaw gazu (np. ok. 30% spożycia RFN), do których kurek znajdować się będzie gdzieś na Syberii. Po zniesieniu embarga na zboże, najbardziej delikatny towar w wymianie z ZSSR, wszystkie te zastrzeżenia naturalnie upadną. Nie ma powodu, aby zachodnia Europa, robiąca bokami (patrz wyniki wyborów we Francji), traktowała swój technologiczny *bussines* inaczej niż Amerykanie ich zboże.

P. Ryszard Allen, taki Brzeziński od Reagana, skarżył się niedawno na wzrost nastrojów pacyfizmu w Europie zachodniej. Przytoczył on nawet nienową zresztą formułkę: *Better red than dead*, co w wolnym tłumaczeniu mogłoby brzmieć „lepiej na czerwono niż na czarno”, w sensie żalobnym tego koloru.

P. Allen bardzo słusznie się niepokoi tendencjami neutralistycznymi w Europie zachodniej. Ja niepokoję się jeszcze bardziej, bo ja tu mieszkam. Jednak to nie *Kultura* zniosła embargo. Jest przecież rzeczą jasną, że zniesienie embarga bez żadnego gestu wzajemności ze strony Rosji — np. w postaci mglistych obietnic w sprawie Polski, a konkretnie np. w sprawie Afganistanu — może jedynie przyczynić się do wzrostu nastrojów auto-finlandyzacyjnych w Europie zachodniej.

Dla narodów wschodnich gest amerykański jest po prostu niezrozumiały. Polacy się dziwią, że Francuzi wybrali socjalizm, podczas kiedy cały wysiłek narodu polskiego sprowadza się do tego, aby się socjalizmu właśnie pozbyć („My musimy, powiadają w Warszawie, ale oni...”), ale w każdym razie słowo socjalizm może mieć wiele znaczeń, od mongolskiego do szwedzkiego. Zniesienie embarga ma w oczach Wschodu tylko jedno znaczenie. Punkt widzenia ludności Wschodu różni się bowiem od punktu widzenia ludności stanu Illinois. W wyobraźni mieszkańca Warszawy czy Pragi, nie mówiąc już o Moskwie, zniesienie embarga stanowi pierwszy — widoczny poza stanem Illinois — konkretny krok Reagana w dziedzinie polityki zagranicznej i oznacza powrót do *détente* model Nixon-Kissinger-Sonnenfeldt. Z tą różnicą, że ci trzej panowie uważali, iż zalew Związku Sowieckiego dobrami konsumpcyjnymi i technologią zachodnią spowoduje narodzenie się w Moskwie potężnego *lobby* zwolenników pokoju i demokracji, dziś zaś już dokładnie wiadomo, że dzięki tej *détente* powstało *lobby* nie pokojowe i nie w Moskwie (ono jest w gułagu), a powstało *lobby* na Zachodzie, które grupuje zwolenników handlu za wszelką cenę.

### Requiem po linkage

Zniesienie embarga jest także błędem politycznym, albowiem podważa *credibility* czyli wiarygodność dyplomacji amerykańskiej. Embargo stanowiło bowiem jedyny praktyczny i aktualny przykład zastosowania zasady *linkage* — powiązania — między poszczególnymi przejawami postępowania ZSSR na świecie, zasady, stanowiącej według Białego Domu oraz domów w innych kolorach w Waszyngtonie fundament dyplomacji USA.

*Linkage* wymyślony został jeszcze przez Nixona i zastosowany już raz praktycznie przez Kongres USA. Mianowicie przyznanie Rosji tzw. klauzuli największego uprzywilejowania, podpisane przez Nixona i Breżniewa w 1972 roku, zostało zablokowane przez Kongres, który uzależnił to od zliberalizowania sowieckiej polityki emigracyjnej. Rosja oficjalnie odrzuciła ten *linkage*, ale zrozumiała aluzję i w zamian za rozmaite handlowe korzyści wypuściła ponad 250.000 Żydów.

Otóż prezydent Reagan poszedł, w słowach, dalej niż Nixon. Wielokrotnie i bardzo głośno oświadczał, iż *linkage* jest alfą i omegą jego dyplomacji. „Nie wyobrażam sobie, powiedział np., jak można byłoby normalnie zasiąść z Rosjanami do stołu konferencyjnego w sprawie choćby kontroli zbrojeń, kiedy równocześnie Rosjanie kontynuują eksterminację w Afganistanie”.

Zapewne dziś prezydent Reagan już sobie wyobraża jak można, i dlatego odwołał embargo, swój jedyny *linkage*, i pozwolił swym przedstawicielom „zasiąść do stołu konferencyjnego”. Oficjalny Waszyngton wysuwa dwa argumenty mające uzasadnić zniesienie embarga.

Po pierwsze, mówią abolicjoniści, embargo było nieskuteczne. Nieprawda. Embargo było skuteczne, oczywiście w pewnym tylko zakresie. W takim zakresie mianowicie, w jakim tego typu bardzo długoterminowa z definicji operacja może być skuteczna w rok zaledwie po jej rozpoczęciu. I w takim także zakresie, do jakiego sprowadziły embargo najrozmaitszego typu szachrajstwa, jakie towarzyszą mu od chwili ogłoszenia — począwszy od szmalcowników argentyńskich, wykorzystujących otwarcie wycofanie się zaprzyjaźnionej Ameryki z rynku sowieckiego, poprzez machlojki australijskie czy kanadyjskie, poprzez otwarte przeładowywanie w portach Hamburga czy Algieru na statki sowieckie zboża teoretycznie przeznaczonego gdzie indziej, aż po zwyczajne oszustwa kupców zachodniemieckich czy francuskich oraz... amerykańskich, sprzedających ZSSR już nie tylko zboże ale nawet wprost mąkę.

Trudno oczywiście obliczyć, w jakim stopniu embargo odbiło się na sowieckim jadłospisie i na sowieckich decyzjach politycznych. Można jednak sądzić, że aczkolwiek fatalnie zorganizowane (najzupelniej w stylu Cartera), embargo było jednak skuteczne. Fachowcy obliczają np., że skutki embarga równają się tygodniowej porcji mięsa, mleka czy masła (choć i tak niczego



nie ma na rynku) i że na dalszą metę jego skutki, zwłaszcza przy sprawniejszej kontroli, byłyby bardzo poważne, także *in political terms*.

Już zresztą wysokie ceny jakie Rosjanie musieli płacić za zboże na wolnych rynkach tak skutecznie wydrenowały sowieckie rezerwy, że Moskwa zabroniła Szwajcarom, pod groźbą wycofania się z interesów, podawania informacji o podaży syberyjskiego złota.

#### Co się zmieniło?

Drugi argument jest psychologiczno-polityczny, szalenie sprytny. Abolicjoniści twierdzą mianowicie, że dziś, w 100 dni (właśnie byłem w Waszyngtonie) po zainstalowaniu się ekipy Reagana, Moskwa nie może już żywić żadnych wątpliwości co do twardej linii Białego Domu wobec awanturnictwa ZSSR. Znowu nieprawda. Moskwa żywi.

Pierwsza reakcja *Prawdy* na zniesienie embarga sprowadziła się do twierdzenia, że decyzja prezydenta Reagana potwierdza klęskę wszelkich prób nacisku na ZSSR. Jest to inaczej mówiąc porażka USA, ofiarami embarga byli wyłącznie farmerzy amerykańscy, a Rosja, choć niechętnie, podejmie na nowo zakupy taniego zboża amerykańskiego, aby ratować upadające rolnictwo USA. Prezydent Reagan przyznał w ten sposób — według propagandy sowieckiej — że zasada *linkage* jest niedopuszczalnym przejawem ingerencji w wewnętrzne sprawy ZSSR, na co naturalnie Kraj Rad nikomu nigdy nie pozwoli. Jak na prezydenta USA, który wygrał wybory pod hasłem „nie damy Rosji płuć nam w twarz” i zapowiedział, że w odróżnieniu od swego poprzednika pozostanie nieugięty wobec ekspansjonizmu ZSSR, operacja „embargo” nie stanowi więc specjalnie przekonującego sukcesu dyplomatycznego.

Nikt zdrowy na umyśle nie przypuszczał, że embargo zbożowe — na dodatek fatalnie realizowane — skłoni Rosjan do wycofania się z Afganistanu. Ale przecież poza bojkotem (też fatalnie przeprowadzonym) Igrzysk Olimpijskich embargo zbożowe było jedynym sposobem powiedzenia Sowietaom, że świat nie godzi się na bandytyzm nawet ze strony największego mocarstwa pokoju i socjalizmu.

Sam Reagan był o tym zresztą do niedawna przekonany. Mimo iż w kampanii wyborczej obiecał koniec embarga (głosy farmerów), w styczniu, czyli w chwili inauguracji swego mandatu, odmówił jego zniesienia. Powiedział wtedy bardzo słusznie: „Byłby to fałszywy sygnał wysłany do Moskwy”. Dlaczego zmienił zdanie? Czy fałszywy w styczniu, sygnał w kwietniu jest prawdziwy? Czy coś się zmieniło w świecie? Gdzie? W Angoli czy Etiopii? W Kambodży? A może w Afganistanie?! A może Waszyngton wierzy rzeczywiście, iż Rosja jest w stanie udzielić jakichś najskromniejszych choćby obietnic w sprawie Polski? Komu? Z jakiej racji? Czy kilka rozmów Dobrynina z Haigiem

rzeczywiście przekonali kogoś w Białym Domu, iż Polska jest już i to na trwałe poza zasięgiem wszelkiej interwencji sowieckiej? Jeżeli prezydent Reagan tak myśli, to powinien o tym głośno powiedzieć. Tak aby usłyszeli to Amerykanie, Sowieci i Polacy. Ja w każdym razie słyszałem inne rzeczy w Waszyngtonie.

#### Na dalekim miejscu

Prof. Goldman, dyrektor Instytutu Badań Europejskich w Harvard, jest autorem prawa, na mocy którego „pierwszym zadaniem każdej nowej administracji jest sprawienie, aby poprzednia wydała się znakomita”. Ekipa prez. Reagana stara się potwierdzać to prawo. Przez pierwszych 100 dni Waszyngton nie potrafił wypracować skromnego choćby programu polityki zagranicznej USA. Mało subtelną ale krzykliwą retoryką prez. Reagana nie zastąpi politycznej strategii. Nie na tym polega amerykański *leadership*, o który prezydent Reagan zabiega. Zapowiedź, że „przeciwstawimy się wszędzie i zawsze wszelkim przejawom sowieckiego ekspansjonizmu” pozwala domyślać się, czego prezydent Reagan nie chce, nie pozwala natomiast dowiedzieć się, czego prezydent Reagan chce. I jak w tym kontekście drugorzędna właściwie sprawa embarga nasuwa bardzo niedobre skojarzenia.

Po pierwsze: podejmując decyzję w tak bardzo delikatnej sprawie międzynarodowej wyłącznie pod naciskiem rolniczego *lobby*, bez skromnej choćby próby uwzględnienia jej skutków międzynarodowych, prezydent Reagan bardzo dokładnie określił miejsce polityki zagranicznej na liście swych zmartwień i priorytetów. Jest to miejsce bardzo dalekie.

Po drugie: tak daleko usytuowana polityka zagraniczna jest ciągle jeszcze nieokreślona, ale już jest niespójna i niekonsekwentna. USA zjawiały się na dwóch konferencjach atlantyckich z bardzo ostrymi wymaganiami politycznymi i zbrojeniowymi. *Linkage is for us a fact of life* (element stały), powiedział mi pewien polityk amerykański, broniąc postulatów USA wobec sojuszników z Paktu Atlantyckiego, nalegając na bardziej sprawiedliwy podział zadań i obowiązków w łonie NATO.

Bardzo słusznie. Ja tak uważam. Tylko jak o tym przekonać sojuszników właśnie, skoro zdementowano ten *linkage* wobec przeciwnika? W praktyce bowiem pozostaje pytanie, dlaczego, jeżeli *linkage* jest taki ważny, wyrzucono go właśnie z embarga zbożowego. „*Linkage*, dodał mój rozmówca, odpowiada naturze ludzkiej”. Dlaczego nie odpowiada naturze farmerów z Illinois? A może farmer nie człowiek?

#### Szkoda Haiga

No i wreszcie, trzeba to powiedzieć z goryczą, stosunki jakie udało mi się odczytać w Waszyngtonie w kwietniu 1981 przypo-



minają najgorsze okresy podjazdowych wojen między Kissingerem a Rogersem.

Sekretarz Stanu Haig popełnił wiele zaskakujących i niezrozumiałych błędów. Haig rozpoczął karierę w sztabie Nixona, zanim objął na całe cztery lata dowództwo wojsk Przymierza Atlantyckiego. Zdał znakomicie egzamin z polityki, kiedy w czasie afery Watergate przez kilka tygodni właściwie rządził Ameryką z za swojego biurka w Białym Domu. Ale od chwili objęcia Departamentu Stanu Haig zachowuje się tak, jakby nigdy nie pracował w Białym Domu. Od początku naraził się „ludziom prezydenta”. W dniu inauguracji Reagana wręczył mu memorandum, w myśl którego kreował się jedynym nie tylko rzecznikiem, ale i wyłącznym autorem polityki zagranicznej USA. W dniu zamachu na Reagana wyprzedził wszystkich, wyrwał mikrofon i drżącym z emocji głosem proklamował, że Amerykanie mogą spać spokojnie, albowiem on, Haig, czuwa. Tak jakby „ludzie prezydenta” panowie Meese, Baker czy Deaver, nie mówiąc już o wiceprezydencie Bushu, w ogóle się nie liczyli. Mniejsza o szczegóły. Wojny z Białym Domem Haig oczywiście wygrać nie mógł. Tak jak w Moskwie nie decyduje rząd, tylko Biuro Polityczne na Kremlu, tak jak we Francji nie decyduje rząd, tylko sztab w pałacu Elizejskim, tak i w Waszyngtonie nie decyduje rząd tylko sztab prezydenta, to znaczy właśnie panowie Meese itd.

Sprawa embarga zbożowego to tylko skromny przykład. Haig był naturalnie przeciwny jego zniesieniu. Ale właściwie nikt nie pytał go o zdanie, bo była to przecież decyzja z dziedziny polityki nie zagranicznej a wewnętrznej. Departament Stanu oraz fachowców z Rady Bezpieczeństwa w Białym Domu poproszono jedynie o przygotowanie kilku wersji odpowiedzi na ewentualne zagraniczne krytyki decyzji o zniesieniu embarga.

Na tym jednak nie koniec. W dzień po zniesieniu embarga wobec Rosji Haig zapowiedział i ostrzegł, że embargo będzie znacznie ostrzejsze, jeżeli Rosjanie napadną na Polskę. W godzinę później poszła w świat depecha, że sformułowanie Haiga nie oddaje istoty stanowiska Białego Domu. I tak w kółko... Kilka razy panowie Meese i Baker ogłaszali, że ich stosunki z Haigiem są jak najlepsze, a Reagan oświadczył, przyjmując Haiga po powrocie z sesji NATO w Rzymie, że był to prawdziwy triumf, i że ma pełne zaufanie do sekretarza Stanu. To bardzo podejrzane wyrazy miłości, takie *dementi* potwierdzają tylko kryzys zaufania.

Sprawa embarga nie jest w tym kryzysie najważniejsza, ale jest charakterystyczna dla spadku prestiżu Haiga. Haig, wierny żołnierz, zameldował, że kieruje Departamentem Stanu po to, aby wypełnić rozkazy Prezydenta, ale Europa ma rację, jeżeli obawia się, iż może niedługo stracić najlepszego ministra spraw zagranicznych, jakiego kiedykolwiek miała w Waszyngtonie.

Objęty departamentem Haig zapowiedział, że będzie prowadził politykę zagraniczną „spójną, wiarygodną i stanowczą”. Na

razie są to słowa, a sam Haig stał się przedmiotem bardzo niespójnej intrygi personalnej w Waszyngtonie. Grupie dziennikarzy europejskich, specjalistów od polityki zagranicznej (niektórzy dobrze znali go z Brukseli) Haig powiedział, iż w czasie pierwszych 100 dni urzędowania rozmawiał z ponad 50 szefami państw i rządów.

No i co z tego? Tendencje neutralistyczne w Europie nigdy nie były tak silne jak dziś. Przeciwnicy unowocześnienia arsenału nuklearnego w Europie zachodniej, niezbędnego dla sprostania szantażowi owych słynnych sowieckich SSXX, są znakomicie zorganizowani, wcale niekoniecznie i nie zawsze przez bolszewików czy przez rodzimych komunistów. Presja propozycji Breżniewa czy manipulacje propagandy sowieckiej są w istocie rzeczy mniej skuteczne niż potknięcia czy niekonsekwencje polityki amerykańskiej. W tym zestawieniu embargo zbożowe znowu nie jest najważniejsze, ale jest najbardziej charakterystyczne i najłatwiejsze do użycia. Rzeczywiście, jak wytłumaczyć zachodnim robotnikom czy młodzieży, że powinni w czasie kryzysu, bezrobocia i inflacji dokonywać wyrzeczeń i poświęceń w imię sprostania groźbie ZSSR, kiedy równocześnie prezydent USA obala embargo, znosząc bardzo względne poświęcenie jakiego domagano się w tej samej sprawie od farmerów USA.

Filozofią ekipy Carter - Brzeziński w stosunkach z ZSSR było hasło „współpraca i współzawodnictwo”. Hasłem ekipy Reagan - Haig miało być: „powściągliwość i wzajemność” (czyli *linkage*). Gdzie tu jest wzajemność? Co dała Moskwa w zamian za zniesienie embarga?

Jak wynika z głosowania w Kongresie nad gospodarczymi projektami Reagana, zniesienie embarga bardzo wyraźnie poprawiło stosunki między Stanami Zjednoczonymi a stanem Illinois. Nie wydaje mi się jednak, aby na tym miała polegać polityka zagraniczna USA.

Leopold UNGER

Pisane 15 maja 1981

## Korespondencja z Rzymu

### „POLONIZACJA” KOŚCIOŁA Powszechnego?

Nowy pontyfikat wywołał w świecie — czego należało się spodziewać — ogromny wzrost zainteresowania dla problematyki polskiej w ogóle, a dla roli chrześcijaństwa i Kościoła w szcze-



gólności. Znikły za jednym zamachem rozmaite irytujące *clichés*, jak „Kościoł milczenia” (mówił przecież głośno) lub „Kościoł prześladowany” (w porównaniu z innymi krajami bloku wschodniego był „tylko” szkanowany). W miejsce ignorancji, której nie można usprawiedliwić (kto chciał mógł bowiem sięgnąć do dokumentów), zaczęły kursować — zwłaszcza we Włoszech — pośpieszne i naciągane często oceny, a nawet obawy o „polonizację” Kościoła Powszechnego. Naciągane, bo sprowadzające spoistość i siłę katolicyzmu w Polsce wyłącznie do motywacji politycznych. Patrząc przez okulary zachodnie, w zależności od preferencji patrzącego zobaczono Kościół ten jako ośrodek opozycji politycznej lub jako dialogujący, a nawet ugodowy wobec władzy.

Wybitny socjolog włoski F. Alberoni dostrzegł w elekcji Jana Pawła II dylemat: „Jaki Kościół polski ma odegrać rolę modelu dla całego katolicyzmu, czy dewocjonalny, Kościół masowych procesji i pielgrzymek do sanktuariów, czy też moralnie potężny, schronienie i twierdza dla wszystkich, zaangażowany w obronę praw człowieka?”. Oczywiście dylemat fałszywie postawiony. Jeden i drugi Kościół są bowiem nierozłączne. Pojawiły się również głosy mądrzejsze: „Z doświadczeń konfrontacji z marksizmem Kościół polski wyszedł nie tylko wzmocniony, ale i oczyszczony. Mam wątpliwości, czy doświadczenia te były twardsze od doświadczeń Kościoła na Zachodzie, rozkładanego przez konsumizm” (G. Alberigo, historyk katolicki z Bolonii).

Zainteresowanie dla polskiego wątku w obecnym pontyfikacie nie jest pozbawione pewnego lęku o automatyczne niejako przeniesienie na grunt zachodni „modelu” Kościoła w Polsce. Obawy te, moim zdaniem przesadne, choć często przez Polaków alimentowane, pojawiają się nieraz w krytycznych akcentach watykańskich komentatorów. Doszło do tego, że zwykli włoscy śmiertelnicy piszą listy otwarte do prasy katolickiej, dając wyraz tym obawom. Tygodnik *Il Sabato*, organ awangardowej młodzieżowej organizacji katolickiej *Comunione e Liberazione*, opublikował kiedyś list czytelnika, atakujący — nie bez pewnej racji — redakcję pisma za forsowanie polskiej tematyki kościelnej i katolickiej bez należytego pogłębienia, za wybijanie sensorycznych nieraz momentów bez krytycznego komentarza. W miesięczniku CSEO, zastrżonego ośrodka dokumentacji w Bolonii zajmującego się problematyką Kościoła w Europie Wschodniej<sup>1</sup>, ukazał się ostatnio list czytelnika odwołującego prenumeratę, ponieważ „centrum przestało być ośrodkiem dokumentacji *całej* Europy Wschodniej, stając się jedynie odbiciem jednej jej części (Polski). Należałoby zachować dystans w interpretacji wydarzeń, unikać manipulacji i przesądów... Wydaje się, że wybór tego Papieża skłonił Was do sądenia, że jedynym sposobem zreformowania

1. Wydał on m.in. po włosku zbiór pism Karola Wojtyły dotyczący etyki społecznej, „Dzieje chrześcijaństwa w Polsce” pod redakcją prof. J. Kłoczowskiego, „Przełom historyczny. Chrześcijaństwo i marksizm w Polsce” ks. prof. J. Tischnera (polskie wydanie pt. „Polski kształt dialogu”, Biblioteka *Spotkań*, Londyn - Rzym 1981).

Kościół katolickiego jest polski wzorzec!”. Redakcja broni się przed zarzutami, akceptuje jednak fakt, że opinię tego czytelnika „podziela wiele osób, które patrzą na pontyfikat Jana Pawła II z obawą o polonizację Kościoła, zwłaszcza Kościoła włoskiego”. Wydaje mi się, że do tych obaw, w zasadzie nieuzasadnionych jeśli chodzi o bezpośrednie „polskie” oddziaływanie pontyfikatu, przyczynia się pewna swoista „moda na Polskę”, która przejawia się nieraz w formach nieszczerych, naciąganych i oportunistycznych. Ale jak każda moda, może szybko zgasnąć. Na to zjawisko składają się drażniące przykłady forsowania obrazu Polski (a zwłaszcza jej kultury) nie odpowiadającego rzeczywistości. Niektórzy włoscy specjaliści od „instrumentalizacji” politycznej usiłują wygrywać polski wątek pontyfikatu dla własnych przyziemnych interesów, nie mających nic wspólnego z rzetelną troską o prawdę i autentyczną wymianę myśli. „Wystrząś z grubej rury” — skomentował pewien duchowny polski, znakomity wykładowca jednej z katolickich wyższych uczelni w kraju, wydany tu ostatnio tomik poezji Czesława Miłosza z Matką Boską Jasnogórską na okładce i z wprowadzającą w błąd notą wydawcy. Do nieporozumień i obaw przyczyniają się także ci polscy kapłani i świeccy, którzy, nieobeznani z tutejszym terenem, dają się łatwowiernie „nabijać w butelkę”. Sama dobra wola nie wystarczy! Przyнося tu prowincjonalną mentalność, znieczuloną na wszelką krytykę, nawet najbardziej konstruktywną i w dobrej wierze czynioną. Jakikolwiek akcent krytyczny pod ich adresem uważają nawet za atak na Papieża! Na szczęście idzie o jednostki. Nie wszyscy bowiem zdradzają chorobliwą euforię i pretendują do nieomylności w cieniu Spizowej Bramy. Nie uważają, że wszystko wiedzą lepiej — przeciwnie, skwapliwie słuchają kompetentnych opinii świeckich ekspertów, a nawet proszą o rady i sugestie.

Na forum międzynarodowym pojawiło się ostatnio szereg poważnych krytycznych kontrybucji na rzecz omawianego tu problemu. Czy Kościół polski stanowi model dla Kościoła Powszechnego? Czy i w jakiej mierze jest zdolny do odegrania roli przywódczej względnie drogowskazu? Pytania te stawia Peter Hebblethwaite, korespondent watykański *National Catholic Reporter*, autor kilku książek, w tym *The Year of three Popes* (Collins, 1978) i *John Paul II, Pope for the Year 2000* (tłumaczenie włoskie Cappelli, 1979). Czyni to w obszernym artykule (pierwsze jego pytanie w tytule) na łamach międzynarodowego pisma teologicznego *Concilium*<sup>2</sup>. Pytania te są nieuniknione — powiada — ponieważ istnieje Papież-Polak, który „wymyka się swemu polskiemu zapleczu, chociaż pozostaje przez nie ukształtowany”. Paradoks, w którym tkwi sedno prawdy — stwierdza — trzeba bo-

2. Ukazuje się w 10 wydaniach językowych. W Komitecie redakcyjnym tego pisma figurują znakomici teolodzy, m.in. M. D. Chenu i I. Congar (Francja), K. Rahner i H. Küng (RFN), Schillebeckx (Holandia), L. Sartori (Italia), J. Coleman i M. Collins (USA).



wiem być zakorzenionym w danym Kościele lokalnym i równocześnie „otwartym” ku służbie dla Kościoła Powszechnego. Angielski pisarz katolicki nie może jednak pojąć, że Jan Paweł II dlatego uosabia ten paradoks, że nie jest typowym Polakiem, a na pewno nie jest typowym polskim kapłanem. Z tym zastrzeżeniem, oczywiście, czy taką „typowość” da się — niezależnie od odczucia — zdefiniować. Tym bardziej więc na stronie polskiej spoczywa obowiązek udzielania mu pomocy dla dokonania pozytywnych przemian w mentalności i stylu ludzi reprezentujących Kościół; jest on bowiem, jak słusznie twierdzi Hebblethwaite, na pewno do tego zdolny. Angielski pisarz zauważa, że Papież jest świadom tego paradoksu i stąd pewne jego wystąpienia można uznać za „sprzeczne” lub „dialektyczne”. I podaje następujący przykład: 18. X. 1978 roku, przyjmując korpus dyplomatyczny, powiedział, że docenia różnice kulturalne i historyczne i uznaje tę różnorodność jako bogactwo. I dodał: „Odtąd szczególnie charakter mego kraju pochodzenia ma niewielkie znaczenie, jako papież jesteśmy i będziemy świadkami miłości uniwersalnej”. 3 czerwca 1979 roku natomiast mówił w Gnieźnie o kulturze polskiej, która zespala inspirację chrześcijańską i głęboko odczuwane walory ludzkie. I konkludował: „Słuchacie człowieka, który zawdzięcza od początku swą formację duchową kulturze polskiej, jej sztukom pięknym, szkołom i uniwersytetom”. Zdaniem Hebblethwaite'a, w pierwszym wystąpieniu Papież deklaruje swą niezależność od polskiej tradycji, w drugim natomiast proklamuje swą całkowitą od niej zależność. Można się zgodzić z autorem eseju, kiedy tłumaczy ten „zaskakujący paradoks”, że tylko silne poczucie własnej tożsamości daje odwagę służenia dobru wspólnemu, a zatem „fakt, że Papież jest tak mocno zakorzeniony w kulturze polskiej może być korzystny”. Doświadczenie nabyte przez księdza, biskupa i kardynała Wojtyłę umożliwia mu dziś „dowartościowanie peryferii kościelnej i lokalnych kultur”. Kwestionuje jednak przekonanie o misji uniwersalnej obecnej w Kościele polskim, i wierę, że jego „doświadczenie, aczkolwiek unikalne, jest również wzorcowe”. Wątpliwości i zastrzeżenia budzi „polskie teologiczne samozadowolenie i doświadczenie kulturalne, nieodłącznie z sobą związane”. Wybór Papieża-Polaka pojęto jako „kompensatę za wiekowe przesładowania”. To samozadowolenie, preradzające się w triumfalizm, bezkrytyczne zachłystywanie się, angielski pisarz katolicki usprawiedliwia poniekąd historyczną pamięcią zbiorową i zwycięskimi wynikami konfrontacji z marksistowskim totalitaryzmem. Widzi też odwrotną stronę medalu: sytuację Kościoła na Zachodzie, poczuwającego się do winy za „utrata robotników”, stłamszenie napięcia ideowego i skandaliczny wyzysk trzeciego świata. Kościół polski natomiast nie ma powodów do poczucia winy, do odpowiedzialności za krzewiące się zło, „ani na skutek swej akcji, ani za grzechy zaniedbania”. Rezultat ostateczny: odmienna psychologia wiary w Polsce, wiary „pewnej i zadowolonej z siebie”, zwalniającej od stawiania pytań. Na

Zachodzie wygląda to na „triumfalizm”, niechęć do zmagania się z wątpliwościami i konfliktami („które istnieją w łonie Kościoła”) i do akceptowania pluralizmu jako wartości pozytywnej. Czytelnikowi doradzałbym w tym miejscu ponownie przeczytać jakże przenikliwe uwagi na temat „niebezpieczeństwa triumfalizmu religijnego” w refleksjach ks. J. Tischnera w numerze kwietniowym *Kultury*.

Kluczowe znaczenie ma niewątpliwie poruszona tu kwestia „samozadowolenia” Kościoła polskiego. Czy w tych warunkach może służyć Kościołowi Powszechnemu? Angielski autor twierdzi, że im bardziej podkreśla „unikalność swej sytuacji, swe uwarunkowanie kulturalne i swoje doświadczenia historyczne, tym trudniejszą rzecz staje się możliwość służenia jako model dla innych”. Jako składnik przyczyniający się do symfonii całości „heroiczna rola tego Kościoła jest bezsprzeczna i wspaniała, jako dostawca dyrygenta ma granice”. Te same bowiem zalety, które nadają mu siłę i spoiwość w Polsce, mogą przekształcać się w słabość, jeśli są rzutowane na arenę międzynarodową. Obserwatorzy neutralni ulegają czasem wrażeniu — stwierdza Hebblethwaite — że „polski model Kościoła zawdzięcza trochę za wiele partii komunistycznej, na której opiera się z taką mocą”. Specyfika polska jest według niego pozbawiona doświadczenia demokracji w życiu narodu w ostatnich czasach i dlatego nie może pojąć idei „lojalnej dysydencji”. Konkluzja? „Szczególny model Kościoła uformowany w sytuacji ucisku i cudownie przystosowany do niesprzyjających okoliczności nie może być łatwo rozciągnięty na Kościół Powszechny”. Do podobnego wniosku doszedł Paul Thibaud, naczelny redaktor pisma francuskiego *Esprit* (kwiecień 1979 r.): „Kościół katolicki w Polsce ma podwójną wyższość, jest zarazem potężny i niezależny od władzy, jest równocześnie silny i niewinny”. Jest potężny, ponieważ reprezentuje aspiracje mas, jest niewinny, ponieważ nie jest odpowiedzialny za to co się stało. „Wynika jednak z tego, że przejście od opozycji do przywództwa najeżone jest trudnościami” — brzmi końcowe zdanie artykułu, nad którego treścią nie można przejść do porządku dziennego.

„Jeżeli ksiądz nie boi się władców tego świata...”

Odkładałem tę lekturę „na później” (Ks. Adam Boniecki: „Budowa kościołów w diecezji przemyskiej”, Biblioteka *Spotkań*, 1980). Tymczasem czytając ten zbiór reportaży okazuje się, że posiada on jakby drugą warstwę, kto wie czy nie ważniejszą niż sam zapis relacji z tego „niebywałego przedsięwzięcia”, jakie z inspiracji biskupa Ignacego Tokarczuka podjęli w latach 70-tych kapłani diecezji przemyskiej. Jak słusznie zaznacza w postawie autor reportaży, budowa kościołów bez zezwoleń władzy nie była „aktem prowokacji czy formą kontestacji”. Należy tę wiel-



ką przygodę pojmować jako „poczynania czysto duszpasterskie, które stanowiły konieczność życiową wobec postępu urbanizacji i niedostatecznej sieci parafialnej. Otrzymywano pozwolenia na remont czy rozbudowę domów mieszkalnych, na budowę stodół, stajni, a nawet chlewni. Potem plany budowy przerabiano i wykorzystywano na wznoszenie domu Bożego. Wszystko to działo się po nocach, w warunkach stałego zagrożenia i ryzyka. „Zapiski” — jak ks. Boniecki nazywa swe reportaże — są faktycznie rekonstrukcją podwójnego mechanizmu, jaki towarzyszył „niebywałemu przedsięwzięciu”: z jednej strony przełamywania bariery strachu, nacisków, szantaży — z drugiej zaś strony powstawania więzi integrującej społeczność wiernych, rodzenia się poczucia solidarności. Budowa kościołów w tych niecodziennych warunkach, wymagająca inwencji, odwagi, samozaparcia i świadomości ponoszenia ofiar (nie tylko materialnych) stworzyła sposobność do przeżywania doświadczeń wspólnotowych, ba, nawet zmiany charakteru ludzi. „Oni się zmieniali — mówi jeden z kapłanów — ale ja także wiele spraw zrozumiałem dopiero teraz”. Jest to chyba kluczowe zdanie w tej niewielkiej książce, tak pełnej zarazem wielowarstwowej treści. Jakże znamienne są wyznania tych kapłanów, przytaczane niby na marginesie właściwej relacji, kapłanów zbratanych z ludem, którzy pod wpływem wspólnych doświadczeń przy tej okazji dokonali radykalnej zmiany stylu duszpasterzowania. Przedtem (tzn. przed podjęciem budowy) organizacja pracy duszpasterskiej bywała często jałowa, bezduszna. Odtąd — wypełniona nową treścią społeczno-wychowawczą. „Jeżeli ksiądz nie boi się władców tego świata, to wierni podążą w jego ślady” — zwierza się pewien kapłan. Otóż to. Wtedy i podszepty ludzi złych lub tylko manipulowanych przez władzę w dążeniu do popuszczenia reputacji księdza niczego nie wskórają. W pięknej przedmowie Maria Winowska pisze: „Strach przybiera, jak kameleon, różne formy, często niewinne. Nie wchodzi w ramy zwykłych rachunków sumienia. Jest jednak, właśnie dlatego, trucizną duszy. Wrogiem wolności wewnętrznej. Przetargiem osoby bezcennej za cenę przyszłowiowej misy soczewicy”.

W relacjach spisanych przez ks. Bonieckiego w latach 1976-78 dramatyczny wątek splata się nieraz z tragikomicznymi epizodami, jak np. opis najścia milicjantów i tajniaków kropionych przez kobiety święconą wodą z Lourdes. Zasadniczą funkcję spełniały w tych wyprawach dzwony kościelne bijące na alarm. Szkoda, że autor, wezwany do innych prac, nie mógł skończyć serii reportaży. Zamiast 24 relacji mielibyśmy wówczas około setki — tyle bowiem wynosiła liczba nie autoryzowanych konstrukcji sakralnych. To, co nam dał, to nie tylko ważny zapis dokumentalny o cechach bezpośredniości, włącznie z pewnym niedopracowaniem, co w innym przypadku stanowiłoby wadę. Dał nam żywy obraz, w którym jak w soczewce odbija się krajowa rzeczywistość z wszystkimi swymi blaskami i cieniami, w całym swym splecie elementów psychologicznych, religijnych, społecznych i

politycznych. Zbiór tych reportaży stanowi więc materiał pobudzający do refleksji, cenny zwłaszcza dla socjologa.

Dominik MORAWSKI

Pisane 8 maja 1981 r.

### Post scriptum

1. Sygnał z Pekinu? Biskup Dominik Tang, administrator apostolski Kantonu (pisałem o nim w numerze kwietniowym w związku z podróżą Jana Pawła II na Daleki Wschód) przybył 30 kwietnia do Rzymu i tego samego dnia był przyjęty przez Papieża. Spotkał się w tych dniach z kard. Casarolim, Sekretarzem Stanu i innymi szefami dykasterii watykańskich. Można zakładać, że jego wizyta wiąże się z powolnym procesem normalizacji sytuacji Kościoła w Chińskiej Republice Ludowej i stosunków pomiędzy Stolicą Apostolską i Pekinem.

2. 6-8 maja br. przebywali w Rzymie na zaproszenie Włoskiej Unii Pracowników (UIL) wiceprzewodniczący Krajowej Komisji Porozumiewawczej „Solidarności” Ryszard Kalinowski i kierownik wydziału Zagranicznego KKP Wacław Korczyński. Przyjazd ich do Rzymu, a przedtem pobyt w Brukseli i Paryżu — gdzie spotkali się z przedstawicielami Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Syndykatów i Europejskiej Centrali Syndykatów (w Paryżu — z przedstawicielami wszystkich głównych central związkowych) — wiązał się z koniecznością uregulowania kontaktów zagranicznych. Oświadczyli oni, że niepowołane i nieupoważnione osoby, które występowały za granicą pod szyldem „Solidarności” (jak np. J. Skwara z ODISS-u, obecny w kwietniu w Rzymie na galówce chadeckiej), popełniły nadużycie i wprowadzały w błąd międzynarodową opinię publiczną. Uprawnionymi do reprezentowania „Solidarności” za granicą są wyłącznie osoby posiadające mandat Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Odpowiedzialnymi za ten sektor są: R. Kalinowski, B. Geremek i W. Korczyński.

D. M.

## Pacta sunt servanda

W mitach polskich postrzega się Szwecję jako kraj ludzi zamożnych i uczciwych, w którym stworzono interesujące wzory łączenia tradycji liberalnej i socjalistycznej. Informacje na te-



mat szwedzkiej drogi do dobrobytu oraz na temat współczesnych problemów społeczeństwa szwedzkiego są jednak zazwyczaj dość ograniczone.

Przełom przemysłowy dokonał się w Szwecji w latach 1860-1890. Jeszcze w połowie ubiegłego stulecia Szwecja była znacznie opóźniona w rozwoju technicznym zarówno w porównaniu z Anglią jak i z Francją. Eksplozja demograficzna na początku ubiegłego stulecia stała się przyczyną długoletniego kryzysu żywnościowego. W okresie między 1850-1890 czwarta część społeczeństwa szwedzkiego, tj. ponad milion osób, wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych.

Podstawowe elementy szwedzkiej rewolucji przemysłowej to przemysł hutniczy oraz przemysł drzewny i papierniczy. Już w okresie pierwszej wojny światowej Szwecja była jednym z głównych dostawców żelaza i stali dla walczących stron. Prawdziwym wielkim interesem okazała się jednak dopiero druga wojna światowa.

W latach 1939-1944 Szwecja dostarczyła Trzeciej Rzeszy ponad 50 milionów ton rudy żelaza. Od 1930 roku szwedzka ruda była podstawowym surowcem niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. Według ocen brytyjskich ekspertów, zatrzymanie szwedzkich dostaw rudy w 1939 roku spowodowałoby tak głęboki kryzys niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, iż wojna musiałaby zakończyć się przegraną Niemiec w ciągu kilku miesięcy.

5 kwietnia 1937 Göring poinformował przedstawicieli szwedzkiego rządu, iż rozbudowa niemieckiej marynarki wojennej ma na celu obronę szlaków handlowych na Bałtyku. Niemiecki dygnitarz wyraził również oczekiwania swego rządu, iż w przypadku konfliktu w Europie Szwecja pozostanie neutralna.

Wkrótce po tym spotkaniu Szwecja ograniczyła eksport rudy do Wielkiej Brytanii, „z powodu planowanego ograniczenia wydobycia”. Jeszcze w okresie pierwszej wojny światowej polityka zagraniczna Szwecji opierała się na zasadzie „dążenia do całkowitej i bezstronnej polityki neutralności uniemożliwiającej wciągnięcie Szwecji do konfliktu, a równocześnie dążenie do zapewnienia sobie zaopatrzenia przez zachowanie prawa do tradycyjnych kontaktów handlowych ze wszystkimi państwami, w tym z państwami prowadzącymi wojnę”.

Memorandum szwedzkiego ministerstwa handlu zagranicznego z 10 sierpnia 1939 w następujący sposób definiowało politykę neutralności: „Należy stwierdzić, iż jak długo państwo neutralne nie ma w swojej polityce handlu zagranicznego innych celów niż dobro własnego społeczeństwa, nie może być oskarżane o naruszanie neutralności, nawet w przypadku gdy reguluje swój eksport w sposób krzywdzący dla którejś z walczących stron”.

Gdy w listopadzie 1939 roku Wielka Brytania zaprotestowała przeciw zwiększonym dostawom rudy do Niemiec, strona szwedzka przedstawiła argument, iż „są to nadal wielkości na poziomie 1938 roku, z tym, że cyfry te obejmują również eksport do

Polski i Czechosłowacji, które to kraje znajdują się obecnie pod administracją niemiecką”.

Nawiasem mówiąc, jednym z towarów, którym Niemcy płaciły za szwedzką rudę był węgiel kamienny. Warto przytoczyć tu dane na temat eksportu węgla z Niemiec i Polski do Szwecji w latach 1937-1946 (dane w tys. ton):

rok	Polska	Niemcy
1937 .....	2.549	636
1938 .....	2.420	660
1939 .....	1.789	676
1940 .....	—	3.339
1941 .....	—	3.140
1942 .....	—	2.705
1943 .....	—	3.559
1944 .....	—	2.349
1945 .....	122	3
1946 .....	1.642	22

W roku 1945 Szwecja dysponowała zapasami węgla w wysokości 5 milionów ton.

Szwecja zachowała również neutralność w wojnie sowiecko-fińskiej. 13 marca 1940, kiedy podpisano pokój między Finlandią i ZSSR, rząd szwedzki „mając na celu zwiększenie atmosfery powszechnego odprężenia”, zwrócił się do rządu w Moskwie z inicjatywą rozszerzenia handlu między ZSSR i Szwecją. Jak się później okazało, była to jedyna nieudana operacja handlowa Szwecji podczas drugiej wojny światowej.

Zajęcie Danii i Norwegii w kwietniu 1940 roku groziło Szwecji utratą rynków zachodnich, co nie zawsze mogło być kompensowane przez zwiększenie obrotów z Niemcami. W takich dziedzinach jak budownictwo mieszkaniowe groził Szwecji kryzys, a nawet częściowe bezrobocie. W tej sytuacji rozpoczęto natychmiastową akcję mającą na celu odzyskanie równowagi.

Latem 1940 roku Szwedzi uzyskali od rządu niemieckiego zezwolenie na ograniczony handel z aliantami poprzez niemiecką blokadę morską. Zezwolenie to zrównoważone zostało szwedzką zgodą na tranzytowy ruch niemieckich wojsk i materiałów wojennych przez Szwecję do Finlandii i Norwegii.

Wojna z ZSSR nadwerżyła niemieckie możliwości płatnicze. W 1941 roku Szwecja zdecydowała się na udzielenie Niemcom kredytu. Jednakże już zimą 1942, wobec przedłużającej się wojny, postanowiono nie udzielać dalszych kredytów jak również „zgodnie z założeniami szwedzkiej polityki dążyć do wyrównania proporcji szwedzkiego handlu zagranicznego ze stronami prowadzącymi wojnę”. Szwedzi stwierdzili wówczas, że o ile strona niemiecka nie tylko nie nalegała na udzielanie dalszych kredytów, i w trudnych warunkach zwiększonego wysiłku wojennego utrzymywała bilans płatniczy bieżącego obrotu jak również regular-



nie spłacała zaciągnięte wcześniej kredyty, to zarówno Amerykanie jak i Anglicy ustosunkowywali się do Szwecji zdecydowanie niechętnie. Żądano od Szwecji ograniczenia eksportu rudy do Niemiec, ograniczenia przejazdów tranzytowych niemieckich wojsk i materiałów wojskowych, wstrzymania produkcji statków dla niemieckiej marynarki wojennej oraz wstrzymania eksportu arseniku do Niemiec. Warunki te były dla strony szwedzkiej absolutnie nie do zaakceptowania. Ostatecznie obroty handlowe z aliantami pozostały na niezmiennym poziomie, natomiast obroty z Niemcami ponownie wzrosły.

W ostatniej fazie wojny szwedzkie dostawy rudy nie mogły już wpłynąć na bieg wydarzeń. Kosztowny był natomiast fakt, że bombardowany przemysł niemiecki znajdował istotną pomoc w idącym pełną parą przemyśle szwedzkim. 13 kwietnia 1944 roku rząd Stanów Zjednoczonych wystosował do rządu szwedzkiego notę ze stanowczym żądaniem natychmiastowego wstrzymania eksportu do Niemiec łożysk kulkowych, maszyn, narzędzi i wysokogatunkowych stali. „Eksport ten — stwierdzano w nocie — ma tak istotne znaczenie dla niemieckiej armii, iż rząd Stanów Zjednoczonych będzie zmuszony wykorzystać wszelkie dostępne metody mające na celu wstrzymanie tego eksportu”. Rząd USA zobowiązywał się do pokrycia strat ekonomicznych, jakie Szwecja poniosłaby w wyniku zaniechania dalszego eksportu do Niemiec.

Szwedzki minister spraw zagranicznych, Günter, odpowiedział, że żądania amerykańskie nie mogą być uwzględnione. W szwedzkiej odpowiedzi podkreślano, iż przyjęcie żądań amerykańskich oznaczałoby dla Szwecji niewywiązanie się z przyjętych na siebie umów. „Zmieniona sytuacja wojenna nie może naruszać przyjętych wcześniej zobowiązań” — stwierdzano.

Bezpośrednie przetargi aliantów z fabryką łożysk SKF w Göteborgu doprowadziły do porozumienia z 12 czerwca 1944 (!), w którym SKF zobowiązywała się do redukcji eksportu łożysk do Niemiec o 60 %, przy pełnej rekompensacie ekonomicznej.

W grudniu 1944 roku handel między Szwecją a Niemcami ostatecznie ustał. Drogi na Zachód zostały ponownie otwarte i Szwecja, jak stwierdza jeden z szwedzkich historyków tego okresu, mogła wraz z innymi krajami wziąć udział w powojennej odbudowie.

Przedstawiona tu w ogromnym skrócie polityka szwedzkiego handlu zagranicznego podczas drugiej wojny światowej wydaje mi się być absolutnie niezbędnym wprowadzeniem dla zrozumienia dzisiejszego systemu politycznego w Szwecji oraz współczesnej polityki zagranicznej tego kraju.

Szwecja jest krajem neutralnym. Nie należy ani do NATO, ani do EWG. Politykę zagraniczną Szwecji charakteryzuje zdecydowana wrogość do Stanów Zjednoczonych. W szwedzkim

programie pomocy dla krajów rozwijających się na pierwszym miejscu znajdują się takie kraje jak Wietnam, Kuba i Angola. Od 1933 roku do połowy lat 70-tych w Szwecji nieprzerwanie rządził socjaldemokracy.

Ruch socjaldemokratyczny, zarówno w Szwecji jak i w innych krajach zwracał się przeciwko ekonomicznemu liberalizmowi, który chronione przez państwo swobody jednostkowe doprowadził do nagiej i bezwzględnej władzy pieniądza. W ekonomicznym liberalizmie zasada rzymskiego prawa — *pacta sunt servanda* — potraktowana została jako podstawa społecznego ładu, od której nie należy czynić wyjątków. W tej sytuacji umowy wymuszone koniecznością życiową traktowane były jak umowy dobrowolne, a jednostki ekonomicznie słabsze nie znajdowały żadnej ochrony przed ekonomicznie silniejszymi partnerami. Założenie równości między ludźmi i oparta na tym założeniu zasada świętości umowy między dwiema jednostkami pomijała drobny szczegół rzeczywistości społecznej, mianowicie fakt, że partnerzy tych umów nie byli równi. W tej sytuacji przeciw partnerom dysponującym przewagą posiadanego kapitału i narzucającym gangsterskie warunki umów o pracę, występować mogły skutecznie tylko zorganizowane grupy słabszych kontrahentów. Stanowiło to atak na podstawową zasadę filozoficzną liberalizmu, definiującego społeczeństwo jako zbiór równych wobec prawa i wzajem od siebie niezależnych jednostek.

W wyniku kolejnych konfrontacji doszło do akceptacji spontanicznie wyłaniających się nowych instytucji społecznych.

Kapitalizm w jego pierwotnej postaci przestał istnieć nie w wyniku przewidywanych przez Marksa działań rewolucyjnych znoszących własność prywatną, ale w wyniku zorganizowanych nacisków zbiorowych, korygujących nazbyt teoretyczną koncepcję równości. Pracownicy najemni, korzystający z tych samych praw co pracodawcy, ale znajdujący się w nierównym położeniu ekonomicznym, poprzez ruch związkowy uzyskali szansę zawierania partnerskich umów o pracę.

(W krajach, w których kapitalizm się nie rozwinął ortodoksyjna doktryna marksistowska posłużyła jako instrument uniemożliwiający zorganizowanie autonomicznego ruchu związkowego i stanowiący gwarancję przywilejów ludzi, w których dyspozycji znalazły się środki produkcji).

Jak dotychczas ograniczenie doktryny ekonomicznego liberalizmu przez myśl socjaldemokratyczną przyniosło stosunkowo najlepsze rezultaty organizacji społeczeństwa przemysłowego. Używając tu określenia „stosunkowo najlepsze” chciałbym podkreślić, że ład społeczny w tych krajach daleki jest od doskonałości zarówno z punktu widzenia pragmatycznego jak i moralnego.

Ograniczenie ekonomicznego liberalizmu przez ruch socjaldemokratyczny doprowadziło do istotnych zmian w strukturze władzy, reformy społeczne wymuszone zostały bez wielkich wstrząsów społecznych i rozlewu krwi, a przywileje wywalczone



przez pracowników najemnych okazały się również zbawienne dla samego kapitału, gdyż doprowadziły do stworzenia potężnych i chłonnych rynków wewnętrznych.

Przez kilka dziesiątków lat obserwowaliśmy zadziwiający rozkwit społeczeństw, które poszły tą drogą. W chwili obecnej wiele z tych krajów przeżywa głęboki kryzys ekonomiczny i polityczny. W połowie lat siedemdziesiątych upadło kilka rządów socjal-demokratycznych w Europie Zachodniej, nasiliły się konflikty między związkami zawodowymi i związkami pracodawców, w krajach takich jak Anglia czy Szwecja kryzys gospodarczy jest już dziś określany jako kryzys systemu. Jeśli idzie o Szwecję to jak się wydaje kryzys ekonomiczny wynika w pierwszym rzędzie z faktu, że szwedzki rynek wewnętrzny jest rynkiem otwartym, a szwedzka siła robocza należy do najdroższych na świecie. Układ ten powoduje, że szwedzkie produkty zarówno na rynkach wewnętrznych jak i na rynkach międzynarodowych przegrywają konkurencję z tańszymi produktami innych krajów. Proces ten pogłębia się z powodu systematycznego pogarszania się jakości szwedzkich produktów, podtrzymywania przez państwo nierentownych przedsiębiorstw, małej elastyczności przemysłu, a wreszcie, co wydaje mi się najważniejsze, polityki personalnej, w której pracodawca nie ma szans ani wyboru pracownika przy zatrudnianiu, ani pozbycia się pracownika nieudolnego. Wszystkie te zjawiska to negatywne efekty modelu politycznego, który ukształtował się w okresie trwającej przez kilka dziesięcioleci koniunktury. System reform socjalnych zlikwidował w tym kraju głód, ograniczył bezrobocie, doprowadził do wyrównania poziomu życia różnych warstw społecznych w stopniu niespotykanym w innych krajach zachodnich. Reformy te w pewnym momencie osiągnęły i przekroczyły granice racjonalności. Gwarantowane przez państwo minimum socjalne ustanowione jest na takim poziomie, że praca nie zawsze jest opłacalna, niższe podatki i różnego rodzaju dodatki wyrównawcze dla samotnych matek (ojców) skłaniają do rozwodów, tradycyjna szwedzka uczciwość została rozbita przez przefilozofowany system podatkowy. Dążenie do ustanowienia reglamentowanej przez biurokrację sprawiedliwości społecznej kończy się dziś powszechną nieuczciwością i powszechnym niezadowolaniem. Blisko połowa wytworzonego dochodu narodowego podlega wtórnemu podziałowi za pośrednictwem państwa, blisko jedna trzecia tej sumy to koszty owego transferu. Gdyby to były tylko koszty sprawiedliwości społecznej można by się było z tym pogodzić, ale nowa sytuacja zrodziła również nowe problemy społeczne. Trzecia część zatrudnionych w szwedzkiej gospodarce narodowej to ludzie zatrudnieni w sektorze publicznym. Za przeniesieniem pewnych usług do sektora publicznego przemawiają argumenty o potrzebie równości społecznej, przeciw biurokratyzacji tych usług zawiązująca koszty, obniżająca ich jakość i społeczną funkcjonalność.

Najbardziej przerażające efekty dokonały się jednak w dzie-

dzinie świadomości społecznej i w dziedzinie polityki. Szczególnemu wypaczeniu uległy pojęcia równości, demokracji, życiowego sukcesu i uczciwości. Społeczeństwo zostało wdrożone do biurokratycznych miar równości. Szkoła i środki masowego przekazu lansują koncepcję równości mechanicznej i gloryfikację przeciętności, równości opartej na zawiści i agresji w stosunku do wszystkiego co przeciętnością nie jest. Z tej koncepcji równości rodzi się pojmowanie demokracji jako głosu większości, jako systemu biorącego w obronę słabszych, ale zdecydowanie niechętnemu wszelkiemu indywidualizmowi i wszelkim elitom. Pojęcie kariery i życiowego sukcesu opatrzone tu jest zdecydowanymi znakami negatywnymi.

Takie pojmowanie równości, demokracji i życiowego sukcesu jest źródłem podwójnego wartościowania. Potępiam sukces i dążę do sukcesu, mówię o równości, ale nie przeszkadza mi, że żyję wygodniej i zamożniej niż inni, mówię o demokracji i staram się zabezpieczyć sobie wpływy. Dwójmyślenie jest niekaralną acz społecznie tragiczną formą nieuczciwości. Wspomniałem wcześniej o lawinowo narastającej w Szwecji przestępczości podatkowej oraz o masowym stwarzaniu faktycznych czy pozorowanych sytuacji upoważniających do ekonomicznych gratyfikacji z funduszy społecznych. Polski czytelnik ze zdziwieniem zapewne przyjmie wiadomość o tym, że w Szwecji gwałtownie rozrasta się czarny rynek. Jest to czarny rynek pracy i produktów, usług wymienianych bez wiedzy urzędu podatkowego, czarnego eksportu i importu. Presja systemu podatkowego osiągnęła w Szwecji poziom, przy którym uczciwość stała się zajęciem nieopłacalnym, a w niektórych branżach niemożliwym. Ten fenomen dwójmyślenia, czy też doskonale przed samym sobą zamaskowanych racjonalizacji postaw egoistycznych, obserwujemy w życiu politycznym. Od kilku dziesięcioleci partią dominującą w szwedzkim życiu politycznym są socjaldemokraci. Dysponują oni blisko połową głosów wyborców i do bezwzględnej większości brakuje im zazwyczaj zaledwie kilku procent głosów. Przez cztery dziesięciolecia byli socjaldemokraci partią rządzącą, a od 1976 roku są partią opozycyjną, dostatecznie silną aby dyktować ton życia politycznego w tym kraju.

Partia socjaldemokratyczna była partią robotniczą. Czy jest nią nadal? Znaczna część członków tej partii to urzędnicy sektora publicznego i działacze związkowi. Wpływy tej grupy zarówno na politykę partii jak i na życie polityczne w Szwecji są zdecydowanie większe aniżeli wpływy pozostałych członków partii. W wielu przypadkach można zasadnie podejrzewać, że kierunek polityki partii socjaldemokratycznej leży raczej w interesie rosnącej warstwy urzędniczej aniżeli w interesie malejącej warstwy robotniczej czy społeczeństwa jako całości. Oczywiście programy partyjne motywowane są zawsze interesem mas pracujących. W imię społecznego interesu proponuje się dalsze rozszerzanie sektora publicznego, wprowadzenie funduszu pra-



cowniczego jako techniki stopniowej nacjonalizacji przemysłu, czy wreszcie zasadę całkowitej kontroli państwowej nad rynkiem pracy. Najbardziej interesującym problemem jest tu stopniowe przejmowanie przez urzędników sektora publicznego ideologii i organizacji robotniczych oraz wykorzystywanie tej ideologii dla swoich celów grupowych. Dokonana przez ruch socjaldemokratyczny poprawka do filozofii liberalnej, polegająca na wyrównaniu warunków znajdujących się w nierównym położeniu ekonomicznym stron zawierających ważne społecznie umowy, została zinstrumentalizowana przez ludzi zawodowo zajmujących się wyrównywaniem. Dodatkowym elementem politycznego sukcesu szwedzkich socjaldemokratów była obfitość zasobów nagromadzonych podczas pierwszej i drugiej wojny światowej. Współcześnie, wierność specyficznie pojmowanej zasadzie neutralności oraz przekonanie, że sektor prywatny dysponuje niewyczerpanymi zasobami, ogranicza postrzegane przez socjaldemokratów rozwiązania do powielania reform społecznych z lat pięćdziesiątych. Z tego punktu widzenia partia socjaldemokratyczna jest najbardziej konserwatywną partią w Szwecji. W społeczeństwie szwedzkim obserwuje się pewien wzrost popularności filozofii liberalnej, niestety ze stosunkowo mało twórczym uwzględnieniem pozytywnych doświadczeń socjaldemokracji.

Z punktu widzenia zmian postaw politycznych w Szwecji interesującym testem są reakcje na wydarzenia w Polsce. Jest to jednak inny rozdział, zasługujący na odrębne opracowanie.

#### A. KORASZEWSKI

## Kraj

### W imieniu KOR-u

Zbliża się piąta rocznica robotniczego protestu związanego z ogłoszeniem przez władze PRL wysokiej podwyżki cen żywności w czerwcu 1976 roku. Będzie to zarazem piąta rocznica wybuchu gwałtownego i trwającego przez dłuższy czas terroru policyjnego i administracyjnego, wymierzonego przeciw uczestniczącym w demonstracjach robotnikom i ich rodzinom.

Wiele setek ludzi przeżyło tortury fizyczne i moralne. Tysiące zwolnionych z pracy robotników oraz ich żony i dzieci pozostały bez środków utrzymania i pomocy lekarskiej. Sądy i kolegia do spraw wykroczeń, dokonujące na rozkaz władzy aktów zemsty nad demonstrantami, skazały na więzienie, areszt i nieprawdopodobne grzywny tysiące ludzi w Ursusie, Radomiu i innych miastach Polski.

Po upływie trzech miesięcy od robotniczych demonstracji rozpoczął swą działalność Komitet Obrony Robotników. Zwróciliśmy się — i zwracaliśmy wiele razy później — do wszystkich Polaków zamieszkałych w kraju i rozszanię po całym świecie o przyjęcie represjonowanym z pomocą materialną. Potrzebowaliśmy wielu pieniędzy na uruchomienie wielostronnej akcji. Obejmowała ona utrzymanie rodzin pozbawionych jedynych żywicieli, leczenie pobitych robotników oraz ich chorych i niedożywionych dzieci, płacenie wysokich grzywn, zorganizowanie obrony prawnej dla postawionych przed sądem, podjęcie wszelkich możliwych inicjatyw zmierzających do uzyskania i przekazania opinii publicznej w kraju i za granicą udokumentowanych informacji o zasięgu represji wymierzonych przeciw uczestnikom demonstracji.

Oczekiwaliśmy od Polaków zrozumienia i ofiarności, ale jej rozmiar przewyższył naszą wiarę w ich poczucie wzajemnej



wspólnoty — bez względu na odmienność losów i rozległość dzielących nas od siebie przestrzeni. Ze wszystkich stron świata od pierwszych tygodni po naszym apelu zaczęły napływać spontanicznie datki pieniężne. W kraju odbywało się to drogą najprostszą: z ręki do ręki, z kieszeni do kieszeni. Rodacy za granicą poczuli tworzyć solidarność z akcją KOR-u komitety i inne instytucje, zakładać konta, na jakie napływać miały datki o które apelował KOR, przekazywać pieniądze na ręce redaktora *Kultury*. Dochodziły one do nas najbardziej skomplikowanymi drogami, nieraz w okolicznościach tyleż dziwnych, co zabawnych.

Przez jeden tylko rok działalności Komitetu Obrony Robotników mogliśmy dzięki solidarności Polaków w kraju i za granicą wyasygnować na akcję pomocy ofiarom poczerwcowych represji ponad 3 miliony złotych — my, garstka osób, którym dziesiątki i setki tysięcy innych okazało zaufanie i wiarę, że zaufania tego nie nadużyjemy. Dla nas samych i dla społeczeństwa polskiego walczącego wśród trudności i szykan o prawo represjonowanych robotników do ludzkiej egzystencji i sprawiedliwości — fakt ten stanowił jednocześnie podstawowe oparcie moralne.

We wrześniu 1977 roku, gdy Komitet Obrony Robotników formalnie mógł się rozwiązać (po amnestii i przyjęciu do pracy prawie wszystkich, którzy ją stracili po czerwcu 76), okazało się, że datki materialnie wciąż napływają, a konta zagraniczne przeznaczone na pomoc represjonowanym wciąż rosną.

Był to bodziec niezbędny dla dalszych i coraz szerszych działań w obronie praw ludzkich i obywatelskich. Zdecydowaliśmy się więc podjąć te działania i wykonywać je tak, jak potrafimy. Komitet Obrony Robotników przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”, a mnożące się wokół niego spontaniczne inicjatywy społeczne mogły — dzięki wsparciu materialnemu Funduszu Samoobrony Społecznej powołanemu przez Komitet — okrzepnąć w instytucje trwałe i dziś niejednokrotnie prawdziwie zasłużone.

Ofiarna solidarność Polaków za granicą i w kraju umożliwiła rozwój i działalność Niezależnej Oficyny Wydawniczej „NOW-a”, społeczno-politycznej i społeczno-kulturalnej prasy niezależnej, skutecznie przełamującej barierę państwowych środków dezinformacji; ta sama solidarność sprawiła, że prześladowani za swe poglądy ludzie otrzymywali prawną obronę w sądach, że pomagano im spłacać grzywny nakładane na nich przez kolegia do spraw wykroczeń za działalność publiczną zwalczaną przez władze PRL. Biuro Interwencyjne KSS „KOR” było w stanie pomagać prawnie i materialnie ofiarom bezprawia i przemocy. Przeprowadzano ogromne akcje ulotkowe w wielu miastach kraju, gdy trzeba było szczególnego poparcia opinii publicznej w występowaniu w czyjejs obronie lub w obronie którejś z ważnych

dziedzin życia społeczeństwa polskiego. Rozwinięto żywy i trwały ruch kolporterski; mimo policyjnych represji i szykan poprawiła się technika druku wydawnictw periodycznych i książkowych, wzrosły ich nakłady, a więc ich zasięg społeczny.

Dziś nie da się wymierzyć roli i znaczenia materialnej ofiarności tych wszystkich, którzy ją okazali i okazują. Wypowiadane z głębi serca słowo „dziękujemy” musi unieść tę niewypowiedzianą wdzięczność dla wszystkich naszych przyjaciół — anonimowych i podpisanych pod swymi darami nazwiskiem. Ofiarowują nam oni kwoty na pewno stanowiące często ważną pozycję w ich budżecie domowym. Często przekazywany nam datek wiązać się musi z prawdziwym wyrzeczeniem.

Dziękujemy za ten stały i solidarny udział w naszej pracy. Dziękujemy za okazane nam zaufanie. Wszystkie pieniądze, które nadal nadchodzą na imię KSS „KOR” przeznaczać będziemy na tę prasę niezależną, której „Solidarność” wydawać nie będzie mogła, te książki, których ukazanie się w Polsce uniemożliwi cenzura, te akcje, których z różnych względów „Solidarność” nie będzie w stanie podjąć. Fundusz Samoobrony Społecznej KSS „KOR” zawsze będzie służył sprawom i ludziom nie objętym uwagą i pomocą instytucji do tego powołanych lub nie dość skutecznych w działaniu.

Dziękujemy!

W imieniu Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”

Anka KOWALSKA

Paryż, kwiecień 1981 r.

## W strefie śmierci

„MIESZKAJĄC W KRAKOWIE...

Huta Aluminium w Skawinie produkując 1 tonę aluminium 'produkuje' ubocznie 47 kg fluoru i wydala tę truciznę przez komin. 5 gramów związków fluoru to śmierć człowieka w ciągu 3-4 godzin, 47 kg to śmierć dla 9.400 ludzi.

Cena tony aluminium = 32 tys. zł. 32.000 : 9.400 = 3,40. JESTEŚ WART 3 zł 40 gr”.

Plakaty tej treści można było kilka tygodni temu przeczytać w wielu punktach Krakowa. Oczywiście nie należy brać dosłownie wyniku przytoczonego obliczenia, niemniej jednak intencja autorów plakatu była zupełnie jasna: chodziło o zwrócenie



uwagi opinii publicznej na śmiertelne zagrożenie życia mieszkańców Krakowa. Jest to rezultatem katastrofalnej sytuacji środowiska naturalnego w obrębie tej aglomeracji miejskiej.

Jak wykazały zdjęcia wykonane przez satelitę Landsat-2, aglomeracja krakowska (ok. 1 mln mieszkańców) znajduje się w strefie biologicznej śmierci. Zakłady przemysłowe, budowane przez komunistyczne władze bez jakiegokolwiek troski o stan środowiska ekologicznego i zdrowie mieszkańców, ujęły najcenniejsze polskie miasto w morderczy pierścien. Największy udział w trującej działalności mają: Huta im. Lenina, elektrociepłownia w Łęgu, cementownia w Nowej Hucie i Huta Aluminium w Skawinie. W sumie na terenie krakowskiego województwa miejskiego istnieją 23 zakłady emitujące toksyczne gazy i pyły, ponadto 33 składowiska odpadów i 26 wysypisk komunalnych.

Trudno przytaczać w tym miejscu długą listę danych liczbowych; trzeba pamiętać także o tym, że nie wszystkie przetwarzające informacje o zniszczeniu środowiska naturalnego zostały ujawnione. Nie można opierać się na publikacjach Głównego Urzędu Statystycznego, bowiem te od lat zawierały dane fałszywe i dopiero obecne władze obiecują poprawę także na tym odcinku (prasa ujawniła skandaliczne fałszerstwa w wydanym niedawno *Roczniku Statystycznym* 1980, dotyczącym spożycia mięsa w Polsce i w krajach zachodnich). Wszelako od kilku tygodni informacje o degradacji środowiska mogą ukazywać się w gazetach, co świadczy o tym, że i ekologia znalazła się na liście tematów wyznaczonych przez władze do prasowej krytyki. Nie chcę przez to powiedzieć, że publiczne głosy za ratowaniem Krakowa przed zagładą są manipulowane przez władze, bynajmniej. Jest jednak tak, że o pewnych sprawach można teraz mówić i pisać, nawet bardzo ostro, o pewnych zaś nie; np. o działalności aparatu bezpieczeństwa i prokuratury, o stosunkach ze Związkiem Sowieckim czy — szerzej — o polityce zagranicznej PRL (przyszły biograf dokona być może porównawczej analizy tematów dopuszczonych do publicznej dyskusji po Październiku '56 i Sierpniu '80 i zapewne wyciągnie interesujące wnioski, ale to zupełnie inna sprawa). Faktem jest, że przez wiele lat obowiązywały cenzuralne zakazy pisania o stanie środowiska naturalnego w PRL i że sytuacja ta uległa zmianie dopiero w wyniku posierpniowego zwrotu. O stanowisku władz wobec problemów ekologicznych nie można na razie wiele powiedzieć, atoli pierwsze wypowiedzi przedstawicieli rządu PRL optymizmem nie napawają. Do tego tematu jeszcze powrócę, by obecnie przytoczyć jednak garść danych tłumaczących zasadność używania w stosunku do Krakowa określeń „wyspa śmierci”, „konające miasto” czy „podwawelskie krematorium gazowe”.

*Brązowa wołga wraca z Władysławem Machejkiem  
Nad miastem podnosi się mgła  
i zakrywa tę biometeorologiczną nieckę*

— pisał swego czasu A. Zagajewski w wierszu „Niecka”. Mgła i niecka odgrywają niepoślednią rolę w interesującym nas temacie, a i na Machejka przyjdzie kolej, stąd też powyższy poetycki cytat.

Położenie Krakowa w topograficznej niecce — pomiędzy Pogórzem Karpackim, Wyżyną Krakowsko-Częstochowską i Wyżyną Śląską — sprzyja kumulowaniu się nad miastem ogromnej ilości toksycznych gazów emitowanych przez zakłady przemysłowe. Dochodzi do tego stężenie spalin samochodowych — Kraków pod tym względem zajmuje pierwsze miejsce w Polsce. Położenie miasta w połączeniu ze szczególnie niekorzystnymi warunkami klimatycznymi (duża wilgotność powietrza, częste mgły i inwersje temperatury) daje w efekcie smog, który spowija Kraków przez 365 dni w roku. Jedyne wentyl — w kierunku wschodnim — został skutecznie zatkany przez Hutę im. Lenina, której udział w ogólnej emisji pyłowej i gazowej w obrębie województwa wynosi 83 % (w skali całego kraju emisja ta wynosi ok. 12 % — dane z 1978 roku). W krakowskim powietrzu normy dopuszczalnych stężeń węglowodorów i tlenku węgla przekraczane są 30-50 razy (warto dodać, że obowiązujące w PRL normy w dziedzinie ekologii są — w porównaniu z krajami demokratycznymi — niezwykle liberalne). Ogólny poziom emisji gazowej w krakowskim województwie miejskim gwałtownie wzrasta: 1975 r. — 151,7; 1977 r. — 225,8; 1978 r. — 829,6 tys. t/rok (1980 rok — szacunkowo — 1 mln t.). W powietrzu stężenie fluoru — pierwiastka szczególnie niebezpiecznego dla życia biologicznego — w rejonie Wawelu przekracza 7-krotnie dopuszczalną normę. Rocznie aglomeracja krakowska pochłania 5.000 t fluoru, z czego Huta Aluminium w Skawinie emituje 2.000 t, a Huta Lenina 1.000 t. (80 % emisji w postaci fluorowodoru, który rozpuszcza się w wodzie i tworzy kwas silniejszy od kwasu solnego). W 1979 roku Kraków otrzymał morderczą porcję dwutlenku siarki i tlenków azotu — 255 t/km<sup>2</sup>, przy średniej krajowej 14 t/km<sup>2</sup>. Wisła, która w 90 % pokrywa zapotrzebowanie Krakowa na wodę, w obrębie miasta jest zatruta rtęcią (200 razy przekroczone dopuszczalna norma stężenia). Ponad 150 km rzek w granicach województwa miejskiego nie mieści się w żadnej klasie czystości (trzecia, najgorsza klasa oznacza, że woda nie nadaje się ani do picia, ani do kąpiele). I wreszcie w emisji pyłów przemysłowych aglomeracja krakowska zajmuje drugie miejsce w kraju.

Na skutek ogromnego stężenia zanieczyszczeń gazowych, pyłowych i przemysłowych w połączeniu z warunkami klimatycznymi, ilość tlenu w warstwie powietrza bezpośrednio nad miastem osiąga maksimum 18 % zamiast 21 %. Niesprawdzona jeszcze plotka głosi, że jeżeli te warunki nie ulegną zmianie, za 2 lata grozi Krakowowi „zawał tlenowy” czyli po prostu brak tlenu. Natomiast już dziś przy zaistnieniu specyficznej sytuacji klimatycznej, dla ratowania życia mieszkańców konieczne będzie wstrzymanie ruchu samochodów w mieście.

Warto może dodać, że obecnie 1.054 ha gruntów w obrębie



aglomeracji krakowskiej uległo degradacji — nie nadaje się pod uprawy. W okolicach Skawiny — z uwagi na działanie fluoru — gospodarka hodowlana jest niemożliwa. W rejonie tym zniknęły zupełnie owady. Na 54 tys. ha lasów w krakowskim województwie miejskim — 20 tys. ha jest zniszczonych lub poważnie uszkodzonych. Niszczenie roślinności skutecznie uniemożliwia reprodukcję tlenu i samooczyszczanie środowiska, pogarsza zatem ogólną sytuację.

Niszczenie Krakowa postępuje w ostatnich latach w tempie zastraszającym. Związki siarki, węgla, fluoru, ołowiu, rtęci i wielu innych pierwiastków zamieniają w ruinę średniowieczne zabytki. Niezwykle agresywny fluor działa nawet na krzemiany — składniki piasku, rozkłada zatem zaprawę wiążącą mury i powoduje matowienie szyb. Niszcząją ekspozyty muzealne — szkła i kryształy, choć przechowywane są w zamkniętych szafach. Tlenki siarki rozkładają nie tylko wapień, ale także marmury, stal, miedź, nawet złoto (zżartych zostało ok. 2.000 złożonych płytek metalowych, stanowiących pokrycie kopuły Kaplicy Zygmuntowskiej). Wzrasta szybkość korodowania maszyn i urządzeń. Działanie trucizn nie oszczędza obrazów i rzeźb w muzeach, czy średniowiecznych manuskryptów w bibliotekach. Huta im. Lenina zniszczyła już praktycznie freski w zakrystii kościoła w Niepołomicach — najwybitniejszy zespół italizującego malarstwa ściennego z okresu gotyku na północ od Alp. W Puszczy Niepołomickiej usychają drzewa. Wyrażono przypuszczenie, że przy obecnym tempie procesu niszczenia za 50-60 lat na miejscu Krakowa pozostanie jedna wielka ruina. Rozreklamowana przez propagandę akcja — zwana w niby-polszczyźnie „rewaloryzacją” Krakowa — jest w obecnym stanie rzeczy zupełnie bezsensowna. Tempo prac przy odnowie i konserwacji zabytków architektury z trudem dorównuje szybkości niszczenia. Oznacza to marnotrawstwo środków finansowych i technicznych, wysiłku ludzi. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że cały hałas wokół „odnowy” starożytności Krakowa miał służyć wyłącznie zamaskowaniu tragicznej sytuacji.

Oczywiście proces niszczenia bezcennych zabytków nie wyczerpuje zagadnienia. Problemem o ogromnym znaczeniu społecznym jest stan zdrowia mieszkańców aglomeracji krakowskiej. Milion ludzi narażony jest na działanie trucizn zawartych w powietrzu, wodzie, glebie, w pokarmach, w mleku. Trudno się zatem dziwić, że sytuacja zdrowotna w rejonie Krakowa budzi trwogę. Garść danych:

W Krakowie notuje się najwyższy w Polsce wskaźnik zgonów niemowląt. Nowotwory złośliwe: 258/100 tys. mieszkańców (średnia krajowa 184/100 tys.). Choroby zawodowe: 92 przypadki na 100 tys. zatrudnionych (średnia krajowa 63/100 tys.). Pod tym względem szczególnie zła jest sytuacja w Hucie Aluminium w Skawinie i w Hucie im. Lenina.

Skawińska huta, wytwarzając aluminium przy zastosowaniu

przestarzałych metod, emituje cały powstający przy produkcji fluor do otoczenia. Efekt tego jest taki, że na 2.300 zatrudnionych 50 osób rocznie wychodzi na rentę inwalidzką, głównie z powodu chorób układu oddechowego i fluorozy. Ta ostatnia (niebezpieczna choroba układu kostnego) staje się plagą nie tylko Skawiny, ale całej aglomeracji krakowskiej. „Odkryto” ją zupełnie niedawno, tylko dlatego, że w latach 70-tych nie było specjalistów, którzy umieliby rozpoznać tę chorobę.

W Hucie im. Lenina wskaźnik schorzeń dróg oddechowych i układu krążenia przekracza odpowiednio o 30 % i 40 % średnią krajową. Przy tym Nowa Huta ma najmniejszą liczbę lekarzy ze wszystkich dzielnic Krakowa.

Stan zatrucia środowiska powoduje występowanie zmian genetycznych i endokrynologicznych. Notuje się przypadki 2-letnich dzieci z wrzodami, menstruacje u 7-letnich dziewczynek, schorzenia układu oddechowego wymagające leczenia klinicznego u kilkuletnich dzieci.

Dodam jeszcze dla dopełnienia obrazu, że ostatnio zaznacza się niepokojący wzrost schorzeń przedniego odcinka oka, chorób alergicznych, zaburzeń centralnego układu nerwowego, zapalnych zmian skóry, przypadków gruźlicy, w której Kraków przekracza — bardzo wysoką w skali europejskiej — średnią krajową.

Naszkieowany powyżej obraz musi wywoływać przerażenie. Jakie jest zatem stanowisko władz wobec perspektywy zagłady Krakowa i jego mieszkańców? Zagadnienie to trzeba widzieć w szerszym kontekście. Przede wszystkim w stosunku do problemów ekologicznych w PRL obowiązywała do niedawna orwelska zasada „nienazwane — nie istnieje”. Problemu nie było, po prostu dlatego, że nie można było o nim ani pisać w prasie, ani publicznie dyskutować. *Der Spiegel* w 26 numerze z lipca 1980 roku zamieścił notatkę „Industrieschadstoffe zerstören Krakau”, a PRL-owska prasa zatkana kneblem cenzury uparcie milczała. Po sierpniu powstały warunki dla publicznego podjęcia problemu zagrożenia środowiska. W Krakowie we wrześniu 1980 roku grupa naukowców i publicystów zawiązała Polski Klub Ekologiczny. Ta niezależna instytucja skierowała do władz miasta alarmujący memoriał „w sprawie środowiska i zabytków Krakowa oraz zdrowia jego mieszkańców”. W lokalnej prasie zaczęły ukazywać się wstrząsające informacje. Wielkie zasługi w propagowaniu tematyki ekologicznej trzeba zapisać na konto krakowskiej *Gazety Południowej*. Pismo uchodzi obecnie za najlepszy dziennik w PRL, głównie z uwagi na rzetelny sposób traktowania zagadnień społecznych i politycznych. Redakcja daremnie zabiega o rozszerzenie kolportażu gazety na cały kraj; czarnorynkowa cena *Południowej* w Warszawie wynosi 50 zł. Zamordystyczne siły w Komitecie Krakowskim partii podjęły kampanię przeciw aktualnej linii pisma. *Południowa* jest według tychże gazetą „antypartyjną”. Prym w atakach wiodą wspomniany już osławiony „literat” — Machejek i szef krakowskiego UB — Go-



łębiowski. Na razie jednak redakcja broni się; zobaczymy jak długo.

Wróćmy jednak do tematu zasadniczego tj. postawy władz wobec problemów niszczenia środowiska naturalnego. W ubiegłych latach grupy specjalistów kierowały do władz opracowania wskazujące na niezwykle groźne dla środowiska rezultaty działania wielu zakładów przemysłowych. Dokumenty te nie wywoływały jednak żadnej reakcji. Tak też zachowywał się poprzedni prezydent Krakowa — Barszcz (protegowany Barcikowskiego; po krótkim okresie ministrowania w resorcie budownictwa, krytykowany za nadużycia poszedł ostatecznie w odstawkę). Nowe władze miejskie składają na razie optymistyczne deklaracje i obiegują poprawę, wszelako czynów — jak dotychczas — nie widać.

Podobne jest zachowanie *wierchownego naczalstwa* tj. Warszawy. Wicemarszałek sejmu H. Skibniewska przyjęła przedstawiciela PKE, gabinet przewodniczącego rady państwa poinformował, że otrzymał list otwarty PKE i że przekazał go — do zapoznania się — członkom rady państwa. Natomiast jeśli chodzi o konkretne działania — to sytuacja przedstawia się niezbyt różowo. Dowodem na to odpowiedź Kępy (obecnie minister administracji terenowej i ochrony środowiska) na poselską interpelację w sprawie Krakowa; resort ignoruje niebezpieczeństwo grożące miastu.

Przypuszczam, że taka a nie inna postawa władz ma swe głębokie uzasadnienie. *Casus* Huty Aluminium w Skawinie rzuca światło na tę sprawę.

Jak już wspominałem, owa huta zabójczo działa na środowisko przyrodnicze poprzez emisję fluoru, co jest rezultatem przestarzałej technologii. Opinia publiczna (PKE, naukowcy krakowscy, „Solidarność”) domaga się natychmiastowego zamknięcia huty. Ministerstwo Hutnictwa upiera się przy modernizacji urządzeń, przy ewentualnym ograniczeniu produkcji, co miałyby zmniejszyć emisję fluoru. Wszelkie względy (ekologiczne, zdrowotne, prawne, nawet ekonomiczne a przede wszystkim moralne) przemawiają za pierwszym rozwiązaniem. Dlaczego zatem władze nie zamknęły huty? Odpowiedź jest prosta — byłby to precedens, o tyle dla władz niebezpieczny, że prawdopodobnie w następstwie takiej decyzji odezwałyby się liczne głosy domagające się zamknięcia dalszych zaturawiających ludzi obiektów (oczywiście nie tylko w Krakowie). Praktyka zamykania zakładów, które trują, od dawna jest stosowana na Zachodzie. Ale nie w PRL. W systemie, w którym władza rości pretensje do zarządzania wszystkimi dziedzinami życia społeczeństwa, od 35 lat zaturawia się powietrze, wodę i glebę, dewastuje krajobraz naturalny i architektoniczny a ludzi — nie mających żadnej możliwości obrony — skazuje na życie i pracę w niedopuszczalnych warunkach. Po Skawinie musiałaby przyjść kolej na Hutę im. Lenina, którą władze zafundowały w tym właśnie miejscu z powodów ideologicznych — chcąc wprowadzić do „reakcyjnego”

społeczeństwa Krakowa proletariuszy chłopskiego pochodzenia. W ten sposób wydano wyrok na miasto, ale tym nikt się nie przejmował.

Władze chcą więc uniknąć szerokiego społecznego protestu przeciw katastrofalnym warunkom ekologicznym. W Krakowie sytuacja ta jest najgorsza, ale dopuszczalne stężenia substancji trujących są kilkakrotnie przekraczane w wielu rejonach kraju. Dość wspomnieć Górny Śląsk (zwłaszcza zagłębie jaworznicko-mikołowskie), Tarnów, Oświęcim, Police, żółte deszcze (siarka!) w Tarnobrzegu. Bałtyk jest najbrudniejszym morzem świata. W roku 1979 zawaliła się źle posadowiona oczyszczalnia ścieków w Gdańsku. Rajcy miejscy postanowili nic nie robić, licząc na... nurt Wisły, który — według nich — miał wynosić zanieczyszczenia w głąb Zatoki Gdańskiej. Rezultat: musiano zamknąć wszystkie 11 plaż w obrębie Trójmiasta.

Całe lata skandalicznych zaniedbań, fałszowania danych i oszukiwania społeczeństwa procentują obecnie. Opinia publiczna nie zna jeszcze prawdy o stanie środowiska naturalnego. Od lat cały kraj zaturawiany jest najgorszym gatunkiem węgla — o największej zawartości siarki i popiołu. Węgiel wzbogacony przeznaczony na eksport a muły powstające w procesie wzbogacania dodaje się do węgla wysyłanego w głąb kraju, by pozbyć się zbędnych i szkodliwych odpadów. Brak danych o warunkach pracy a tzw. przepisy BHP sprowadzają się głównie do instrukcji co robić, żeby obrabiarka nie ucięła robotnikowi palca. Co zatem byłoby rezultatem uświadomienia sobie przez zatrudnionych w jak skandalicznych warunkach pracują? Te ostatecznie to kolejny nieistniejący (bo nienazwany) problem w PRL. 30-40-letni ludzie na skutek pracy w zaturawionym środowisku zostają inwalidami. Jak policzyć ponoszone przez nich straty moralne i psychiczne wynikające z przymusowej bezczynności i świadomości choroby. Ministerialni dygnitarze w kwestii huty w Skawinie obliczają koszt importu aluminium. Zestawianie tych rachunków z nieobliczalnymi stratami dla kultury narodowej i z cierpieniem chorujących ludzi ma jednoznaczną wymowę.

Istnieje też prawny aspekt zagadnienia. Od września obowiązuje w PRL ustawa „o ochronie i kształtowaniu środowiska”. Już sam tytuł tego aktu prawnego zakrawa na paradoks, bowiem ustawa raczej określa warunki niszczenia a nie ochrony środowiska. Resort odpowiedzialny za zagadnienia ekologiczne — Ministerstwo Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska — kieruje kolidującymi ze sobą sprawami a mianowicie gospodarką komunalną (zwaną tu „terenową”), która środowisko zanieczyszcza i ochroną tego ostatecznego. Ustawa zawiera śmieszny wprost passus, że inspekcja ochrony środowiska zajmuje się popularyzacją, bez jakiegokolwiek określenia form takiego działania. Istnieje też przepis, że zakłady zaturawiające środowisko zobowiązane są płacić kary pokrywające wysokość szkód. Nie spełnia to jednak żadnej funkcji zapobiegawczej a raczej działa jako środek uspokajający, na zasadzie „truję i płacę



lecz produkuję". Brak jakiegokolwiek sankcji za nagminnie stosowany proceder wyłączania w nocy elektrowyłączników (względnie „oszczędnościowe”). Nieco inaczej wyglądają te sprawy w krajach, gdzie ustawy rzeczwiście chronią prawo człowieka do życia w nieskażonym środowisku.

I jeszcze jedno zagadnienie a mianowicie łamanie prawa. Nie jest to tylko domeną bezpieki. Istnieją prawnie określone granice ilości emitowanych zanieczyszczeń przemysłowych, jeśli więc ministerstwo (przypadek Skawiny) sugeruje rozwiązania, które zmniejszą emisję fluoru ale nadal ma ona przekraczać dopuszczalną ilość — łamie ono z pełną świadomością prawo. Tu ciekawostka: już w okresie obowiązywania wspomnianej ustawy, a więc po Sierpniu, w Tatrzańskim Parku Narodowym wybito starodrzew pod budowę domu wypoczynkowego dla KC. I podobnie jak w „minionym okresie odstępstw od ideałów socjalizmu” — partyjni dygnitarze urządzają polowania w ścisłych rezerwach przyrody.

Na koniec wracam do „konającego miasta” — Krakowa. Jego sytuacja nie ma precedensów. Oto w okresie życia jednego pokolenia może ulec zagładzie jedno z najcenniejszych miast w tym rejonie Europy. Los Krakowa znajduje się w rękach władz państwowych PRL, ale uratowanie tego sanktuarium polskiej kultury jest problemem istotnym dla całego cywilizowanego świata. Ludzie odpowiedzialni za doprowadzenie regionu krakowskiego do obecnego stanu winni stanąć pod pręgierzem opinii publicznej. Dla ratowania miasta potrzebny jest zdecydowany nacisk społeczny na władze. Konieczna jest zakrojona na jak najszerszą skalę akcja propagandowa; głos Polonii Wolnego Świata może mieć istotne znaczenie. Radykalne kroki należy podjąć natychmiast — w przeciwnym razie na naszych oczach dokona się *finis Cracoviae*. I przyczyną tego będą nie tyle trujące pyły i gazy, co zbrodnicze decyzje tępych PRL-owskich technokratów.

Anatol Marek LIPIEC

Grudzień 1980

## Jak wygląda współczesna architektura polska? (II) -

### III. Polska powiatowa w oczach turysty

Normalizacja to słowo modne dzisiaj w świecie technicznym. „Normalizacja obniża koszty budowy”, „normalizacja przyspiesza proces budowania”, „normalizacja ułatwia konstrukcję” — nor-

malizacja posiada jeszcze wiele innych cnót i zalet, których lista jest zbyt długa, by ją tu przytaczać. Znudziłaby największego wielbiciela tej „dźwigni postępu” w budownictwie i produkcji przemysłowej.

Kiedy siedzę za kierownicą i szosa za mną ucieka, na horyzoncie pojawiają się coraz to nowe grupy nowiutkich budynków, a na tablicach przydrożnych coraz inne nazwy mijanych miast i osiedli. Wtedy słowo to natrętnie ciśnie mi się do głowy... Sześć prostokątnych bloków lśniących nowymi tynkami stoi przy szosie. Balkony w tym żółte, w tamtym zielone, a w owym niebieskie. Ten sam obraz widziałem przecież pół godziny temu. Czyżbym zmylił drogę i powrócił w to samo miejsce? Nie — tablica przydrożna nosi inną nazwę, to tylko widok jest niemal identyczny. A jednak nie: tutaj porządek koloru balkonów jest: niebieski, zielony, żółty, a tam było odwrotnie. To zdaje się jedyny margines inicjatywy i inwencji, jaki pozostawiono architektom w tej dziedzinie budownictwa.

W sąsiednim miasteczku podobne bloki oblegają stary charakterystyczny ośrodek miejski, skutecznie „normalizując” jego indywidualną sylwetkę od strony ważnej szosy turystycznej. Spójrzmy jednak obiektywnie prawdzie w oczy: potrzeby społeczne, zaległości w budownictwie mieszkaniowym, przyspieszone procesy techniczne. Tak — nie jest łatwo dawać upust wyobraźni tam, gdzie ma się do czynienia ze zbiorem restrykcji i operuje się tak ściśle znormalizowanymi elementami jak M-1, M-2, M-3 itd.

Do innej kategorii należą obiekty przeznaczone głównie dla konsumpcji turystów, jak pawilony gastronomiczne i hotelowe, budynki wielce pożyteczne i do niedawna jeszcze nieznanne w naszych małych miasteczkach. Doceniam w pełni tę wartościową innowację. Zatrzymujemy się właśnie przed takim budynkiem i z uporem maniaka patrzę na architekturę. Budynek harmonizuje z nowymi blokami mieszkalnymi, ale nie ma nic wspólnego z istniejącym ośrodkiem miejskim, ani z tradycjami regionu. Już sama nazwa „restauracja, kawiarnia, bar”, nasuwają raczej reminiscencje podmiejskie, ale nie ma w nich nic, co by się kojarzyło ze specyficzną atmosferą małego prowincjonalnego ośrodka. W Anglii tego rodzaju instytucje nazywają się *inn*, w Niemczech *Gasthaus*, we Francji *auberge*, co odpowiadałoby naszemu słowu „gospoda” lub „zajazd” i brzmiało chyba bardziej zapraszająco dla turysty, szukającego regionalnego egzotyizmu i ucieczki od nudy wielkomiejskiego szablonu. Ale — *nomen omen* — za tą nazwą powinien stać obiekt, który zadawalając potrzeby współczesne wprowadzałby jednak turystę w atmosferę ośrodka, do którego przyjechał.



Minęliśmy Jurę Krakowską z jej fantastycznymi formacjami skalnymi i romantycznymi fragmentami dawnych zamków i twierdz, minęliśmy Góry Świętokrzyskie i równinę mazowiecką. Wśród puszystej zieleni lasów sosnowych zaczynają przeblyskać srebrne lustra jezior. Na tablicach przydrożnych pojawiają się takie charakterystyczne nazwy jak Pułliszki, Szypliszki, Trakiszki. Przechodzień zapytany o informację odpowiada śpiewną, melodyjną polszczyzną.

Budzą się jakieś mgliste wspomnienia i sentymentalne skojarzenia, zlewając się w obraz regionu o bardzo swoistym zabarwieniu, ale przyjęty szablon w nowym budownictwie im przeczy: w miastach i miasteczkach witają nas dobrze znane kawiarnie, restauracje i bary z ich typową formą zewnętrzną. Ta sama rutyna w budowie przystani żeglarskich.

Drzewo, którego tutaj taka obfitość, nie znalazło prawa obywatelstwa w tej architekturze. Wspaniały renesans tego materiału na szerokim świecie u nas przeszedł prawie niezauważony. Zadziwiająca potęgą laminatów drewnianych przejawiająca się w łukach i przęsłach dachowych o rozpiętościach nigdy przedtem nie realizowanych w tym materiale, fantastyczne formy wielospadowych dachów krytych dachówką lub gontem (eternitowym, ruberoidowym itp. a więc niepalnym), okładziny drewniane stosowane w architekturze zewnętrznej — o ileż prościej korzystając z usług pocziwej przykładnicy „normalizować” wszystkie dachy na płasko, choć są one tak obce naszym tradycjom, a szczególnie niektórym regionom naszego kraju.

Dachówka i gont — tych materiałów, tradycyjnie polskich i tak świetnie harmonizujących z naszym krajobrazem, używa się u nas tylko do rekonstrukcji zabytków. Stosuje je także jeszcze ludność wiejska w swych domach, które niestety zbyt często przedrzeźniają swoimi „fajermurami” podmiejskie kamieniczki. Ale i tutaj zaczyna już przenikać „płaskodachowa zaraza”.

Na tle tego dość szarego obrazu naszej turystycznej architektury wybijają się tym bardziej obiekty, które stanowią przykład nowoczesnie ujętego regionalizmu. Jednym z najciekawszych jest chyba pawilon gastronomiczny na drodze do Morskiego Oka w bezpośrednim jego pobliżu. Tutaj miejscowe materiały i metody budowlane zostały śmiało sparafrazowane we współczesnej formie architektonicznej i technice budowlanej.

Cegła licowa w jej licznych odmianach faktury i barwy, która w przeciwieństwie do tynków tak dzielnie opiera się wszelkim kaprysom naszego klimatu i ma w naszym kraju bogatą tradycję (Kraków, Gdańsk, Toruń) poszła do lamusa jako przeżytek. Podnosząc jej walory spotkać się może z zarzutem, że bronię prze-

starzałych metod budowlanych. Krytyka chyba niezupełnie uzasadniona; sprawa sprowadza się bowiem do tego, jak ten materiał stosować. Czy byłaby ona np. słuszna w odniesieniu do elementów wielkopłytowych licowanych cegłą lub płytkami terakotowymi (o identycznym wyglądzie i podobnych walorach), jakie stosowane są dzisiaj w niektórych krajach?

Internacjonalizm w architekturze przestał ludzi bawić. Coraz większym zainteresowaniem cieszą się rozwiązania oddające charakter narodowy lub regionalny — przykładem Japończycy, kroczący dzisiaj w czołówce architektonicznej świata.

Normalizacja w skali architektonicznej i urbanistycznej stanowi poważne niebezpieczeństwo dla turystyki. Niwelując cechy indywidualne miast, osiedli i regionów, pozbawia krajobraz wielu atrakcji i sensacji, których poszukiwanie i odkrywanie stanowi jedną z największych radości turysty. A dbać o turystykę warto. Nie tylko dlatego, że sami możemy znaleźć się w roli turystów, ale ze względu na dobrze zrozumiany interes narodowy: przynosi ona ogromne zyski.

Międzynarodowy ruch ochrony środowiska jest spóźnioną reakcją na spustoszenia, jakie w naszych czasach szerzą w przyrodzie niektóre procesy przemysłu i techniki. Czy nie byłby czas pomyśleć u nas o ochronie środowiska i krajobrazu w zakresie budownictwa i nie tylko o jego ochronie, ale także o podniesieniu jego walorów, tak bardzo zaniedbanych i sponiewieranых wieletoletnią gospodarką okupantów i spustoszeniami wojennymi?

Artykuł ten ukazał się w *Komunikacie SARP* z maja 1973 roku. W parę lat potem powstały w niektórych miastach prowincjonalnych i osiedlach wycoczynkowych (szczególnie w Pozańskim) tzw. „karczmy” — niewielkie obiekty restauracyjne utrzymane w charakterze wiejskim. Ale sama wiejskość nie wystarczy. Inaczej powinna się ona przedstawiać np. na Mazowszu lub Pomorzu, a inaczej na Podhalu. Konieczne staje się więc odszukanie charakterystycznych cech tego rodzaju budownictwa w poszczególnych regionach. Nie jest to zadanie łatwe. Oryginalne budynki tego typu zniknęły prawie bez reszty w ciągu ostatnich dwu stuleci. Odpowiednie przykłady znaleźć można jeszcze w niektórych skansenach lub na starych rycinach. Ale nie może to polegać na kopiowaniu starych wzorów lecz na interpretowaniu ich w duchu współczesnym.

#### IV. *Visitez la Pologne*

*Welcome to Poland, Ihr Urlaub in Polen.* Takie i tym podobne hasła czytają cudzoziemcy za granicą na ładnych, barw-



nych afiszach przedstawiających Niedzicę, jeziora mazurskie, Rynek krakowski i inne turystyczne atrakcje naszego kraju. Zachęceni tą reklamą monsieur Dubois, mr Smith czy Herr Meier udają się do najbliższego biura Orbisu, by zamówić pokój w którejś z reklamowanych miejscowości — i tu zaczynają się trudności. Okazuje się, że oprócz kilku nielicznych hoteli tej instytucji nie mamy gościom zagranicznym do zaoferowania niczego, co by odpowiadało standardom przyjętym dzisiaj w turystyce międzynarodowej. W tych warunkach cała ta reklama wygląda trochę jak czek bez pokrycia, a skarb państwa naraża na wydatki, które mijają się z celem.

Hotelarstwo u nas, a szczególnie jego sektor turystyczny, to dziedzina, którą eufemistycznie określiłbym jako niedorozwiniętą. Instytucji nastawionych na turystykę zagraniczną jest w Polsce znikoma ilość. Poza dużymi miastami nie ma ich prawie wcale. Niektóre nadające się do tego celu tzw. domy wczasowe dostępne są wyłącznie dla pracowników określonych przedsiębiorstw. Ostatnie programy rządowe przewidują na najbliższą przyszłość wydatną rozbudowę w tym zakresie. Wydaje się więc, że sprawa ruszy z miejsca.

Zastanówmy się wobec tego, czym właściwie powinien być nowoczesny hotel, jakim powinien odpowiadać wymaganiom i jaką ma do spełnienia rolę. Staje się to szczególnie aktualne dla Krakowa, gdzie budowa kilku hoteli (między innymi jednego nad Wisłą) zamierzona jest w niedługim czasie. Mowa tu o obiektach przeznaczonych głównie dla turystów zagranicznych, względnie, jak to się u nas mówi, dewizowych, którzy stanowią dla kraju potencjalne źródło poważnych dochodów. Wykorzystanie tych możliwości zależy od sposobu podejścia do tego zagadnienia. *Boom* jaki dziś panuje na świecie w przemyśle hotelarstwo-turystycznym jest źródłem olbrzymich dochodów dla krajów, które sprawy te umiały u siebie należycie zorganizować i potrafią na tym polu skutecznie współzawodniczyć z innymi.

Nie wchodząc w szczegóły techniczne, rolę takiego obiektu określiłbym jako miejsce, gdzie można wygodnie zamieszkać, w komforcie odpocząć, przyjemnie spędzić czas wśród kulturalnego otoczenia i zaspokoić wybredne gusta podniebienia. Oprócz tego powinna to być także pewnego rodzaju platforma widokowa, skąd odbiera się pierwsze wrażenie miasta względnie regionu, do którego się przybyło. Przykładem umiejętnego stosowania tej zasady są między innymi hotele znanego amerykańskiego koncernu Hilton, dzisiaj rozrzucone po całym świecie. W Kairze hotel „Hilton Nile” stoi nad brzegiem Nilu z widokiem na położoną po drugiej stronie wyspę i piramidy na horyzoncie. Jego odpowiednik w Istambule zajmuje eksponowane miejsce na skra-

ju wysokiej skarpy, skąd ogląda się szeroką panoramę Bosforu i przeciwnego brzegu azjatyckiego.

Polska nie miała w ciągu swej historii warunków, które by jej umożliwiły rozwinięcie naturalnych wartości krajobrazowych i przekazanie potomności w stanie dobrze zachowanym dorobku w dziedzinie architektury i sztuki. Fakt, że kraj stawał się periodycznie międzynarodowym polem bitwy i przez 150 lat pozostawał pod rządami okupantów, którzy raczej byli zainteresowani w niszczeniu pomników kultury niż w ich zachowaniu nie stwarzał pomyślnych ku temu warunków. W rezultacie lista naszych zabytków o znaczeniu międzynarodowym nie przedstawia się imponująco. Myślę więc, że nie wystarczy otaczać opieką konserwatorską tych nielicznych obiektów, które się zachowały, ale trzeba także stworzyć najszerszym rzeszom publiczności krajowej i zagranicznej optymalne warunki zapoznania się z nimi.

Na czele listy naszych zabytków figuruje bez wątpienia Zamek Wawelski, jedyny w swoim rodzaju kompleks budynków, który w obrębie swoich murów odzwierciedla dziesięć wieków historii narodu. W jego sąsiedztwie zachowało się szereg obiektów zabytkowych, stanowiących niejako tło i uzupełnienie tego centralnego pomnika. Dzięki rozszerzeniu i spiętrzeniu Wisły u stóp wzgórza wawelskiego powstała tu wielka spokojna tafla wodna, w której odbija się zespół budynków zamkowych i jego topograficzna oprawa. Jest to efekt, który odpowiednio rozwinięty może dać scenierię o wyjątkowych wartościach krajobrazowych.

Przeciwny brzeg Wisły, tworzący ostry łuk tzw. cypla dębickiego, ma być w myśl perspektywicznych planów rozwoju miasta przeznaczony na pas zieleni ciągnący się wzdłuż brzegu rzeki, a w tej chwili jest zaśmiecony bezładną, niszczącą zabudową. Jest to miejsce, z którego roztacza się szeroki widok na miasto i okoliczne wzgórza. Od zachodu obejmuje on w odległej perspektywie wieże kościoła Kamedułów na Bielanych i Kopiec Kościuszki, na bliższym planie wieże: ratuszową i kościoła Mariackiego, dalej spatynowaną kopułę kościoła św. Piotra i Pawła i wreszcie, jako dominantę, wyrastające nad brzegiem rzeki wzgórze i Zamek królewski. Od wschodu widoczny jest kościół na Skałce. Punkt o takich walorach widokowych wydaje się szczególnie dobrze nadawać na lokalizację hotelu turystycznego o charakterze międzynarodowym. Cała ta panorama znajdowała się w polu widzenia tego budynku.

Stanisław PIOTROWSKI

(c.d.n.)



Ś. † P.

## ANTONI KRZYCZKOWSKI

inżynier-elektryk, płk wojsk łączności

Ur. 20. IV. 1898 w guberni Samarskiej w Rosji, jako wnuk zesańca.

Dobrocznyk, uczestnik wojny 1918-20, dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych.

Współtwórca i organizator służby łączności w Polsce niepodległej, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i Oficerskim Krzyżem Polonia Restituta.

W czasie wojny koordynował współpracę polskich inżynierów i techników z Admiralicją i innymi wojskowymi ośrodkami brytyjskimi.

Profesor nauk elektronicznych PUC'u.

Pozbawiony imiennie obywatelstwa polskiego przez PRL.

Zmarł 19 marca 1981 roku w Santa Barbara w Kalifornii,

o czym zawiadamiają

Synowa i Wnuczki w Kalifornii  
oraz Rodzina w Kraju i zagranicą.

### KOMPLET „FRAGMENTS”

(60 numerów, 100 przekładów na język angielski  
artykułów z *Kultury* z lat 1973-1979)  
można nabyć w cenie \$ 40,00 wraz z przesyłką  
pocztą zwykłą.

Zamówienia należy kierować:

**Józef Lubański,**  
P.O. Box 744, Sutter Creek, Cal. 95685, U.S.A.

## Sąsiedzi

### W sowieckiej prasie

Miniony miesiąc był pierwszym od sierpnia 1980 roku, który w Polsce upłynął stosunkowo spokojnie: cykl „konflikt — odprężenie — konflikt” został przerwany. Frontalne ataki prasy sowieckiej nieco osłabły, co jest wyrazem nowej taktyki w walce z „odnową” w Polsce. Moskwa zrobiła krok do tyłu i zajęła się przegrupowaniem swych sił i podliczaniem sojuszników.

Kwietniowe gazety i czasopisma powtarzały znane już sowiekiemu czytelnikowi imiona „wrogów socjalistycznej Polski”: KOR, *Kultura*, radio Wolna Europa, amerykańskie związki zawodowe i CIA. Dorzucono do nich paru nowych, przede wszystkim syjonistów. Korespondent *Literaturnoj Gazety* w USA donosi np. (22. 4. 1981) o groźnym wydarzeniu: delegacja Światowego Kongresu Żydostwa ze swym generalnym sekretarzem na czele odwiedziła polskie poselstwo w Waszyngtonie. Mało tego — jeden z przywódców syjonistycznej organizacji w Chicago „wezwał swoich braci do uważniejszego śledzenia wydarzeń w Polsce”. Czytelnicy dowiedzieli się także, że od 14 czerwca 1975 roku (dokładna data uwiarygodnia informację) istnieje w USA „północnoamerykański ośrodek badań nad Polską”, którym kieruje prof. A. Ehrenkreutz, wśród członków zaś znajduje się L. Kołakowski. Zadaniem ośrodka jest „kierowanie antypolską działalnością w USA”, opracowywanie koncepcji programowych oraz dywersji, itd.

Ulubionym wrogiem Polski Ludowej pozostaje jednak dla prasy sowieckiej — KSS „KOR”. 15 kwietnia *Literaturnaja Gazeta* opublikowała w rubryce „Kto jest kto?” ogromny artykuł pod metafizycznym tytułem „Nieczysta siła — petzająca kontrewolucja w Polsce”. Jest to najpełniejszy w dotychczasowym piśmiennictwie sowieckim wykład o historii KSS „KOR” i jego działalności. Nie ulega wątpliwości, że sowieccy czytelnicy z najwyższym zainteresowaniem zaznajomią się z tym artykułem —



dostarczy on im rzeczywiście sporo informacji. Autor artykułu niczego nowego nie odkrywa — pisano już o tym: KOR, „tak zwany Komitet Obrony Robotników”, to organizacja która pretenduje do roli partii politycznej; chce ona obalić ustrój socjalistyczny; „związana jest z wywrotowymi ośrodkami na Zachodzie”. Krótko mówiąc jest to „zła nieczysta siła, która mać spokój i duszę narodu”. Do roli diabła sowieckie dziennikarze dawno już wytypowali Jacka Kuronia i Adama Michnika. We wspomnianym artykule tę właśnie rolę grają.

Nowy w tej informacji jest opis form działania KSS „KOR” przed sierpniem 1980. Autor wylicza: zrozumiawszy, że nie uda mu się wpłynąć na ruch studencki, Kuroń zmienia technikę — grupa jego zaczyna tworzyć nielegalne *jaczejki* w całym kraju i stara się zdobyć sprzymierzeńców wśród robotników; powstają pierwsze komitety niezależnych związków zawodowych; w nielegalnych kółkach przygotowuje się aktywy, z którego szeregów rekrutuje się wielu przywódców związku zawodowego „Solidarność”. Poza tym „korowcy przywiązują wielką wagę do politycznej i ideologicznej pracy wśród młodzieży, zwłaszcza studenckiej”. Autor artykułu szczególnie podkreśla „tak zwane 'Latające Uniwersytety'”, których działalność opisuje tak: „zajęcia prowadzą *intelektuały* od spraw kontrrewolucji”, „prowadzi się seminaria naukowe i sesje, na których pod przewodnictwem korowców tłumaczy się, jakie wnioski należy wyciągnąć z Powstania Warszawskiego...”.

Krótko mówiąc artykuł jest pożyteczny i wbrew woli autora i redakcji stanowi związły wykład, jak działa prawdziwy ruch wyzwolenia narodowego w socjalistycznym kraju.

Krok do tyłu, jaki zrobiła Moskwa — to wymuszona zgoda na istnienie „Solidarności” i nawet „Solidarności wiejskiej”. Sowieckie gazety opublikowały 19 kwietnia bez komentarzy oświadczenie TASS-a o podpisaniu porozumienia w Bydgoszczy, w którym podkreślono, że rząd polski uznał związek zawodowy rolników indywidualnych, uwzględniając deklarację komitetu chłopskiego, że „przynajmniej polskiej partii kierowniczą rolę w budownictwie socjalizmu”. Na nowym etapie taktyka polega na oderwaniu KSS „KOR” od „Solidarności” i skierowaniu wszystkich wysiłków na przekształcenie „Solidarności” w związek, zajmujący się wyłącznie kwestiami syndykalnymi.

Przecież nieustających ataków na KSS „KOR” szukać należy w uderzającym skostnieniu umysłów władców sowieckich. Widząc świat przez lufcik „Krótkiego kursu KPZS”, który to kurs stanowi filozoficzną podstawę ich myślenia, władcy ZSSR twardo pamiętają genialne słowa towarzysza Lenina, który 79 lat temu oświadczył w swym głównym dziele „Co robić?”, że proletariat sam z siebie nigdy nie dojdzie do świadomości socjalistycznej, lecz zawsze będzie walczył tylko o swoje materialne interesy. To inteligencja powinna wnieść świadomość socjalistyczną do klasy robotniczej. Jest oczywiste — *per analogiam* — że tylko inteligencja, KSS „KOR” np., może wnieść „antysocjalistyczną”

czyli antysowiecką świadomość w szeregi polskiej klasy robotniczej. Naczelnym zadaniem jest zatem walka z „inteligentami od kontrrewolucji”. Kiedy się ich obezwładni, można będzie przekształcić „Solidarność” w organizację związkową zajmującą się powszednimi potrzebami ludzi pracy i nie mieszącą się w nieswoje sprawy. 8 maja *Prawda* zamieściła wybór materiałów pod tytułem „Prasa PRL o programie 'Solidarności'”. Teksty z *Trybuny Ludu*, *Zycia Warszawy*, *Żołnierza Wolności* i *Polityki* wyglądają tak, jakby wszystkie wyszły spod jednego pióra i głoszą jedno i to samo: program „Solidarności” ma na celu przekształcenie związku zawodowego w partię polityczną. Autor wyboru ogranicza się do cytowania prasy warszawskiej (choć nierzadko cytuje bez cudzośłowu, swobodnie wykładając myśl polskiego autora). Dopiero w ostatnim zdaniu podkreśla słuszność zarzutów stawianych „Solidarności”, oskarżonej o to, że „stara się w konkretnych warunkach socjalizmu oddzielić interesy państwa od interesów robotników”. To jest wykluczone. Jeszcze bardziej wykluczone jest — co zrobili autorzy programu — „pominięcie kierowniczej roli PZPR”.

Oddzielenie interesów robotników od interesów państwa jest nie do pomyślenia. Interes państwa zaś — jest interesem partii. I oto wracamy do zasady, którą tak trafnie sformułował na XII Zjeździe w 1923 roku L. Kamieniew: „Ten kto wypowiada się przeciw partii, kto domaga się oddzielenia funkcji aparatu sowieckiego od funkcji partii dąży do takiego samego podziału władzy, jaki istnieje w innych krajach... Niech sowiecki aparat rządzi, a partia niech się zajmuje agitacją, propagandą, pogłębianiem świadomości komunistycznej itd. Nie, towarzysze, zbyt wielką byśmy sprawili radość naszym wrogom”.

Jak wiadomo, wrogom nie było dane się cieszyć: państwo sowieckie od chwili swych narodzin różniło się od innych państw i władza w nim spoczywa w rękach partii. Rezultaty widać jak na dłoni. Pół wieku temu popularna była w Związku Sowieckim piosenka w której były prorocze słowa „Ubogi Chińczyk, nieszczęsny Hindus z zawiścią patrzą na Związek Rad”. Ubogi Chińczyk rzeczywiście może dziś z zawiścią patrzeć na Związek Sowiecki, ale już o nieszczęsnym Hindusie trudno to powiedzieć. Nie ma też cienia wątpliwości, że wynędzniały obywatel ZSSR z zawiścią patrzy na biedną Polskę.

Porównanie spożycia podstawowych produktów na głowę ludności w ZSSR i w Polsce, sporządzone na podstawie cyfr podanych w Roczniku Statystycznym RWPG (wyd. „Statystyka”, Moskwa 1980) nie wymaga komentarzy. Cyfry odpowiadają stanowi z końca 1979 r. (sytuacja jak widać pogarsza się z tą samą szybkością w obu krajach):

	<i>Polska rocznie</i>	<i>ZSSR rocznie</i>
Mięso .....	81 kg	58 kg
Produkty mleczne (w tym i masło) .....	457 kg	319 kg
Ziemniaki .....	160 kg	119 kg



Cukier .....	44 kg	43 kg
Radioodbiorniki (na 1.000 mieszkańców) ....	438	246
Telewizory (na 1.000 mieszkańców) .....	254	242
Pralki (na 1.000 mieszkańców) .....	184	77
Produkcja samochodów (w tym ciężarowych — na 10.000 mieszkańców) .....	114	80
Ilość samochodów osob. (na 1.000 mieszk.)	59	21
Produkcja mieszkań (na 10.000 mieszkańców)	80	73

Patrząc na te cyfry nie należy zapominać, czym są oficjalne statystyki. Nie ulega wątpliwości, że dane są zawyżone, przede wszystkim jeśli chodzi o ZSSR. Jednak i te zawyżone dane nie pozostawiają wątpliwości co do katastrofalnej sytuacji gospodarki sowieckiej. Jak wiadomo z fizyki, różne cieczki mają różną temperaturę wrzenia. Historia pokazała, że ze wszystkich „narodów socjalistycznych” Polacy pierwsi osiągnęli pułap wrzenia. Z tego jednak nie wynika, że nie wybuchną i narody sowieckie, kiedy ich położenie stanie się nie do wytrzymania.

Wydarzenia w Polsce zmusiły rząd sowiecki do namysłu i „zastosowania środków”. Tym bardziej, że od pierwszych miesięcy 1981 roku stało się jasne, że nawet skromne wskaźniki wzrostu ustalone dla jedenastej pięcioletki nie są realizowane. Komunikat Centralnego Urzędu Statystyki o wynikach pierwszego kwartału (*Izwestia* z 18 kwietnia) brzmi jak zwykle zwycięsko, w myśl formuły „sowiecki karzełek o głowę wyższy od zachodniego!”. Jeśli jednak porównać wyniki pierwszego kwartału 1981 roku z planem, nie ulega wątpliwości, że sowiecki karzełek maleje. Produkcja przemysłowa wzrosła o 3,1%, podczas kiedy plan przewidywał wzrost o 4,1%. W latach 1966-1975 produkcja wzrastała o 8% rocznie, w latach 1976-1980 o 4,6%, zaś w samym roku 1980 wzrost wynosił 3,6%. W ubiegłym kwartale 1981 roku produkcja mleka i mięsa spadła o 2%, mimo że nowy plan pięcioletni zapowiadał znaczny jej wzrost. Nie zrealizowano również planu wydobycia ropy naftowej, węgla i produkcji stali.

Pierwszy środek jest łatwy i prosty (dla kierownictwa): nasilenie represji. Praktykuje się szeroko powtarzane wyroki na dysydentów, którym kończy się pierwszy wyrok: sędzi się ich w łagrze i dokłada dalszych 3-5 lat. Dobija się resztki helsińskich grup. 2 kwietnia — w Madrycie trwają rozmowy o „odprężeniu” — skazano w Moskwie na 5 lat obozu i 5 lat zesłania 32-letniego inżyniera-geofizyka, Tatianę Osipową, członka moskiewskiej helsińskiej grupy. Oskarżono ją o to, że „w latach 1978-1980 osobiście i razem ze swymi współnikami sporządzała, przechowywała i rozprzestrzeniała oszczercze materiały, szkalujące sowiecki ustrój społeczno-polityczny... Działała w celu poderwania i osłabienia władzy sowieckiej”. Uwaga „organów” skupiona jest ostatnio na Nadbałtyce, w szczególności na Estonii. W liście otwartym czterdziestu estońskich działaczy kultury, zaadresowanym do komisji praw człowieka ONZ, mowa jest o demonstracjach w Tallinie, „wywołanych niezadowolaniem z powodu wzrastających w ostatnich latach kolejek w sklepach, braku produk-

tów, i nierówności w ich podziale”. Śmierć Jurija Kukka, profesora uniwersytetu w Tartus, zmarłego w łagrze, ma być ostrzeżeniem dla estońskich dysydentów. Aresztowany w marcu 1980 roku z oskarżenia o „oszczerstwa antysowieckie”, Jurij Kukkk ogłosił w styczniu 1980 roku głodówkę. Sąd nad nim odbył się w czasie głodówki, a następnie przerzucano go z obozu do obozu. Sądząc z aktu zgonu, Jurij Kukkk udusił się podczas sztucznego karmienia. Śmierć głodowa Irlandczyka Bobby Sandsa wywołała falę protestów na całym świecie. Sowiecka prasa poświęciła wiele stron irlandzkiemu partiocie-ofierze imperializmu brytyjskiego. Na mogile Jurija Kukka — na cmentarzu wołogodzkiego więzienia — nie pozwolono postawić tabliczki z jego imieniem. Grób oznaczony jest numerem — 23781. Nie ma żadnych wiadomości o losie estońskiego biologa Martina Niktusa, skazanego razem z Kukkiem i głodującego od początku razem z nim.

Następny „środek” to „nasilenie pracy ideologicznej”. W rzeczy samej: „Komuniści — pisze *Prawda* z 30. 3. 1980 — dysponują tak potężną bronią teoretyczną jak marksizm-leninizm. Co do głębi oddziaływania na umysły ludzi nie może się z nim równać żadna inna teoria społeczna lub filozoficzna, czego dowodzi ogólny rozwój społeczny świata”. Wynika z tego, że należy wykorzystać „potężną broń teoretyczną” dla „oddziaływania na umysły ludzi”. Towarzysz Susłow — Naczelny Marksista naszych czasów — zwołał w Moskwie 20 kwietnia Wszechzwiązkowe Seminarium — naradę pracowników frontu ideologicznego. Postawiono im dwa zadania: po pierwsze, objaśnić obywatelom sowieckim, że nie żyją jeszcze w komunizmie. Wydawałoby się, że sami mogli zauważyć, iż słynna formuła Saint-Simona „od każdego według zdolności, każdemu według potrzeb” nie odpowiada sowieckiej rzeczywistości. Z drugiej strony aktualny program KPZS informuje, że komunizm zacznie się od 1980 roku. Na XXVI Zjeździe zdecydowano zmodyfikować program, a przede wszystkim wyrzucić zeń wszystkie precyzyjne daty. I zacząć tłumaczyć, że żyjemy w epoce... Sowieccy ideolodzy proponują kilka nazw dla epoki, w której żyjemy: epoka okrzepłego, dojrzałego albo realnego socjalizmu. Teoretyczny artykuł pt. „Koncepcja okrzepłego socjalizmu w strategii i taktyce KPZS” (*Prawda* z 8. 5. 1981) podkreśla, że należy koniecznie „wnieść korektury do ukształtowanych dawniej wyobrażeń o okresie socjalistycznej fazy nowego społeczeństwa”. W ogólnie zrozumiałym języku znaczy to: nie mówić, kiedy mianowicie nastanie komunizm czyli raj, złoty wiek. Autor teoretycznego artykułu zaleca agitatorom, aby kładli nacisk na to, że „nie można przeprowadzić wyraźnej linii między udoskonalaniem dojrzałego społeczeństwa socjalistycznego a jego stopniowym przechodzeniem w społeczeństwo komunistyczne”. Przed sowieckim narodem otwiera się cudowna perspektywa: dojrzały socjalizm będzie się udoskonalał, dojrzewał i dojrzewał, aż niepostrzeżenie przejdzie w komunizm. Ktorego ranka obywatele sowieccy obudzą się w Raju.

Póki co — trzeba pracować. Oto kolejne zadanie, jakie stoi



przed sowieckimi ideologami: „powszechne umacnianie autorytetu uczciwej, sumiennej, twórczej pracy” (*Literaturnaja Gazeta* z 22. 4. 1981). Postronnemu obserwatorowi mogłoby wydać się dziwne, że w sześćdziesiątym roku władzy sowieckiej, w kraju, w którym „zbudowano okrzepłe społeczeństwo socjalistyczne, stopniowo przerażające się w komunistyczne” (*Prawda* z 8. 5. 1981) trzeba przekonywać klasę robotniczą, że „była i jest wiodącą siłą, cementującą... nasze społeczeństwo” i że „niezbędna jest sumienna, uczciwa praca dla wspólnego dobra” (*Prawda* z 8. 5. 1981).

W sześćdziesiątym czwartym roku władzy sowieckiej przywódcy ZSSR odkryli, że naród nie chce pracować. Byłoby łatwizną powoływać się na wielkiego poetę A. Puszkina, który ze smutkiem stwierdzał: jesteśmy leniwi i nieciekawi. Puszkina miał na myśli Rosjan. Okazało się jednak, że po rewolucji socjalistycznej każdy naród — Rosjanie i Ukraińcy, Polacy i Kubańczycy, Czesi i Albańczycy, Wietnamczycy i Bułgarzy — staje się leniwy i nieciekawym, kiedy mu przychodzi pracować „dla wspólnego dobra”. Bo kiedy trzeba pracować dla siebie — wszyscy zaczynają pracować wspaniale. Amerykański ekonomista Władimir Tremł, specjalizujący się w badaniach nad sowieckim alkoholizmem, przywiózł z niedawnej podróży do ZSSR dane, którymi sowieccy ideolodzy powinni się szczycić. Według obliczeń amerykańskiego uczonego około 250-300 tysięcy sowieckich obywateli poświęciło się wyłącznie produkcji samogonu. Pracują sumiennie, twórczo i uczciwie. W efekcie każdy z nich zarabia do 15 tys. rubli rocznie. Biorąc nawet pod uwagę, że muszą opłacać milicję, żeby przemykała oczy na ich proceder, przynajmniej trzeba, że wydajność produkcji jest wysoka: średnia płaca w przedsiębiorstwie socjalistycznym wynosi 2.500 rubli rocznie.

Przywódcy sowieccy wiedzą, że ani represje ani namowy do „uczciwej pracy” nie rozwiążą problemów gospodarki sowieckiej. Dlatego całą nadzieję pokładają w trzecim „środku”: w pomocy Zachodu. Tylko z Zachodu mogą przyjść niezbędne kredyty, technologia i żywność. I Zachód nie zawodzi.

24 kwietnia, w dniu, w którym towarzysz Susłow opuścił Warszawę, prezydent USA ogłosił, że uchyla embargo na sprzedaż zboża do Związku sowieckiego. Prasa sowiecka odpowiedziała triumfalnymi oświadczeniami, że Stany Zjednoczone, ponoszące wielkie straty na skutek embargo, zmuszone były ustąpić. W toku najbliższych pięciu lat Związek sowiecki będzie musiał nabyć nie mniej jak 30 mln ton zboża za granicą, żeby choć jako tako wykarmić własną ludność i przyjaciół. Przyjdzie karmić Afganistan i nawet Nikaraguę. Uchylenie embargo ułatwi zakup zboża i w sensie technicznym, i finansowym: amerykańskie zboże zawsze szło do ZSSR po ulgowej cenie.

Uchylenie embargo nie było jedyną radosną wiadomością dla obywateli sowieckich. O tym akurat mało im mówiono. Znacznie uroczysiej obchodzono inne zwycięstwo: w dorocznym spisie

autorów, przekładanych na języki obce, jaki sporządza UNESCO, Leonid Iljicz Breżniew wybił się na piąte miejsce, wyprzedzając Szekspira.

Adam KRUCZEK

12 maja 1981

## Kronika niemiecka

Z badań przeprowadzonych przez *Emnid-Institut* wynika, że 68 % ankietowanych opowiedziało się za „ponownym zjednoczeniem Niemiec w państwie o orientacji zachodniej”. Tylko 1 % opowiedziało się za „zjednoczonymi Niemcami o orientacji wschodniej”. Dla 7 % forma państwowa zjednoczonych Niemiec była obojętna, zaś 17 % obywateli RFN ma obojętny stosunek do problemu zjednoczenia, które odrzuciło natomiast 5 % ankietowanych. ■ *Polska Rada Narodowa* w Niemczech z siedzibą w Monachium wydała drugi numer biuletynu w języku niemieckim. W starannie opracowanej publikacji przedstawiono m.in. stanowisko *Rady* wobec problemu zjednoczenia Niemiec, zamieszczono fragmenty opracowania *PPN* w kwestii niemieckiej i uchwałę *Rady* poświęconą sprawie stosunków polsko-niemieckich. Biuletyn zawiera ponadto kronikę działalności *Rady* oraz artykuły i wystąpienia dr. Ludwika Frendla („Szanse pojednania narodów polskiego i niemieckiego”), Tadeusza Podgórskiego („Najnowszy uchodźca z Polski w RFN”), mgr. Tadeusza Folka (przemówienie na kongresie *Towarzystwa Obrony Praw Człowieka* we Frankfurcie) i Jacka Kowalskiego (rola emigracji wobec wydarzeń w kraju). Biuletyn *Rady* redaguje dr Ludwik Frenzl (8000 München, Zweibrückenstrasse 6 (V)). ■ *Rzecznik Ziomkostwa Pomorzan*, Philipp von Bismarck, oświadczył na *Ogólnoniemieckim Kongresie* w Lubece i Travemünde, że tylko „pojednanie z naszym odwiecznym sąsiadem — narodem polskim” może otworzyć drogę do przyszłego zjednoczenia Niemiec. *Ziomkostwo Pomorzan* wypowiedziało się za przyznaniem Niemcom żyjącym w krajach wschodnioeuropejskich (także i w Polsce) praw mniejszości narodowej. ■ Wielki dziennik *Frankfurter Rundschau* opublikował statut *USZZ Solidarność* w tłumaczeniu Doroty Leszczyńskiej, działaczki polsko-niemieckiej grupy kolońskich studentów, propagującej w Republice Federalnej ruch krajowego *NZS-u*. ■ Krajowa telewizja, transmitując z Chorzowa mecz piłki nożnej Polska-NRD, zatrzymała się na kilka sekund na rozwiezonym przez kibiców transparenecie z napisem: „Żądamy zwolnienia więźniów politycznych”. Mecz wygrała Polska 1:0. ■ W zachodniobermberskiej knajpie-teatrze *Casaleon* wystawiono satyrę Sławomira Mrożka — *Na pełnym morzu* (*Auf hoher See*). ■ Katolicka organizacja *PAX-Christi* wysłała od lutego do końca kwietnia br. 15 tys. paczek żywnościowych do Polski; przesyłki o wadze 15 kg każda (wartość — 100 DM) były przeznaczone dla osób w podeszłym wieku, ciężko chorych i wielodzietnych rodzin. ■ Z papierem w Polsce coraz gorzej, w NRD lepiej: w Kriebethal w NRD w istniejących tam zakładach papierniczych przekazano do eksploatacji budowany przez Polskę kompleks obiektów przemysłowych tworzących tzw. oddział odbarwiarni makulatury.



■ W Berlinie Wschodnim odbyła się dwudniowa konferencja naukowa poświęcona tendencjom rozwojowym polskiej kultury, literatury i języka. Konferencja została urządzona z okazji 25-lecia działalności w stolicy NRD *Polskiego Ośrodka Informacji i Kultury*. ■ Nowym referentem spraw polskich w bońskim *Auswärtiges Amt* został Wiprecht von Treskow, b. pracownik ambasady RFN w Warszawie. ■ Słynne, późnogotyckie freski Joerga Ratgeba (łącznie długość ponad 107 m) w zabytkowym klasztorze karmelitów we Frankfurcie n/Meinem są restaurowane przez polskich specjalistów z *Pracowni Konserwacji Zabytków w Krakowie i Warszawie*. ■ Straż graniczna NRD jeszcze bardziej zaostrzyła kontrolę bagażu polskich obywateli powracających z krajów zachodnich; konfiskowane są wszelkie publikacje. Szykanowanie Polaków, opuszczających NRD, odbywa się często na oczach polskich WOP-istów i celników. Ostatnio mnożą się wypadki przechodzenia na polską stronę oficerów *NVA*, którzy rzucają tam pod nogi (dosłownie!) polskim celnikom różne wydawnictwa zachodnie, ze słowami: „Popatrzcie na tę kontrewolucyjną literaturę, którą chcą wasi obywatele wrzucić do Polski”... Podobno sprawę te były jednym z tematów rozmów, jakie przeprowadził w Berlinie Wschodnim wiceminister spraw zagranicznych PRL, Józef Wiejacz z ministrem spraw zagranicznych NRD, Oskarem Fische-rem i jego zastępcą Hubertem Krolikowskim. ■ Eksport żywności z RFN do Związku Sowieckiego osiągnął w 1980 roku kwotę 682 mln marek, a więc wzrósł pięciokrotnie w stosunku do 1979 roku. ■ Zarząd miasta Norymbergi podjął decyzję udzielenia pomocy finansowej i rzeczowej na fundusz rewolucyjnej zabytków Krakowa; w 450 rocznicę śmierci Wita Stwosza naukowcy norymbercy zorganizują w Krakowie wystawę i seminaria poświęcone ich wielkiemu rzeźbiarzowi. Natomiast Kraków urządzi w Norymberdze wystawę współczesnej grafiki krakowskiej, medalierstwa, plakatu, lalek. W końcu czerwca przyjedzie na występ do Norymbergi *Teatr Groteska*. ■ Zachodniemiecka sekcja organizacji *Caritas* wystąpiła do Polski 12 ciężarówek z 20 tonami żywności każda, 2 wagony z ziarnem siewnym, nawozami sztucznymi oraz 20 ton margaryny i 10 ton pożywek dla dzieci. Rozdzielaniem żywności w Polsce zajmuje się Kościół. ■ Jak podaje *Ministerstwo Łączności* RFN, w ubiegłym roku wysłano z tego kraju do Polski łącznie 880 tys. paczek żywnościowych, w samym zaś styczniu br. — 90 tys. ■ Serwis informacyjny nr 16 *Wolne słowo* (*NSZZ Solidarność*), Toruń, 29. 3. 1981: „REWIZJONISCI SĄ WŚRÓD NAS? Tym razem ulotka adresowana jest do chłopów. *Gemeinschaft Ostdeutscher Grundeigentümer* (*Związek Wschodniemiecki Właścicieli Ziemi*) obiecuje chłopom polskim ni mniej ni więcej tylko „mięso, cukier i auta”. Stanie się to, kiedy owi właściciele wrócą do swych posiadłości. Chłopów polskich czeka wtedy zaszczytna rola robotników najemnych. Jak widzimy, cele rolników z *Wolnych Związków Zawodowych* i wydziedziczonych *Bauców* są zbieżne. Dla realizacji tych celów gotowi są natychmiast pomóc. Proszą o telefon i adres. Nie będziemy się wysilać, by odpiąć tego rodzaju prowokacje. Są żałosne. Jako ciekawostkę podajemy, że nasz ekspert stwierdził, że o ile w przypadku ulotki *AKON*u papier był pochodzenia zagranicznego (nie mówimy o druku i rozpowszechnianiu!), to w tym przypadku — już krajowy. Skok jakościowy! Ze swej strony oczekujemy z niecierpliwością, do jakich jeszcze grup społeczno-zawodowych czy pokoleniowych zwrócić się rewizjoniści. Zyczymy inwencji”. ■ Lew Kopielew został laureatem tegorocznej *Nagrody Pokoju*, przyznawanej corocznie przez niemieckich księgarzy i wydawców. ■ Synod *Kościola Ewangelickiego* Berlina wschodniego i Brandenburgii uchwalił list, który został przekazany *Polskiej Radzie Ekumenicznej*; pastory z NRD zapewniali Polaków o swojej solidarności i zapowiadają, że będą się czynnie przeciwstawiać wszelkim próbom rozniecania „uprzedzeń antypolskich w Niemczech Wschodnich”;

autorzy listu wyrażają jednocześnie zaniepokojenie z powodu faktu, że dawne uprzedzenia antypolskie znów sporadycznie dochodzą do głosu w NRD, i że słyszy się często obraźliwe uwagi pod adresem Polaków; *Kościół Ewangelicki* w NRD zamierza przeciwstawić się takim tendencjom. Autorzy opowiadają się wreszcie za pełnym wykorzystaniem wszelkich możliwości wymiany wizyt między Polską a NRD. Synod uchwalił ponadto rezolucję, zwracającą się do *Federacji Kościołów Ewangelickich* w NRD i protestanckiej organizacji charytatywnej *Diakonisches Werk* z apelem, aby kontynuowały akcję pomocy dla Polski, zwłaszcza żywnościowej, przekazywanej *Polskiej Radzie Ekumenicznej*. ■ W kwietniu br. przybyło do RFN 2.474 przesiedleńców z Polski. ■ Prasa zachodniemiecka pisze o 50 tys. paczek żywnościowych, które gniją w magazynach portu gdyńskiego; autorzy komentarzy nie mogą zrozumieć, dlaczego kraj, który tak łaknie pomocy, nie potrafi zorganizować sprawnego odbioru i dystrybucji paczek nadchodzących z zagranicy; „obserwując niedołężność w dystrybucji paczek, kraje zachodnie zaczynają powątpiewać w zdolność Polski do rozwiązania znacznie bardziej skomplikowanych problemów gospodarczych”. ■ Hans Koschnick, burmistrz-szef rządu Bremy z okazji piątej rocznicy podpisania porozumienia o współpracy z Gdańskiem: „Polscy nauczyciele wykładają w szkołach Bremy, a nasi nauczyciele prowadzą lekcje z dziedziny historii i kultury współczesnej w Gdańsku. Odbywa się również wymiana lekarzy i pielęgniarek oraz wzajemne odwiedziny dziennikarzy i ludzi sztuki. Bardzo dobrze rozwija się współpraca szkół wyższych i instytutów zajmujących się sprawami żeglugi”. ■ Reinhold Vetter opublikował w kolońskim tygodniku *Stadtrevue* obszerne wypowiedzi działaczy krakowskiego *NSZ*-u, Wojciecha Sikory i Bronisława Wildsteina, na temat założeń i celów niezależnego ruchu studenckiego w Polsce. ■ W ciągu czterech miesięcy br. Polska zaciągnęła w bankach zachodniemieckich pożyczki na sumę 840 mln marek. Pożyczki są gwarantowane przez rząd RFN; trwają gorączkowe pertraktacje o uzyskanie dalszego kredytu w wysokości 100 mln marek. Budżet RFN w 1981 roku zostanie obciążony dodatkowo kwotą 1 mld marek na skutek konwersji polskich pożyczek, których spłaty były przewidziane umownie na br. ■ W lewackim wyścigu o względy *Solidarności* i *NZS*-u prowadzą w RFN zdecydowanie *Biura Socjalistyczne*, na drugim miejscu uplasowały się ugrupowania skupione w tzw. *Niedogmatycznej Lewicy*, trzecie miejsce wywalczają sobie trockiści. Nie pozbawiony pikanterii jest dość istotny szczegół: najgłośniej domagają się demokratyzacji życia politycznego w Polsce te grupy, które u siebie, w RFN, są za obaleniem systemu demokratycznego i wprowadzeniem „dyktatury proletariatu”. Natomiast promoskiewska organizacja młodzieżowa *Spartakus* stoi na stanowisku, że w Polsce „szerzy się kontrewolucja”, którą podsyca z USA *AFL/CIO*, z Paryża Aleksander Smolar, członek KSS „*KOR*” i z Monachium Władysław Sulecki, pracownik *Radio Free Europe* (sic!), a w ogóle wszystkiemu jest winien frankfurcki trockista Jakob Moneta, który pozwolił sobie na wiecu w Offenbachu ocenić wygłoszony tam przez Aleksandra Smolara referat jako „wspaniałą, marksistowską analizę” wydarzeń w Polsce. Inna, na pół trockistowska inicjatywa *Solidarität mit Solidarność* sprzedaje znaczki *Solidarności*, plakaty i płyty długogrające *Polnischer Sommer* (*Polskie lato*). Dialektyka *Deutscher Freidenker-Verband* (*Niemiecki Związek Wolnomyslicieli*) graniczy już ze schizofrenią; wzywają do walki z Kościołem i religijnością w Niemczech, a jednocześnie stawiają za przykład „socjalistyczną religijność” polskich robotników. ■ *Warszawska Polityka* pozytywnie o działaczce KSS „*KOR*” i współredaktorze niezależnego kwartalnika *Puls*: „*LEKcja TAKTU*. Na uniwersytecie zachodniobermlińskim odbyła się dyskusja na temat *Solidarności* i ruchu zawodowego w Polsce z udziałem Anki Kowalskiej i Leszka Szarugi. Gdy w czasie spotkania A. Kowalska wyra-



ziła się pozytywnie o roli Kościoła katolickiego, odezwały się głosy, iż Kościół stoi na usługach Watykanu, a kardynał Wyszyński podobno podniecał w Polsce antysemityzm. Pisarka odpowiedziała na to ostro, że jest to oszczerstwo i oczernianie prymasa Polski i to w kraju, w którym niewątpliwie i ojcowie i dziadkowie obecnej na spotkaniu młodzieży w żadnym stopniu nie walczyli z antysemityzmem, a może nawet go podniecali. Na sali zapadła cisza". ■ Zaniepokojenie wśród personelu ambasady PRL w Kolonii (zatrudnia ok. 100 osób!); ok. 30 % pracowników będzie musiało powrócić do kraju. Pensje pozostałych będą tylko częściowo wypłacane w markach (od 1.000 do 1.500 marek, reszta ma wpływać na konta krajowe w złotych). MSZ i Ministerstwo Handlu Zagranicznego podjęły decyzję redukcji personelu służby dyplomatycznej i placówek handlu zagranicznego w wielu krajach z uwagi na „trudną sytuację społeczno-polityczną i gospodarczą Polski”. ■ Wisława Szymborska i Karl Dedecius czytali po polsku i niemiecku polską lirykę podczas wieczoru urządzonego przez *Deutsches Polen-Institut* w Darmstadtzie. ■ W *Muzeum Literatury* w Warszawie otwarto wystawę pn. *Polonica Dedeciana*, zorganizowaną z okazji 60-tej rocznicy urodzin Karla Dedeciusa, wybitnego tłumacza polskiej literatury. ■ Firma *Promotor* w Krefeld, która sprowadzała z Polski samochody marki *Polonez* zerwała umowę z FSO na Zeraniu. Z Warszawy dostarczano zaledwie 30 % zamówionych samochodów i 40 % części zamiennych. *Promotor*, obeznany już z polskimi sposobami, naprawiał samochody wymontowując potrzebne części z nowych *Polonezów*. Zdekompletowane samochody firma w końcu sprzedawała, ze specjalnym rabatem, obywatelom polskim czasowo zatrudnionym w RFN. *Zycie Warszawy*: „To było tak, jakby w Szwajcarii sprzedawać nasze zegarki”. ■ Prof. Władysław Markiewicz z PAN-u, członek *Wspólnej Komisji Niemiecko-Polskiej d/s Podręczników*, stwierdził w wywiadzie udzielonym zachodniemieckiej telewizji, że dotąd „PRL propagowała fałszywy obraz Niemiec; zawsze pozytywni byli Niemcy z NRD a negatywni żyjący w RFN; sztucznie rozdmuchiwało niebezpieczeństwo rzekomo grożące ze strony niemieckiej prawicy CDU/CSU. Polacy jednak tej propagandzie nie wierzyli”. Markiewicz poddał również krytyce poglądy Ryszarda Wojny w kwestii niemieckiej. *Metamorfroza* prof. Markiewicza jest zadziwiająca! ■ Nowe książki o tematyce polskiej: Kai von Jena — *Polnische Ostpolitik nach dem ersten Weltkrieg (Polska polityka wschodnia po pierwszej wojnie światowej)*, *Deutsche Verlags-Anstalt*, Stuttgart 1980, str. 244; Gerd Kriwanek — *Polen. Solidarität als Hoffnung*, *Orell Füssli Verlag*, Zürich 1981, str. 200 (liczne fotografie); Adam Zagajewski — *Polen. Staat im Schatten der Sowjetunion (Polska — państwo w cieniu Związku Sowieckiego)*, *Rowohlt Verlag (Spiegel-Buch)*, Hamburg 1981, str. 208; *Das Lodzer Deutsche Gymnasium (Gimnazjum niemieckie w Łodzi)*. Praca zbiorowa pod redakcją Petera Nasarskiego. *Westkreuz-Verlag*, Berlin-Bonn 1981, str. 176 (liczne fotografie i facsimile dokumentów); Jule Gatter-Klenk — *Vielleicht auf Knien aber vorwärts! Gespräche mit Lech Wałęsa (Może na kolanach, ale naprzód! Rozmowy z Lechem Wałęsą)*, *Athenäum Verlag*, Königstein/Ts. 1981, str. 174 (liczne fotografie); *Polen 1980*, wyd. *Sozialistisches Osteuropakomitee*, Hamburg 1981, str. 135; Hans Peter Rullmann — *Ist der Kommunismus reformierbar? Nach dem polnischen Herbst — Frühling in Osteuropa? (Czy komunizm można zreformować? Po polskiej jesieni — wiosna w Europie Wschodniej?)*, *Goldmann Verlag*, Monachium 1981, str. 164; Paul Lendvai — *Der Medienkrieg (Wojna mediów)*, *Verlag Ullstein*, Frankfurt 1981, str. 280; *Polnische Nationalitätenpolitik und deutsche Volksgruppe in Lageberichten des polnischen Innenministeriums aus den Jahren 1935 und 1937 (Polska polityka narodowościowa i problem niemieckiej mniejszości w raportach polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w latach 1935-1937)*. Wprowadzenie,

wybór tekstów i objaśnienia: Richard Breyer i Paweł Korzec. *Nadbitka z Zeitschrift für Ostforschung*, Heft 2/3, *Verlag J. G. Herder-Institut*, Marburg/Lahn 1980, str. 260-366. ■ *Zjednoczenie Studentów Niemieckich (RFN)* zamierza nawiązać oficjalny kontakt z NZS-em jako równoprawnym z SZSP polskim zjednoczeniem studentów. Wzywając do poparcia NZS-u, niemiecki związek studencki zamierza ofiarować 6.000 DM na maszynę offsetową dla NZS-u oraz zorganizować w letnim semestrze 1981 podróż przedstawicieli polskiego związku po rozmaitych miastach RFN.

Andrzej J. CHILECKI

## Kronika litewska

Paryski *Le Figaro* zamieszcza korespondencję z Wilna: domy są szare, chodniki w złym stanie, trolejbusy stare, samochody spotyka się rzadko. Na wiosennym wietrze furkocą transparenty z datami zjazdów partyjnych — można by sądzić, że jesteśmy w jakimś prowincjonalnym mieście rosyjskim. Jednak na transparentach obok cyrylicy widnieją również litery łańskie; po tym poznajemy, że nie jest to Nowgorod czy Kazań, lecz stolica sowieckiej socjalistycznej republiki litewskiej.

Nazwy ulic upamiętniają dzieje rewolucji rosyjskiej: Czerwonej Armii, Dzierżyńskiego, Lenina... Przewodnik po mieście (w języku rosyjskim) zachęca do wycieczek oznaczonych hasłami „Wilno socjalistyczne”, „Wilno od Zjazdu do Zjazdu”, „Rewolucyjna przeszłość Wilna”, „Śladami walk młodzieży leninowskiej”, „Długa droga partyzantów”... W programie zwiedzania muzeum Dzierżyńskiego (twórcy GPU), podmiejskiego byłego kacetu niemieckiego i galerii obrazów, mieszczącej się w dawnej katedrze. Spośród 47 kościołów wileńskich wymieniony jest tylko jeden — jako zabytek architektoniczny.

Dzieje miasta zaczynają się od utworzenia pierwszego *sowietu* w Wilnie a kończą na XXVI Zjeździe KPZS. Towarzyszący wycieczce przewodnik dopiero pod przymusem przyznaje, że istniał okres niepodległości Litwy, dodaje jednak natychmiast, że był to okres rządów faszystowskich. Naturalnie ani wzmianki o pakcie Ribbentrop-Mołotow, uwieczniona jest za to radosna rocznica późniejszego o parę miesięcy włączenia Litwy do Związku Sowieckiego. Litwa jest zsovietyzowana, nie jest jednak zrusyfikowana, choć zdobył ją Kutuzow w czasie wojen napoleońskich. Przemierzając ulice miasta ma się wrażenie, że to Bawaria czy inne miasto Europy Centralnej. Ludzie rozmawiają przeważnie po litewsku (język najbardziej zbliżony do sanskrytu) albo po polsku. Gdy się wejdzie do restauracji czy kawiarni, słyszy się ze zdumieniem, że głośniki są nastawione na radio Warszawę. Ludzie tłumaczą to roztropnie tym, że muzyka ta jest atrakcyjniejsza niż sowiecka. Przyznać trzeba, że gwar na sali zagłusza wstawki informacyjne. Nie znaczy to, by ludzie odnosili się obojętnie do fermentu w Polsce, odległej o niecałe sto kilometrów. Robiąc jednak dobrą minę do złej gry twierdzą, że polscy sąsiedzi postępują nierozważnie: pragnąc dobrobytu, powinni się zabrać do pracy. Brzmi to nieco dziwnie w mieście, w którym zdobycie niewielkich nawet ilości kapusty, kartofli czy mięsa



wymaga wielkiego trudu. Nie ulega wątpliwości, że kryzys polski Litwinów fascynuje, jednak дума narodowa i skutki lat, ubiegłych od 1917 roku powodują, że wolą odwracać od nich głowę.



Obrady Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy w Toronto zalecają rządowi pilne śledzenie wypadków w Polsce i odpowiednie reagowanie na aspiracje polskich patriotów, pragnących zrzucić jarzmo rosyjskie. Powołano w tym celu specjalną komisję.



Litewska prasa emigracyjna zamieszcza za *Kulturą* wzmianki dotyczące Litwy, Litwinów i Polaków w Estonii i in. Często też pisze o Czesławie Miłoszu, cytując jego wiersze, przemówienie w Sztokholmie lub urywki z „Rodzinnej Europy”. Podaje też — z polskiej prasy emigracyjnej — artykuł E. Żagiella pt. „Litwo, ojezyczno polskich poetów”.



Pięciu amerykańskich senatorów i kongresmanów zgłosiło jako kandydatów do pokojowej nagrody Nobla kilku sowieckich bojowników o wolność, wśród nich uwięzionego V. Petkusa z litewskiego komitetu helsińskiego.



Z okazji rocznicy niepodległości Litwy amerykański sekretarz stanu gen. Haig przesłał Litwinom gratulacje z wyrazami uznania dla ich dążeń.



Litwini w USA rozpoczęli zbiórkę 600 tys. dolarów na założenie katedry lituanistyki przy uniwersytecie w Chicago.



Litwini w kraju i za granicą obchodzili 60-lecie opery litewskiej, założonej w Kownie i przeniesionej później do Wilna. Obchodzono też 550-lecie śmierci Wielkiego Xiecia Witolda, co w kraju wywołało represje.

E. ŻAGIELL

## Sprawy i troski

### Francja wybrała nowego Prezydenta

Śledząc życie polityczne Francji natrafia się na momenty kiedy lepiej zapomnieć, że Kartezjusz w ogóle żył kiedyś w kraju, który się chwali tym filozofem, a nawet twierdzi, że i jego mieszkańcy myślą i działają według wskazówek znakomitego Descartes. Niestety, nie brak przykładów że jest przeciwnie!

Wybór Prezydenta Republiki w głosowaniu powszechnym jest jeszcze jednym z podarków, które pozostawił po sobie de Gaulle. Konstytucja z 1958 roku tego nie przewidywała. Okazało się jednak, że 7-letnia kadencja Prezydenta i 5-letnia Zgromadzenia Narodowego (senat się wybiera inaczej) stwarzają problem tzw. *légimité*: kto lepiej wyraża wolę ludu, czy Prezydent wybrany w danym momencie czy Zgromadzenie (*Assemblée Nationale*) wybrane 2-3 lata wcześniej czy później zresztą przez tych samych wyborców? Pierwsze wybory prezydenckie w 1965 roku były jako tako „normalne”, ale nie trzeba było przekazywania władzy, gdyż de Gaulle (z trudem) został wybrany ponownie. Po dymisji de Gaulle’a, drugie wybory (1969) nie stawały tego zagadnienia, gdyż władzę sprawował jako „interim” marszałek senatu A. Poher (sam zresztą kandydat!); trzecie — spowodowane były śmiercią prezydenta Pompidou (1974), a więc znów „interim” A. Pohera. Dopiero teraz żyjący prezydent przekazuje (20 maja) władzę — a w tym i kluczyk do bomby atomowej — swemu zwycięzcy. Jeżeli dodamy do tego fakt, że po 23 latach lewica wraca do władzy — można zrozumieć dlaczego przygotowanie krótkiej ceremonii protokolarnej zabrało tyle czasu reprezentantom obu stron.

Kampania wyborcza, którą Konstytucja i przepisy Rady Państwa ściśle ograniczają do kilku tygodni trwała — pod wszystkimi formami — niemal cały rok. Wiadomo, że kierujący życiem gospodarczym ludzie nie pobierają ważnych decyzji nie wiedząc w



jakim kierunku pójdą zmiany. Mało tego: ponieważ chyba wszystkie państwa kapitalistycznego Zachodu podlegają stopniowej socjalizacji — także i wyżsi urzędnicy idą za przykładem szefów wielkich przedsiębiorstw prywatnych, a od wielu pokoleń wiadomo, że we Francji administracja jest silniejsza od ministrów, którzy pozornie nią kierują. Zastój więc kompletny przy zwiększającej się ucieczce kapitałów. Inflacja (ok. 14 %) jest niepokojąca, ale bezrobocie (ok. 1.700.000 pracowników) o wiele bardziej przyczynia się do żądania „zmiany”. Cudzośćw przy tym słowie odpowiada rzeczywistości, gdyż protestujący przeciw wyższym cenom i zamykaniu przedsiębiorstw — nie bardzo wiedzą jak tę zmianę przeprowadzić. Toteż wszyscy poważni kandydaci bardzo szybko włączyli „zmianę” do swoich sloganów wyborczych.

Aby uniknąć stawiania kandydatur pachnących folklorem, Rada Konstytucyjna i Parlament postanowiły przyjmować wyłącznie kandydatury poparte 500 podpisami członków parlamentu, merów gmin i kilku drobniejszych kategorii notabli. Ponieważ Francja ma ok. 35.000 gmin i 35.459.328 uprawnionych do głosowania (dlaczego tak jest, wymagałoby osobnego artykułu!) łatwo stwierdzić, że „gwarancji” samych tylko merów starczyłoby — w samej tylko metropolii — dla 70 kandydatów, a było ich tylko... 65! Ale — na szczęście — tylko 10 zebrało 500 podpisów merów, a właściwa rozgrywka miała miejsce między Mitterrandem i Giscard d'Estaing (ponad 25 % głosów) Chirac (18 %) i Sekretarz Generalny Francuskiej Partii Komunistycznej, który musiał się zadowolić 15 %.

Aż do 26 kwietnia czyli do pierwszej tury wyborów kampania była zupełnie jałowa. Z jednej strony wyborcy wiedzieli z góry co powie ich kandydat i co mu na to odpowie jego przeciwnik, a tłumy które było widać na wiecach umiejętnie obsługiwanych przez państwową telewizję zawierały zazwyczaj w programie solidny bufet, którego rolą jest ułatwienie strawienia tez kandydatów, ogromnie podobnych jedne do drugich. Giscard dowodził bez przekonania (słuchaczy), że to czego nie potrafił zrobić w ciągu pierwszych siedmiu lat, znakomicie mu się uda w ciągu siedmiu następnych; Chirac po raz nie wiem który bronił swojej polityki nakręcania koniunktury gospodarczej walcząc z tezami premiera Barre'a, który z równym uporem twierdził, że przede wszystkim należy bronić Franka. Mitterrand był w sytuacji dosyć skomplikowanej: przez dawną większość był oczywiście mocno zwalczany twierdzeniem, że jego wybór nie jest możliwy bez głosów komunistów, ale jednocześnie po cichu kuszony przez niektoś koła chirakowskie stawiające na budowę jakiegoś „centrolewu” z socjalistami i „gaullistowskim” R.P.R. Komuniści, po klęsce ich wodza, którą wielu przewidywało, dalej narzucali swoje usługi przed pierwszą turą a przed drugą wyraźnie zażądali udziału ministrów komunistycznych w przyszłym rządzie. Rzeczywiście, wielu wyborców komunistycznych, a nawet członków Partii oddało swoje głosy Mitterrandowi, niezależnie od instrukcji aparatu.

Po tych wyborach wszystkie partie muszą przebudować swoje struktury i to gruntownie. Georges Marchais, który swoją taktyką gangsterstwa politycznego osiągnął swoisty „rekord w dół” będzie musiał za klęskę zapłacić, o ile w najbliższych tygodniach nie uzyska dużych ustępstw ze strony nowego Prezydenta. Mitterrand musi sobie poradzić z dobrą dziesiątką grupów zwłaszcza radykałów, którzy chcieliby zawrzeć korzystne układy z socjalistami, bez zniknięcia ich firmy z areny politycznej; oferty przychodzą zarówno z lewej, jak i z prawej strony partii. Chirac i Lecanuet (jako prezes U.D.F.) podpisali na chybcika pakt wyborczy, który nie idzie zbyt daleko: pewna ilość wspólnych kandydatów (mało jak na 491 okręgów wyborczych), przekazywanie w drugiej turze głosów lepiej uplasowanemu, jeżeli wspólnej kandydatury nie da się uzgodnić, nie polemizowania między sobą, ale obrócenie całej energii na walkę z „nową większością” itd. Ten nowy twór, który prawdopodobnie nie będzie długotrwały ma się nazywać *Union pour la Nouvelle Majorité* (U.N.M.). Tak jak komuniści nie załatwili odejścia Marchais, tak U.N.M. nie rozwiązało problemu Giscard d'Estaing, a zatem *leadership'u* nowej koalicji. A w swoim pożegnaniu telewizyjnym dawny Prezydent wyraźnie zapowiada, że nie ma zamiaru wycofania się z życia politycznego, gdzie — w jego optyce — może odgrywać tylko rolę przywódcy. Jeżeli się zdaje sobie sprawę, że Giscard d'Estaing stracił przynajmniej 1/3 głosów nie przez taką czy inną politykę socjalną, ale przez długą serię „afer” personalnych (i swojej rodziny), to nie trzeba być prorokiem twierdząc, że Chiraca czeka jeszcze niejedna nieprzespana noc!

Proponując Mitterrandowi jak najszybsze przekazanie władzy Giscard umożliwił jednocześnie przyspieszenie o tydzień daty wyborów parlamentarnych. Że to jest wygodne dla Mitterranda — można zrozumieć, ale jaką korzyść będzie miała z tego prawica, której aparat nie jest dostosowany do szybkiego działania, zwłaszcza że będzie trzeba przeprowadzić arbitraż w dziesiątkach (o ile nie setkach) okręgów wyborczych na prowincji? Dodajmy, że obecnie prawica nie rozporządza aparatem państwowym, którego coraz bardziej otwarcie używał Giscard d'Estaing.

W godzinę chyba po ogłoszeniu wyniku wyborów, wspaniały lokal wyborczy Giscard d'Estaing opustoszał. Natomiast zaroilo się na ulicach od ludzi, zwłaszcza młodych, którzy okrzykami, tańcami, transparentami itd. święcili zwycięstwo Mitterranda. Na placu Bastylli obliczono ich na przeszło 50.000, a nawet na 100.000. Czy te manifestacje były zupełnie spontaniczne (przywódcy lewicy znaleźli się szybko na miejscu do wygłaszania przemówień!) nie jest ważne. Faktem jest że kontr-manifestacji prawnicy nie było! Zawsze zadowolony z siebie Giscard zrażał do siebie jedną grupę wyborców po drugiej, wydawałoby się według jakiegoś szatańskiego planu. W ostatnich tygodniach usiłował niektóre z tych błędów naprawić, ale było za późno.

O czym się NIE mówiło w czasie kampanii wyborczej? Przede wszystkim o problemach kulturalnych. Druga dziedzina objęta



sferą milczenia — to polityka zagraniczna. Temat „Europa” został wykreślony przez kłopoty z p. Thatcher. Mówiono więc — bo nie można inaczej — o Afganistanie, o Polsce, o Izraelu i łączącym się z tym problemie nafty. Inny temat niemalże „tabu” to obrona narodowa i centrale atomowe; ponieważ i socjaliści są za budową central atomowych — dla produkowania energii wyłącznie — nie było (w drugiej turze) z kim dyskutować.

Wyborcy przyszli do urn masowo: może się to wreszcie skończy! Norwid pisał: „Klaskaniem mając obrzękłe prawice, znużony pieśnią lud wołał o czyny”. To krótkie zdanie znakomicie streszcza nastroje wyborców francuskich, lepiej niż cyfry wszystkich sondaży.

Na zakończenie: „słoń, a sprawa polska”! Przy poprzednich wyborach, Giscard — po pierwszej turze — ogłosił list do polskich wyborców (8 maja 1974 r.) proszący o ich głosy i zawierający szereg obietnic. Komitet Wyborczy Polaków Naturalizowanych list ten „podżyrował”, bo Mitterrand był wówczas kandydatem zjednoczonej lewicy, której elementem najsilniejszym była Francuska Partia Komunistyczna. Trudno go było w takich warunkach popierać! Francuzi, a zwłaszcza socjaliści francuscy nie mogą dotychczas zrozumieć, że wyborcy polscy nie przejawiają entuzjazmu dla głosowania na kandydatów czy listy socjalistyczne; niektórzy to robią, ale nie ma tłumów. To nie takie czy inne podejście socjalistów do zagadnień socjalnych czy ekonomicznych odstrasza polskich wyborców, ale perspektywa współpracy z komunistami.

Tym razem rola wyborców polskich znacznie wzrosła. W dużej mierze zawdzięczać to należy sytuacji w Polsce. Wprawdzie Wałęsa i jego towarzysze odwołali swoją podróż do Francji, ale to wszystko co media francuskie wszelkich kategorii napisały (powiedziały czy pokazały) o Kraju zmusiło niejako partie polityczne do zajęcia się polskimi wyborcami.

I ze strony polskiej rozegranie było dobre. „Wspólnota Polsko-Francuska”, organizacja polityczna, ale nie-partyjna, wystosowała do kandydatów list zawierający żądania społeczności polskiej. List był — oczywiście — identyczny dla wszystkich i nie mówił na kogo trzeba głosować. Na owe listy wszyscy kandydaci odpowiedzieli precyzując jakie problemy Polaków znajdują odbicie w ich programie. Ta korespondencja została zamieszczona w specjalnym numerze Biuletynu „Wspólnoty”; posłuży on w nadchodzących wyborach parlamentarnych.

Czego chciała „WSPÓLNOTA”? Ostatecznego i trwałego rozwiązania spraw, które łączą się z Biblioteką Polską w Paryżu (status prawny, budżet itd.). Uporządkowania sprawy nauczania języka polskiego, a więc stworzenia więcej etatów *agrégés*, a jednocześnie zajęcia się nauczycielstwem i uczniami szkół powszechnych. Utrzymanie i poszerzenie audycji radiowych w języku polskim. Mianowania wśród bezpośrednich współpracowników Prezydenta specjalnego rozmówcy dla załatwiania specyficznych spraw Polonii francuskiej.

Giscard — który z obietnic sprzed 7 lat nie wykonał nawet 10% — podpisał się pod wszystkimi żądaniem. — Chirac, który przypomina swój dotychczasowy stosunek do spraw polskich, w okresie kiedy był premierem i później — co się zgadza z prawdą — chce przyznania Polakom środków dla pielęgnowania ich kultury narodowej. Dodaje przy tym swój projekt: wszystkie teksty prawne o zasięgu ogólnofrancuskim dotyczące Polonii (i innych mniejszości) powinny być najpierw przedyskutowane z jej reprezentantami. List Mitterranda jest na pozór najbardziej ogólnikowy, ale wykazuje duże zrozumienie problemu kultur etnicznych, dodając: „Ten problem zasługuje na o wiele więcej niż zwyczajne otwarcie kredytów”. Ten list znajduje swoje uzupełnienie w liście obecnego pierwszego sekretarza Partii Socjalistycznej — Lionela Jospina, który socjaliści rozrzućli po ośrodkach polskich we Francji.

Tak więc doczekaliśmy się momentu kiedy nie tylko nas zauważono, ale i nasze potrzeby jako grupy.

„Wspólnota” doszedłszy do granicy, którą sobie sama ustaliła, akcją czysto polityczną: „Głosujcie na...” pozostawiła utworzonym wokoło każdego kandydata (i z jego inicjatywy) Komitetom Poparcia. Było ich kilka: jedne organizowane przez kandydatów inne samorzutne. Trudno, nie mając w ręku danych z prowincji, ocenić który Komitet działał najsprawniej. Chirac powierzył przewodnictwo swego Komitetu b. ministrowi Jean de Lipkowskiemu, co nadało mu pewną rangę; Komitet wydał (na pięknym papierze) ulotkę dwujęzyczną włączył sprawy polskie do broszury wyborczej, zwracał się do polskich wyborców w przemówieniach na wielkich regionalnych *meeting*’ach (np. w Lille i w Strasburgu itd.). Oddziały jego Komitetu działały w kilku miastach na prowincji. Komitet Giscard d’Estainga stworzyć było trudno: z jednej strony pamiętano o niewykonanych przyrzeczeniach z 1974 roku, a po drugie b. Prezydent kontakt z Polonią utrzymywał zawsze przez salony, które dostarczają niewielkiej liczby wyborców albo przez Gierka, którego — w jego optyce — Polonia powinna być uwielbiać. Mitterrand działał poprzez aparat Partii Socjalistycznej. Wydana przez niego dwujęzyczna ulotka plus tekst Jospina rozprowadzona była przez partię, nawet zbyt szeroko, bo niektóre przesyłki wylądowały... w Pirenejach! Na tzw. Północy dzienniki regionalne z Lille przedrukowały częściowo dokumenty o których mówimy. Tym razem również polskie pismo codzienne *Narodowiec* włączyło się szerzej do polskiej akcji wyborczej.

Na zakończenie, dwie wesołe opowiastki. Kilka lat temu reżym starał się stawiać Polonii pomniki, tablice pamiątkowe itd., oczywiście za francuskie pieniądze. Konsulat w Lille zakrzętnął się, żeby w środku miasta wystawiona była tablica dla uczczenia zasług „emigracji”; działacze „Wspólnoty” postanowili zbojkotować odsłonięcie tablicy, na którą zaproszono panią Skibniewską, wicemarszałka Sejmu i ściągnięto zdaje się ok. 30 autobusów z Polski; działacze „Wspólnoty” rozkleili małe afisze w całej



dzielnicy miasta; mer miasta Pierre Mauroy (mówi się o nim jako kandydacie na urząd premiera!) rozpoczął pertraktacje których wynikiem było, że nie będzie awantur antykomunistycznych, ale nikt nie będzie przemawiał w imieniu Polonii; umowy obie strony dotrzymały: ulice były puste, a Polacy z Kraju — zdziwieni. Zapomniawszy o tym, a szukając gestu wobec Polaków, socjaliści postanowili, że Mitterrand złoży wieniec pod owym pomnikiem. „Wspólnota” znowu zadziałała, ulice były puste o czym świadczyły fotografie w prasie regionalnej. Potem były listy i telefony od mera i jego współpracowników, że to pomyłka, że przepraszają itd.

Lepszy „numer” zrobił Giscard! Odwiedzając swój dawny okręg wyborczy w Owernii, zajął do miejscowości Messeix (dawna kopalnia węgla, odosobniona w jednej z dolin Masywu Centralnego) i jak zwykle wygłosił tam pełne nostalgii przemówienie. Oto co znaleźliśmy nazajutrz w dużym dzienniku regionalnym *La Montagne*: „W odpowiedzi (na przemówienie mera — przyp. tłum.) Giscard przypomina 'tradycje polskie Messeix' gdzie on chciał się udać z dawnym przywódcą polskim GIERKIEM, synem górniką, zamieszkałym w Bourg-Lastic i uczniem szkoły w siedzibie kantonu (tzn. Messeix — przyp. tłum.)”... „Wypadki na to nie pozwoliły ale ta tradycja i to wspomnienie pozwalają nam ocenić, w porównaniu z obecnymi wypadkami w Polsce, wartość naszej wolności z której my korzystamy i którą pragniemy zachować...”. Gierka komuniści polscy wyrzucili 5 września 1980 roku, przemówienie było wygłoszone 24 kwietnia 1981 roku. Przez siedem miesięcy można się czegoś dowiedzieć, zwłaszcza jeśli chodzi o wypadki europejskie. A więc to nie brak informacji! Z tekstu cytowanego możemy rozumieć, że Gierkowi stała się krzywda, bo w PRL nie ma wolności jaka panuje we Francji.

Jerzy JANKOWSKI

Bourg-la-Reine, 18 maja 1981 r.

## Wołanie na puszczy

### Co dalej ?

Warszawa, 7 maja 1981.

Dwa święta całkowicie się zbrały w tym roku: 1 maja i 3 maja. Moje pokolenie pamięta, że pierwsze obchodzili socjaliści (no i komuniści, których było w sumie pięciu na krzyż), a drugie, nie wiedzieć dlaczego, endecy. W tym roku postarano się o syntezę: unarodowiono 1 maja, pozbawionego urzędowej defilady i zaopatrzonego w hasło „kochajmy się”, za to usocjalistyczniono jak się dało 3 maja, a pan Jabłoński „z właściwą mu skromnością i taktem kropnął mowę, że dzisiejsze pokolenie „budowniczych socjalizmu” i ogóle Polska Ludowa to nic innego jak bezpośrednia kontynuacja 190 lat już mającej Majowej Konstytucji. Grunt to dobre samopoczucie! Kościół pobłogosławił rocznicę także, partiotyczne manifestacje trwały trzy dni (bo nasunęła się akurat wolna sobota) i trzeba przyznać, że wolnościowy i pogodny nastrój opanował wszystkich, mimo nawet bałaganu z kartkami na mięso i innych kłopotów. Zadziwiający swoją drogą ten nasz naród: „Jeden tylko jeden cud, z szlachtą polską polski lud!”. Zaś szlachta to w tym wypadku członkowie KC i Rządu, którzy skromnie, z bukietami kwiatów kroczyli po ulicach, bratając się z narodem. Na co im swoją drogą przyszło, tej naszej Nowej Klasie!

Tak więc po wielkich bojach między „Solidarnością” a rządem, kolejno o wolne soboty, o Jelenią Górę i Bielsko, o wydanie bydgoskie, wreszcie o „Solidarność” wiejską (tylko ta ostatnia sprawa miała znaczenie zasadnicze!), nastąpiło *Treuga Dei*, czyli uspokojenie po bitwie. Niepoprawny sceptyk powie, że skoro nie ma chleba, trzeba było zezwolić na igrzyska. Ale nie tylko ludowi były one potrzebne: mają też dużą wagę i dla Partii: Partia musi pokazać Rosjanom, że dogadała się z ludem i dalej mu przewodzi, chociaż w innych formach. Gdyby bowiem



Ruscy doszli do wniosku, że panuje żywiół i lud do czegoś tam Partię zmusza, niewątpliwie wystąpiliby w jej obronie, a wtedy... o jerum, jerum, aż się wszystkim zimno robi. Tak więc kierownictwo Partii, chcąc ratować i siebie i innych, musi robić dobrą, solidarystyczną minę i wołać, że stoi na czele odnowy, wyrzuciło wszakże Gierka, choć z nim długo i bez szemrania pracowało. Pozory są zatem zachowane, one wszakże są najważniejsze, do czasu, aż bomba oddolnej demokratyzacji wybuchnie na samymże „poziomym” Zjeździe Partii. Trzeba to odwlec jak się da i jak najdłużej trzymać fason, zwłaszcza, że dla wybadania klimatu przybył niespodzianie do Warszawy sam Michaił Susłow. Jest w tym jakaś niepokojąca analogia z prywatną wizytą Kosygina w Karlovych Varach wiosną 1968. Brrr!

Wiele osób dopatruje się w ogóle przeróżnych analogii, bo akurat oficyna NOW-a wydała (poza cenzurą rzecz prosta) znakomitą książkę Zdenka Mlynařa „Mróz od wschodu”, o „praskiej wiosnie” i jej smutnym zakończeniu. Podobieństwa są, ale i różnice ogromne: tam kierownictwo Partii usposobione reformistycznie zachęcało niedowierzające początkowo społeczeństwo do liberalistycznej aktywności i w końcu osiągnęło swój cel aż z przesadą. U nas przeciwnie: oddolny, autentyczny ruch społeczny zmiotł ekipę Gierka i zmusił resztę Partii do przyłączenia się do odnowy, ba, do firmowania jej nawet. Partia (czy jej fasada) poszła na to, tłumacząc się przed Ruskimi zawinioną przez Gierka kłeską gospodarczą, głodem po prostu, zagładającym do drzw. Ten gład paradoksalnie ratuje nas przed interwencją i usprawiedliwia Partię — Rosjanie niczym głodem specjalnie się nie przejmują, ale jednak widzą, że to nie „reakcyjna intryga” podzielała, lecz żywiół, czyli siła wyższa. To zmienia interpretację — a interpretacja może być wszystkim — tudzież ocalić niejedną głowę.

I jeszcze jedna spora różnic z sytuacją, opisaną przez Mlynařa: my nie mamy wyraźnego Vasyła Bilaka, który czekałby na Rosjan i ich zapraszał. Może gdzieś taki jest — ale się ukrywa, siedzi cicho, boi się opinii. I Husaka nie ma, ambitnego, czającego się do skoku na władzę. Brak większych indywidualności w Partii — to też paradoksalny ratunek. Wreszcie prasa, choć żywa i odważna, „geopolitycznie” jest rozsądna, a telewizję na pokaz stłumiono, co ludzi wścieka, ale dla Rusów jest dobre: im tu nudniej, tym są spokojniejsi, że nie grozi jakaś wielka awantura.

To by było taktycznie. A merytorycznie? Niestety — znacznie gorzej. Nie widać realnej koncepcji reform — „Solidarność” wprawdzie ogłosiła swe programowe tezy, sympatyczne lecz ogólnikowe, przy tym bez wyraźnych możliwości egzekutywy politycznej: na pewno lepiej się oni czują w charakterze klasy robotniczej, domagającej się od socjalistycznego pracodawcy korzystniejszych praw i warunków, niż jako grupa współzrządzająca. Jakże przy tym ma ona współzrządzić, skoro wszyscy uroczyście uznali

„kierowniczą rolę Partii”? A projekty reform od drugiej strony, od Partii, aparatu władzy, ekonomistów?! Też kuleją — niewiele zrobiono i nie wiadomo, czy chce się wiele zrobić. I czy można, wobec gospodarczego rozprzężenia, upadku współpracy kooperacyjnej, chaosu na rynku. Nawet wydanie prostych zarządzeń, uniemożliwiających panowanie absurdu, nawet przyjmowanie paczek z zagrancy czy usprawienie gospodarki rybnej (złowiona ryba idzie na przemiał wobec braków lądowej infrastruktury), wszystko to pozostaje w sferze niemożliwości, tak jak i dostarczanie zaprenumerowanych pism (!!). Chaos rośnie, zmian nie widać! Trudno dokonywać uczciwej reformy ekonomii w momencie, gdy ekonomia ta praktycznie przestaje istnieć i potrzebne są doraźne, w dodatku niepopularne posunięcia ratownicze, zwalane na barki dotychczasowych praktyków zarządzania, nie upoważnionych w swych posunięciach do wykraczania poza dotychczasowe, konwencjonalne metody, absolutnie nieskuteczne i nie odpowiadające wciąż zmiennej, nowej sytuacji. Zaś najwyżsi kierownicy gospodarki, jak wicepremier Kisiel czy minister Krzak, odgrywają rolę straży ogniowej, łatającej doraźne dziury wynikłe z zadłużenia czy braków importowych, próbując sklejać rozlatujący się „plan” i o żadnej szerszej działalności strategiczno-reformatorskiej nie mają nawet czasu pomyśleć.

Osobliwe: światoburcza młodzież związkowa nadaje ton polskiemu życiu politycznemu, organizacyjnemu, duchowemu, za to sprawu ustrojowo-gospodarcze pozostawiono w rękach starych funkcjonariuszy, czy to uważając je za zbyt trudne i zawiłe, czy też nie chcąc brać odpowiedzialności za sytuację tak zabagnioną. Czyżby więc polska odnowa działać miała jedynie, mówiąc po marksistowsku, w sferze „nadbudowy” duchowo-politycznej, pomijając materialną „bazę”? Byłoby to przyznaniem się do jakiejś zasadniczej niemożności, bo przecież status zarządzania i władania produkcją jest integralną, istotną i decydującą częścią tego systemu, a, jak powiedział Marks, „wolny jest ten, kto posiada środki produkcji”. Któż zaś je posiada, w naszym obecnym bezhołowiu, i któż ma ambicję, żeby je posiadać? Chyba tylko chłopi, najzdrowsza, mało przez kolektywizm tknięta warstwa społeczna w Polsce.

Odnowa bez przemian ustrojowo-produkcyjnych minęłaby się z własnym celem — tak wielki, dokonany przez pracowniczą młodzież wysiłek i przewrót duchowy nie może wszakże być jednostronny, nie może pójść na marne. Polsce potrzebny jest system, który wyzwoliłby energię produkcyjną tkwiącą w społeczeństwie, pozwoliłby działać ludzkiej inicjatywie i twórczej pomysłowości, uwalniając produkcję z więzów biurokratycznego planowania, kierowanego przez dyletantów i doktrynerów. Nowoczesna produkcja wymaga elastycznej zmienności i różnorodności form organizacyjnych, wymaga ciągłego dopływu inicjatyw i pomysłów, wymaga konfliktów i przeobrażeń, a tego właśnie pozbawił ją wschodnioeuropejski, dogmatycznie skostniały socjalizm. Ewolucja w kierunku engelsowskiego „związku wolnych producentów”



jest nieunikniona, Polska, kraj duży i bądź co bądź uprzemysłowiony, ma tutaj do spełnienia misję, może taką, jak w swoim czasie Jugosławia. Oczywiście — potrzeba na to koncepcji, potrzeba sił politycznych, które by tę koncepcję realizowały — czy to w partii, czy poza partią. No i potrzeba czasu oraz zewnętrznego spokoju. Moje więc proroctwo brzmi, że stwórczy zamęt w Polsce — zanim wykrystalizują się nowe siły, nowe elity, nowy ustrój czy system — potrwa dobre parę lat. A czy Rosjanie nie przeszkodzą, czy nie stracą cierpliwości? To zawsze jest zagadka — proszę poczytać książkę Młynarza! Ale u nas jednak sytuacja jest inna, niż wtedy w Pradze, a największe polityczne niebezpieczeństwa mamy już w gruncie rzeczy za sobą, najgorsze rzeczy Ruscy już przełknęli. Za to najtrudniejsze jeszcze przed nami: utrwalić odnowę przez wcielenie jej w nowy kształt ustrojowy i ekonomiczny. Zadanie trudne, ale na pewno nie niemożliwe, zaś innej drogi nie ma!

KISIEL

ZAPRENUMERUJ

## ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dzisiaj, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować **ZESZYTY HISTORYCZNE**.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata w r. 1981 wynosi F. 180 (\$ US 45; \$ Can. 50) a dla prenumeratorów **KULTURY** F. 160 (\$ US 40; \$ Can. 45), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

## Książki

### Zachód w prasie sowieckiej

Porewolucyjny slogan *Pieczat' nasze orużio* („Prasa jest naszym orężem”) jest w Sowietach nadal aktualny i rządzi dobrem informacji, układem i stylem 7.760 gazet ukazujących się w tym osobliwym kraju. „Oręż” ten godzi jednak nie tyle w piersi przeciwnika, co w mózgi własnych poddanych, a więc już nawet w tym krótkim haśle objawia się charakterystyczna „wymijalność” prawdy, cechująca wypowiedzi totalitarne. Sformułowanie to nie jest bowiem całkowitym kłamstwem: ta wulgarna metafora w zamierzeniu swym ma upiększać fakt, że prasa sowiecka pomyślana jest jako instrument agitacji, a nie informacji; „oręż” ten ma więc ten sam charakter, co karabiny maszynowe *specotrijadow*, posuwających się za pędzoną do ataku tyralierą. Praktyczną konsekwencją tego stanu rzeczy jest to, że dokładne przestudiowanie *jednej* gazety może dostarczyć ciekawych informacji na temat osoby wroga, kierunków natarcia i szczegółów taktycznych. Takie założenie przyjął holenderski slawista i historyk William Peter van den Bercken w swej pracy doktorskiej pt. „Obraz Zachodu w prasie sowieckiej”\*, opublikowanej pod koniec ub. roku. Na podstawie analizy *Izwestii* za lata 1970-1979 autor ustalił pewne niezmienniki w sposobie przedstawiania krajów niekomunistycznych na użytek czytelników sowieckich, którym to niezmiennikom warto przyjrzeć się bliżej. Nie są przypadkowe i ujawniają, że dla władających „orężem” prasowym (i nie tylko!), Zachód — cokolwiek by robił, z wyjątkiem bezwarunkowej kapitulacji — jest wrogiem, zasługującym na zniszczenie.

Van den Bercken wydziela w swym materiale cztery grupy tematów (politykę, wiadomości o społeczeństwie, ekonomię i kulturę) i stara się znaleźć „punkt widzenia” *Izwestii* wobec nich.

\* W. P. van den Bercken, *Het beeld van het Westen in de Sovjet pres. Wolters-Noordhoff/Bouma's Boekhuis, Groningen 1980, str. 192.*



Ująłem wyrażenie „punkt widzenia” w cudzysłów, bo w istocie chodzi tu o perspektywę stale zmieniającą się, przechodzącą od nadmiernych zbliżeń (tzn. nieistotnych szczegółów i cyfr, mających sprawiać wrażenie rzetelności i dokładności) do nadmiernych abstrakcji (tzn. ideologicznych ogólników); jedyną rzeczą stałą jest tu wyraźna intencja utrzymywania obrazu Zachodu w złowrogim cieniu. Uderzające jest, że sprzeczności, jakie występują pomiędzy poszczególnymi sposobami prezentacji, nie wydają się dla prezentatorów (czy też: ich mocodawców) żadnym problemem. Niechlujstwo logiczne — podobnie jak w „nowomowie” niechlujstwo składniowe — należy organicznie do tego typu epistemologii dla prostaczków i wyraża w istocie pogardę dla poddanych, którzy *muszą* i tak słuchać.

Przykładów niekoherencji dostarcza szczególnie dobrze dziedzina pierwsza, tzn. wiadomości o życiu politycznym na Zachodzie. Wybory tamtejsze — według *Izwestii* — są zazwyczaj fałszowane lub też stanowią przedmiot manipulacji (jak to ilustruje np. artykuł ze stycznia 1970 o wyborach w Japonii pt. „Wiele mówiące cyfry”), ale równocześnie gazeta ta za każdym razem szeroko rozwodzi się nad nimi, jeśli bierze w nich udział kandydat komunistyczny (choćby to były tylko wybory lokalne — np. w Nadrenii-Westfalii); o jego klęsce nie ma już później wzmianki. Można by taką klęskę interpretować jako przykład pozorności wyborów w krajach demokratycznych w ogóle, ale klóciłoby się to z innym *trick*’iem prasowym, mianowicie stałym podkreśleniem rozdźwięków między rządem a parlamentem; w tego rodzaju doniesieniach rządu zachodnie są zawsze czarnymi owcami, działającymi „wbrew zaleceniom poważnego odłamu (posłów/deputowanych/kongresmanów)”. Nie potrzeba dodawać, że mgliście sformułowane grupy społeczne, takie jak „ogół” (*obszczestwo*), „opinia publiczna” lub przynajmniej jej „szerokie kręgi”, „masy pracujące” („całego świata”, „zachodniej półkuli” czy danego kraju) lub — *faute de mieux* — „koła postępowe” są zawsze przeciw rządowi.

Inną tego rodzaju niekoherencją jest prezentowanie rozmów między politykami dwóch różnych krajów zachodnich jako z reguły nieudanych, „uwydatniających głębokie sprzeczności”, a równocześnie stałe podkreślanie skoncentrowanej akcji Zachodu jako całości („rozpoczęła się szeroko zakrojona kampania oszczerstw...”, „międzynarodowy kapitalizm”, „ideolodzy imperializmu”). Warto zauważyć w tym miejscu, że źródłem wielu chwytów propagandy sowieckiej jest *projekcja* stosunków panujących w komunistycznym imperium na świat zachodni: pomijając już pseudowybory i zorganizowane akcje propagandowe, takie pojęcia jak „mocodawcy polityczni i „skwapliwi wykonawcy” (nie mówiąc o „sługusach” i „lokajach”) nie są pojęciami obcymi dla obywateli sowieckich i półsowieckich. Przymilnie klaszczący Husak, psim wzrokiem oblizujący stojącego obok niego Breżniewa ilustruje to wystarczająco.

Mówiąc z pewnym uproszczeniem, celem idealnym propagandy sowieckiej jest obraz Zachodu jako *jakościowo* podobnego do Wschodu, a *ilościowo* dużo gorszego. Rzekome: korupcja polityczna, militarizm (mój Boże!), brutalność policji, manipulowanie informacją i powszechna indoktrynacja, winny sprawiać na czytelniku sowieckim wrażenie, że *nihil novi sub sole* i nie ma do czego tęsknić. Podkreślają to nawet zdjęcia w prasie: obok częstych zdjęć typu militarnego („soldateska izraelska na okupowanych terytoriach arabskich”, uzbrojeni po zęby żołnierze angielscy w Belfaście, itp.), fotografii pikiet strajkowych i demonstracji (często bez podania dokładnie ich celu, ale ujętych w *collage* zwany „Fotooskarżeniem”) i nudnych zdjęć polityków (zawsze z daleka, zawsze obok odpowiedników sowieckich, zawsze w momencie „podpisywania protokołu” lub „powitania delegacji”) w gazetach sowieckich ukazują się czasem zdjęcia krajoznawcze z jakiegoś kraju zachodniego — z reguły z powodu oficjalnej wizyty jego przedstawiciela w Moskwie. Van den Bercken zwraca uwagę, że zdjęcia te mają zawsze charakter niesłychanie ogólnikowy, typu „jak wszędzie”. Żadnych scen ulicznych, kafejek, szczegółów ubioru; najchętniej jest to jakiś charakterystyczny obiekt architektoniczny (np. wieża Eiffla) ukazany z daleka i stanowiący rodzaj urzędowego symbolu, jak herb miasta.

Na tle tej światowej szarzyzny (o pluralizmie i różnorodności Zachodu wspomina się tylko półgębkiem jako o „dowodzie rosnących sprzeczności kapitalizmu”) jakaż różnica „ilościowa”! *Tam*: strajki, bezrobocie, rozruchy, bandytyzm, tudzież katastrofy kolejowe i lotnicze (o zaginięciu w burzy śnieżnej na Alasce małego samolotu z trzema kongresmanami na pokładzie *Izwestia* podały w październiku 1972 trzy kolejne komunikaty, zawierające imiona i nazwiska zaginionych, ilość ludzi biorących udział w akcji ratowniczej, ilość uszkodzonych przy tym helikopterów i inne szczegóły; o katastrofie samolotu sowieckiego pod Moskwą 13 tegoż października tegoż roku ukazał się (po dwóch dniach) komunikat, stwierdzający tylko, że „komisja rządowa bada przyczyny” i że „pasażerowie i załoga zginęli” [a zginęło 176 osób, co wówczas było światowym rekordem ofiar w lotnictwie cywilnym] — *tutaj* zaś: „kolejny plan rozbrojeniowy”, spokój i rozkwit gospodarczy (zilustrowany np. ogromnym artykułem na temat przemysłu samochodowego w Bułgarii). W dziedzinie politycznej, gospodarczej i społecznej ogólna tendencja propagandowa jest wyraźna: Zachód ma być przedstawiany jako obszar nędzy, spowodowanej kryzysem i masowym (niepotrzebnym oczywiście) zbrojeniem; Wschód koncentruje się na pokojowej gospodarce i ma w niej ogromne sukcesy. Ten obraz podpierany jest często „głosami prasy zachodniej”, przy czym fakt, że chodzi zazwyczaj o organy partii komunistycznych lub maleńkie gazetki gosydzystowskie *nie* bywa podkreślany. Chętnie cytowane są też indywidualne wypowiedzi mniej lub bardziej znanych osobistości, przy czym — ogólna zasada — każdy wypowiadający opinię



prosowiecką prezentowany jest jako *widnyj* lub *krupnyj* działacz czy też specjalista.

Wiadomości o życiu kulturalnym na Zachodzie podawane są skąpawo, przestrzegana jest bowiem ściśle zasada parytetu: o sztuce zachodniej tylko tyle, ile o sztuce sowieckiej na Zachodzie („Ogromny sukces baletu *Bolszoi* w Paryżu!”) Sztuka sowiecka zawsze przyjmowana jest na Zachodzie z entuzjazmem przez szeroką publiczność, choć „wrogie ugrupowania” próbują temu zapobiec; i tak np. występy Moskiewskiej Orkiestry Symfonicznej w Nowym Jorku zostały zakłócone przez demonstrantów Ligi Żydowskiej (o co im chodziło, nie podano), przy czym policja zachowywała się celowo biernie (*Izwestia* podkreślają w tym miejscu brutalność jej wystąpień wobec demonstrantów na rzecz rozbrojenia), ale sytuacja została uratowana przez samą publiczność, która zdecydowanie wystąpiła przeciw „syjonistycznym chuliganom”, dając tym samym „dobrą naukę” policji nowojorskiej. Sztuka zachodnia *tout court* natomiast dzieli się według *Izwestii* (i tonu, w jakim o niej piszą) na cztery kategorie: sztukę nowoczesną („beztreściową”), „gloryfikację zbrodni i wojny”, sztukę socjalistyczną (jest i taka; omawia się ją szeroko) i klasyczną (neutralną).

W książce van den Berckena szczególnie interesujący — w związku z rosnącym zainteresowaniem „nowomową”, *vide* artykuły na ten temat w *Kulturze* i w polskiej prasie nieoficjalnej, a szczególnie: specjalne kolokwium na ten temat zorganizowane przez językoznawców UJ w styczniu br. w Krakowie — jest rozdział IV, pt. „*Sposób myślenia i formułowania*”. Dla czytelnika obeznanego z komunizmem nie ma w tym tekście nic nowego, ale uwagi holenderskiego autora są ciekawe jako przejaw rosnącej wrażliwości zachodniej na sowiecką agresję intelektualną. Dawniej kładziono to często na karb „gorliwości rewolucyjnej”, czyli rodzaj zrozumiętego prymitywizmu dobrego dzikusa, który z czasem sam minie; dziś coraz lepiej widać i tu, że chodzi o zamierzone oddziaływanie, kombinację zastraszenia i wprowadzenia językowego (*Sprachlenkung* w terminologii W. Dieckmanna). Van den Bercken podkreśla, że wszystkie wypowiedzi sowieckie uderzają stylem autorytatywnym, świadczącym o niesłychanej arogancji ideologicznej (por. „jedyne światopogląd naukowy”, gdzie „nauka” użyta jest jako synonim „prawdy absolutnej” [*nota bene* pojęcia typowo pseudonaukowego]). Wszystko co jest sowieckie lub prosowieckie jest „najwyższe”, „jedyne”, „historyczne”, „o światowym znaczeniu”. Już Orwell zauważył że bolszewicy chwalił siebie i swoich w terminach, od których Neron by się zarumienił.

Autorytatywny styl wyklucza dyskusję, chodzi bowiem o *apologetykę* doktrynalną, a nie o dochodzenie do nowych myśli. Z punktu widzenia doktryny sowieckiej nowych myśli nie ma, a jeśli są to są monopolem *naczelstwa*. W tym ostatnim wypadku są one zresztą „rozwinieciem myśli klasyków”, co w odpo-

wiednim momencie zostaje przypieczone odpowiednim cytatem, najlepiej z Lenina (van den Bercken mówi wręcz o „patologicznej leninologii” prasy, a także „filozofii” sowieckiej; trzeba przyznać, że autor miał wyjątkowego pecha, bo jego materiał objął akurat 100-lecie urodzin dzieciątka Lenina). Tak czy owak wypowiedzi sowieckie znają tylko dwie kategorie sądów: *utwierdzenie* (bez argumentów) tez własnych i *obalenie* (dyskwalifikację) tez oponentów. Ponieważ wszystko to odbywa się nie tyle w sferze logicznej, co werbalnej, ten sposób „rozumowania” wy-ciska charakterystyczne piętno na stylu językowym. Słownictwo ma charakter apodyktyczny: tryumfalistyczny („ogromny”, „wielki”, „znakomity”) w odniesieniu do siebie i obelżywy („kłamliwy”, „pseudo-”, „rzekomy”) w stosunku do przeciwnika. To zróżnicowanie widoczne jest nawet w doborze terminów pozornie neutralnych, np. nazw państw i organów władzy. O sobie pisze się: „Kierownictwo Partii i Rządu ZSRR” (nigdy zaś „Moskwa”, „Kreml” czy „Pankow”, tak jak „Washington”, „Biały Dom” czy „Bonn”); choć „Berlin” oznacza tylko wschodni Berlin (termin tabu!), o zachodnich sektorach tego miasta pisze się zawsze „Zachodni Berlin”; czytelnik zna dobrze „Rumuńską Republikę Socjalistyczną”, ale nie „Królestwo Niderlandów” (tylko „Holandię” *sic*). Ta sama podwójna miara stosowana jest wobec polityków zachodnich i własnych; wobec pierwszych stosuje się ton protekcyjno-ironiczny (przy czym im ważniejszy polityk, tym ton ironiczniejszy) z dodatkiem „klasowo” kompromitujących szczegółów z życia prywatnego (np. przy Straussie zawsze wspomina się, że jest synem rzeźnika). O własnych politykach pisze się zawsze z namaszczeniem, stylem nekrologicznym; van den Bercken zauważa, że życie prywatne polityków sowieckich otoczone jest równie gęstą tajemnicą, jak sowiecki przemysł zbrojeniowy.

Przyjrzyjmy się jeszcze kilku chwytom tego procederu. Pewne terminy stosowane są zawsze łącznie („Partia i naród”, „kapitalizm i wojna”), bo ma to sugerować związek logiczny pomiędzy nimi. Stynna nuda tekstów komunistycznych ma za przyczynę m.in. powtarzanie *ad nauseam* wciąż tego samego, przy czym autor pracy zwraca uwagę na umiłowanie tautologicznych zwrotów i synonimów, stanowiących formę repetycji ciągłej („cały naród, partyjni i bezpartyjni, wierzący i niewierzący, ludzie różnych zawodów”...).

W końcowych refleksjach autor, zastanawiając się nad zadaniami całej tej maszyny wyraża opinię, że głównym celem propagandy sowieckiej jest to samo, co już Goebbels sformułował w sławnym zaleceniu: „kłamcie, kłamcie, zawsze coś zostanie!”. Osobiście uważam to za motyw uboczny. Przypuszczalnie najważniejszym zadaniem komunistycznej prasy (i innych środków przekazu) jest blokowanie obiektywnej informacji poprzez jej *pozorowanie* (i stąd też tandetność stosowanych środków). 7.760 niby-gazet z niby-artykułami stwarza sytuację, w której nie da się powiedzieć szybko i prosto, że partia uniemożliwia społeczeń-



stwu zdobywanie wiadomości o świecie; trzeba by dyskutować, porównywać i udowadniać, a w międzyczasie KGB już wyłuska, kogo potrzeba. Król jest wprawdzie nagi, ale jest też otoczony dymem kadzideł i zanim ktoś wykaże, że dym to nie szata, już *popał w turmu...*

Drugim zadaniem jest przekazywanie informacji szczególnego rodzaju. Prasa komunistyczna na Wschodzie istotnie informuje, choć nie o tym *jak jest*, tylko *co należy mówić* na dany temat. Każdy, kto mieszkał w komunistycznym kraju (najlepiej za czasów stalinowskich) i z takich czy innych względów musiał „zabrać głos w dyskusji” na zebraniu w fabryce czy na uniwersytecie wie co mam na myśli. To samo, co miał na myśli Lenin, mówiąc: „*Gazeta to nie tylko zbiorowy propagandysta i zbiorowy agitator, lecz także i zbiorowy organizator*” (Soczinienija, V, str. 11, Moskwa 1958-65; przykra niezgodność rodzajów: „gazeta — agitator” pochodzi od samego autora). Dużo później i prościej ujął to Aleksander Zinowiew w słowach: „Ideologia sowiecka nie wymaga wiary. Wymaga akceptacji”.

Akceptacja oznacza udawanie wiary. Czytelnik *Izwestii* ma u dawać, że wierzy (w co zaś wierzy naprawdę, to dla władz *jerunda*), że na „kapitalistycznym Zachodzie” wszystko wynika z systemu (różnic w strukturze gospodarczej np. Szwecji i Hondurasu jego gazeta nie analizuje), że panuje tam powszechnie nędza, zbrodnia i kłamstwo, celowo podtrzymywane przez garsnkę tajemniczych manipulatorów z Wall Street (*nota bene* mój politruk w Polsce wymawiał „walsztret”), natomiast jego kraj — bogaty, sprawiedliwy i pokojowy — zna tylko lokalne i drobne niedoskonałości (jakaś kradzież, jakieś pijaństwo; szybko się z tym uporamą). Wezwany do zabrania głosu (a jeśli jest ambitny, tzn. chce zrobić karierę, to i niewiezany) wstanie i powie. Wie jak, bo przeczytał w *Izwestiach*. Do tego właśnie służą. Nie do informowania o świecie — co tam świat! — tylko, żeby człowiekowi było dobrze. Bo w sowieckim państwie „nowego typu” największym skarbem jest człowiek, jak powiedział taw. Stalin. *A propos* państwa nowego typu...

Autor omówionej pracy — ponoć żarliwy niegdyś lewicowiec — tak podsumowuje w epilogu swe wrażenia z lektury 3.650 numerów *Izwestii*: „[Związek Sowiecki] *nie jest państwem jak inne; nie tylko nie jest demokracją w potocznym znaczeniu tego słowa, czy choćby 'zwyczajną' dyktaturą lub klasyczną autokracją, ale nie jest nawet państwem totalitarnym w znaczeniu, w którym można by je zestawiać z formą państwową narodowo-socjalistycznych Niemiec. Jest państwem 'nowego typu', mianowicie ideokracją, dyktaturą światopoglądową. Państwo ideologiczne odrzuca racjonalne podejście do ekonomii, niezawiste sądownictwo, obiektywność informacji, samodzielność myślenia, rzeczowe badanie społeczeństwa, formalizację sztuki i neutralną pozycję jednostki wobec państwa. Różnica ze zwykłą dyktaturą polega też na tym, że pod panowaniem dyktatury ideologicznej*

*obywatele nie tylko nie posiadają określonych demokratycznych praw, ale zmuszeni są ponadto mówić, że właśnie je mają w postaci doskonałej”.*

Jednym z nich na pewno jest prawo do informacji, także o Zachodzie.

M. BRONSKI

## W poszukiwaniu samego siebie

Czy leży w mocy człowieka możliwość samookreślenia, ustalenia własnej tożsamości, odkrycie i opisanie swojego „ja”? To pytanie jest centralnym tematem nowej powieści Michała Moszkowicza „Punkt zero”<sup>\*</sup>.

Powieść napisana jest w formie monologu bezimiennego narratora, który za poradą lekarza spisuje na pozór beładnie fragmenty swego życia, aby się w tym pisaniu odnaleźć i określić. Narrator jest pisarzem, i Moszkowicz nie przypadkiem sytuuje swą książkę w tradycji literackiej, w której postać narratora-szaleńca (a tak bez wątpienia należy odczytać jej bohatera) symbolizuje artystę, różniącego się od reszty ludzi, przeciwstawionego lekarzowi, reprezentującemu kryteria normalności. Narrator „Punktu zero”, szaleniec-artysta, jest w społeczeństwie ludzi normalnych naznaczony znamiem „inności”, które stara się opisać i przeanalizować, poszukując jednocześnie własnej tożsamości. Czyni to w trójwarstwowej narracji powieści, gdzie pierwszą warstwą jest sam narrator spisujący swój monolog, drugą — opisaną w nim podróż ze Sztokholmu do Kopenhagi z postojami u kuzyna i przyjaciół, trzecią — daleka podróż w czasie: wspomnienia z dzieciństwa, wieku dojrzewania i studiów w Polsce, oraz ostatnich lat spędzonych na emigracji w Szwecji. Te trzy warstwy ustawicznie się na siebie nakładają, mieszają się i zlewają, tworząc jednolitą całość, której spoiwem jest temat książki: problem samookreślenia, kontroli samego siebie jako całości.

Z treści książki wynika, iż ten problem określenia swego „ja” towarzyszy narratorowi od wielu lat. Trapiony brakiem jakiegokolwiek rozwiązania, zanurza się on w końcu w narrację, aby w wyprawie w przeszłość, i równocześnie z nią podjętej podróży do obcego miasta, znaleźć odpowiedź. W związku z wyrwykową naturą opisów wspomnień trudno jest powieść Moszkowicza streścić, nie redukując jej do kilku prostych faktów: jej bohater, urodzony w czasie wojny w Rosji, gdzie jego rodzice schronili się po hitlerowskiej inwazji, przybywa jako dziecko do Polski, i tu kończy szkołę średnią i zapisuje się na studia uniwersyteckie. W wieku dojrzałym emigruje do Szwecji, osiedla się w Sztokholmie, gdzie żyje z żoną Polką i pracuje w drukarni, a także publikuje kilka powieści. Tu powracają ataki szalenstwa, które rozpoczęły się jeszcze w Polsce, i stąd wyrusza w podróż

<sup>\*</sup> Michał Moszkowicz, *Punkt Zero*. Poets' and Painters' Press, Stockholm - London, 1980.



do Kopenhagi. Podobne streszczenie zubaża jednak niesłuchanie treść powieści, zarysowując tylko jej ramy.

Temat ma wielowiekową tradycję w literaturze i filozofii; w naszych czasach Jean-Paul Sartre określił człowieka jako istotę, której istnienie charakteryzuje się pragnieniem zdefiniowania samego siebie, bycia swym własnym twórcą, jednym słowem — chęcią zajęcia miejsca Boga. Jednocześnie pragnienie to jest z góry skazane na niepowodzenie. Narrator Moszkowicza jest bliski tak naszkicowanemu człowiekowi, i także w jego wypadku zrozumienie własnej niemocy nie jest dla niego od początku oczywiste; bohaterowi „Punktu zero” odślania się ono w trakcie owej podróży. Przedtem jednak powieść ilustruje jego zmagania ze wspomnieniami z przeszłości, kiedy to rozumiany i widziany był inaczej niż tego chciał. Moszkowicz doskonale maluje portret rodziny narratora, oraz wypadki narzucania mu „inności”: ludzie z zewnątrz nazwali go Żydem, mimo że sam nie poczuwał się do tego typu identyfikacji; w szkole określano go imieniem Ruska, przeciw czemu musiał ciągle walczyć; to znowu negowano wizerunek przykładowego komunisty, który sobie stworzył i któremu gotów był się poświęcić. Bezustannie narzucano mu inne, obce oblicze, co spowodowało serię pobytów w zakładzie dla nerwowo chorych. Widziany i rozumiany był inaczej niż tego chciał, albo na skutek przypadku, albo z woli innych, i często zmuszony był grać obce role, jak np. rolę obłąkanego. „Czego się bałem najbardziej to tego, że inni w najlepszej wierze zrobią ze mnie szaleńca” —owiada. Sądy że jest lub powinien być kimś innym, a także pragnienie posiadania innej osobowości towarzyszyły mu przez lata, i w narracji opisuje wiele tego typu sytuacji dotyczących zarówno jego samego, jak i innych ludzi, na dowód, że niemożliwość zdefiniowania własnego „ja” jest ogólnoludzką chorobą. Wszystkie te zmagania znajdują kulminację w podróży do Kopenhagi, podczas której po wielu niepowodzeniach przychodzi olśnienie: punkt zero, moment możliwości samozaprogramowania, zostania swym własnym autorem. Olśnienie to powoduje szaleńcze wizje i plany, euforia jednak nie trwa długo, przychodzi po niej zwątpienie i zrozumienie iluzoryczności pomysłu. Nie przypadkiem podróż jest zamkniętym kołem. Przyczynia się jednak do zrozumienia problemu: „Czy przekroczyłem rzeczywiście punkt zero? Czy w ogóle ktokolwiek jest w stanie go przekroczyć? Można się do niego zbliżyć przez zrozumienie samego siebie, swojej przeszłości, swojego ciała, swojego miejsca w świecie. I wędrować w poszukiwaniu, tylko wędrować”.

O jego tożsamości, tak jak o obliczu każdego człowieka, decydowali inni, a on bez ustanku znajdował się w zasięgu ich władzy. Czy był szaleńcem? Szaleństwo, według Michela Foucault'a, zdefiniowane jest przez ludzi uważających się za normalnych; to nie my decydujemy czy jesteśmy warietami, ale inni. „Chciałem być tylko sobą” —owiada narrator przed zrozumieniem bezsensu tego zdania. Jakże mógł nim być, gdy lekarz, do którego zwraca się w powieści, wpisany jest w jego własny monolog, w jego własny głos, istnieje w nim samym będąc równocześnie nim i kimś zgoła innym? Zrozumienie tego powoduje, że pomiędzy dwoma aspektami własnej tożsamości narrator pozostaje niepewny kim właściwie jest: czy tym za kogo chce się uważać, czy tym za kogo biorą go inni. Dlatego rezygnuje w końcu z poszukiwania tożsamości, rozumiejąc cel wieczystej wędrowki, i czuje się w pewnym sensie podwójny, nie wiedząc czy jego „ja” należy do niego, czy do kogoś innego. Ale ten Inny jest zawsze koło niego, bliski, znajomy: to już nie jest inny, to on sam.

„Jestem jednym z tych, którzy szukają drogi do samego siebie. I to jest moja wina” —kończy swój monolog narrator „Punktu zero”. Szukanie własnego, jednolitego „ja”, drogi do samego siebie jest błędem, gdyż tożsamości nie znajdziemy; z drugiej jednak strony rozpoczęcie takiego

poszukiwania może pomóc w zrozumieniu jego bezcelowości. Tożsamość jest nam narzucona jak gombrowiczowska gęba. Nigdy nie zdołamy jej określić, tak jak nie możemy zniszczyć czy wyeliminować spojrzeń innych, które robi z nas to czym być musimy.

„Punkt zero” jest trzecią powieścią Michała Moszkowicza, i obok „Paradyzu” i „Moribus peregrinorum” stanowi bez wątpienia bardzo interesujący utwór w dorobku tego pisarza; jak też ważną i ciekawą pozycją w literaturze emigracyjnej.

Bronisława KARST

## O krytyce Wita Tarnawskiego

Ostatnia książka krytyczno-literacka Wita Tarnawskiego — „Od Gombrowicza do Mackiewicza” — stanowi dla czytelnika krajowego zjawisko tyleż interesujące, co egzotyczne. Najpierw o egzotyce.

Krytyka literacka w kraju — nie licząc rzadkich wyjątków — jest interpretacją literatury poddaną silnej presji „tendencji”. Używam cudzysłowu dlatego, że: po pierwsze — tendencji tych jest wiele; po drugie — stanowią one jakby odbicie sytuacji (nienaturalnej) w jakiej od lat prawie 40 funkcjonuje pisarstwo krajowe. Toczy ono trudny spór o wielość sposobów widzenia świata, o możliwość pełnej prezentacji faktów. Temat, tworzywo jest tu czymś niezwykle istotnym. Na plan drugi schodzi więc problem artystycznego kształtu utworu, jego funkcja czysto estetyczna. Krytycy stają się towarzyszami broni pisarzy w walce o temat — forma pozostaje na ogół w gestii krytyki akademickiej.

Wit Tarnawski, nie będąc wcale krytykiem typu akademickiego — przeciwnie: jest to krytyk bardzo osobiście i żywo reagujący — skupia swą uwagę przede wszystkim na problemach formalnych. Nic w tym zresztą dziwnego u kogoś, kto wiele lat pracy zarówno interpretatorskiej jak translatorskiej poświęcił jednemu z największych mistrzów formy — Conradowi. Skupia przy tym autor uwagę na trzech pisarzach: Gombrowiczu, Mackiewiczu i Vincenzie. Szkoda, że nie poświęcił — pozostając przy prozie — miejsca na omówienie jeszcze jednego, Herling-Grudzińskiego: w tej twórczości problem estetycznej składni utworu jest bodaj najdobitniej widoczny; Gombrowicz stworzył z formy problem, Herling-Grudziński ma intuicyjne wyczucie tego zagadnienia, choć go nie eksponuje tak silnie.

Nadto: byłoby interesujące, gdyby Tarnawski podjął próbę odczytania świata współczesnej literatury krajowej — takie spoj-



rzenie z dystansu na jej problemy na pewno pozwoliłoby dostrzec szereg zjawisk niemożliwych do pochycenia dla krytyków krajowych. A jest to końcu czym się tutaj zająć: Konwicki, obaj Brandysowie, Andrzejewski, Bocheński — by pozostać przy paru tylko nazwiskach wybitnych prozaików. Serdecznie do takiego spojrzenia namawiam autora: jego doświadczenie interpretatorskie jest bowiem tego rodzaju, iż pozwala dostrzegać to, co najbardziej interesuje w lekturze szeregowego czytelnika, nie zaś tylko zawodowca. Może właśnie spojrzenie z zewnątrz uzmysłowi naszym pisarzom ich sytuację bardziej precyzyjnie niż mogą to uczynić Barańczak czy Błoński uwikłani przecież w te same zależności co ich bohaterowie.

Oczywiście — uwagi o tym czego w książce Tarnawskiego nie ma są li tylko uwagami na marginesie lektury, nie dotyczą wartości tomu. A jest to tom bardzo nierówny. Tarnawski bardziej się sprawdza jako interpretator konkretnych utworów niż jako krytyk uogólniający swoje doświadczenia w artykułach *quasi*-teoretycznych czy programowych: tutaj swoista „naiwność” jego interpretacji, funkcjonalna w analizie konkretnych utworów, prowadzi często do zbyt uproszczeń — to zresztą cecha wszelkiej krytyki bardzo osobistej, opartej na bezpośredniości odczuć. Niemniej właśnie dzięki tej bezpośredniości czytelnik otrzymuje od Tarnawskiego coś, co w krytyce operującej rozbudowanym aparatem opisowym zdarza się bardzo rzadko — jednoznaczne sądy wartościujące. Zbyt często bowiem zdarza się ostatnio, iż po przeczytaniu recenzji wiem co prawda o czym mówi omawiany utwór, wiem jak jest zbudowany, nie wiem jednak czy krytyk książkę chwali, czy gani. A w końcu wydanie takiego sądu jest jego podstawowym obowiązkiem wobec czytelnika. Z tego obowiązku Tarnawski wywiązuje się bez zarzutu.

Jednym ze szkiców, który mnie szczególnie w książce Tarnawskiego przyciągnął jest analiza twórczości Stanisława Vincenza. Powiem dlaczego: otóż szkic ten pozwolił mi się w pełni zorientować w rozmiarach dzieła tego wybitnego pisarza. Zdołałem jedynie we fragmentach poznać „Na wysokiej połoninie” — by ją przeczytać, trzeba na to po prostu znaleźć — podobnie jak na czytanie Prousta — dość czasu i spokoju. To bogate i wielowarstwowe dzieło wymaga od czytelnika wyłączonej, niepodzielności. Czas dzisiejszy nie sprzyja podjęciu tej lektury z należną jej uwagą. Szkoda. Ale tym bardziej cieszy, że znalazł się krytyk, który przybliży ten wielki utwór czytelnikowi. Wiem co prawda, że nie należy czerpać wiedzy o literaturze z drugiej ręki — wierzę też, że wreszcie będę mógł Vincenza w całości przeczytać — ale czasami bywamy na to po prostu skazani. I tu trzeba podkreślić fakt, iż sprawozdanie Tarnawskiego nie tylko daje pojęcie o ogromie przedsięwzięcia Vincenza, ale przekonująco dowodzi, iż należy ono do absolutnie podstawowego kanonu polskiej literatury współczesnej.

Krytyka Tarnawskiego, stanowiąca rodzaj dziennika lektury — tak zresztą wprost się dzieje z omówieniem „Kosmosu” Gom-

browicza — ma jedną zaletę podstawową: w sposób jasny i rzeczowy eksponuje problem w danym dziele dla krytyka najistotniejszy, przy czym jednak nigdy nie redukuje utworu do tego tylko problemu. Zachowanie tej równowagi jest na ogół dość trudne. Skłonni jesteśmy raczej zajmować się wyłącznie zagadnieniami dla nas interesującymi abstrahując od pozostałych spraw. Dzieje się tak zwłaszcza w okresie ostrych dyskusji społecznych, w których literatura redukowana jest przez krytykę niemal wyłącznie do swych funkcji światopoglądowych. Tarnawski nigdy nie zapomina o jedynym właściwym punkcie odniesienia — wydobyciu funkcji estetycznej. Tego typu krytyk nigdy więc nie zajmie się utworem, którego nie może traktować jako dzieło sztuki — po prostu tego typu zjawiska go nie interesują.

Te wysokie wymagania wobec literatury usuwają jednak z pola widzenia krytyka szereg książek, które mają wpływ na kształtowanie się literackiej świadomości epoki, mimo iż same do literatury raczej nie powinny być zaliczane. W tym kontekście wydaje się, że eksponując rolę literatury w kształtowaniu świadomości człowieka Tarnawski jakby stroni od czynnika literaturę dopełniającego — życia. Z tego też względu jego eseistyka, nie będąc krytyką literacką typu akademickiego, jest jednak swoiście „skażona” postawą artystowską. Ująłem słowo w cudzysłów, gdyż w gruncie rzeczy nie traktuję tej postawy negatywnie. Przeciwnie — wydaje mi się, że jej nieobecność w życiu literackim bardzo to życie zubaża. Co jeszcze nie oznacza, że się z tą postawą utożsamiam. Raczej wolę typ krytyki „socjologizującej”, umieszczającej utwór nie tylko w literackim, lecz również szeroko pojętym kontekście społecznym. Krytyka uprawiana przez Tarnawskiego wydaje mi się zbyt mało dynamiczna, zbyt mało w niej zaciętości w obronie własnych racji. Nie „zniżając” się do zjawisk sobie niemiłych stanowi coś w rodzaju wybierania rodzynek z zakalcowatego ciasta. Jest to postawa trochę naiwna, trochę staroświecka. Naiwność może być wspólnym narzędziem operacji krytycznych. Staroświeckość może krytyce przydawać rzadko już spotykaną aurę rozsmakowania w literaturze: zauważmy — dziś nikt się już w sztuce nie rozsmakowuje! Tak też jest, gdy opisuje Tarnawski twórczość Vincenza, Gombrowicza czy Mackiewicza. Ta postawa jednak okazuje się zawodna w próbie zbudowania własnej teorii krytyki (szkic „Credo krytyka” i inne).

I na koniec kilka uwag w sprawie niezmiernie ważnej. Dotyczy ona poczucia kryzysu w prozie współczesnej. Pisze o tych problemach Tarnawski w szkicu „Dokoła zagadnień nowoczesnej powieści”. Czytamy tam: „Wśród wielu prób, jakimi usiłuje ratować się od uwiądu powieść współczesna, śledzę ze szczególną uwagą pewien jej rodzaj, który nazwałbym powieściową odmianą znanej od dawna formy literackiej — przypowieści”. Byłbym skłonny także w przypowieści upatrywać obecnie możliwość ewolucji prozy. Nie znaczy to jednak, bym jak Tarnawski podzielał wyrażony w tym samym szkicu pogląd o „wiednięciu”



powieści, a także bym uznawał monolog wewnętrzny za „bękart psychoanalizy”. Po prostu wydaje mi się, że technika pisarska, niezależnie od tego jaki jest rodzaj, spełnia swoje funkcje wówczas gdy użyta jest celowo i gdy nie czyni się z niej recepty na wszystko. Monolog wewnętrzny nie jest wszechogarniającym rozwiązaniem, jest natomiast narzędziem, którym można się z powodzeniem posługiwać dla określenia sytuacji bohatera — byle nie uznać tego za jedyny sposób. To samo dotyczy formuły przypowieści. Ma ona tę zaletę, iż potrafi godzić konkret z symbolem. Jednak i ona nie jest w stanie rozwiązać wszystkich problemów. Pisarz musi cierpliwie ważyć dane mu formy i techniki w poszukiwaniu nowego spojrzenia na otaczającą go rzeczywistość. Spojrzenie to jednak nie może być tylko popisem artystycznych umiejętności — ma stać się próbą zrozumienia własnej sytuacji, techniką stawiania pytań o sens ludzkiego życia. I tu — myślę — mimo wielu różnic zgodzimy się z Tarnawskim.

Krzysztof ZAWRAT

## „Druka runda”

Na stronie tytułowej czytam: „Uporządkowanie i wstęp Jurija Szeweljowa”. A oto pierwsze zdania wstępu, zatytułowanego „Spoglądając wstecz”: „Działalność Jurija Szerecha skończyła się w roku 1956. Minęło dwadzieścia lat. To już należy do historii”. Dowcip polega na tym, że Jurij Szerech to pseudonim Jurija Szeweljowa. Wstęp stanowi zatem swoistą maskaradę. Szeweljow uśmiercił swego *alter ego* i po dwudziestu latach wydał jego eseje na tematy literackie, teatralne, ideologiczne pod pseudonimem, którego przestał używać.

Układ książki nie przestrzega kolejności chronologicznej. Na przykład pierwszy esej o biskupie i pisarzu z XVII wieku, Łazarzu Baranowiczu, napisany został jeszcze we Lwowie, w roku 1943, zaś drugi esej — w Nowym Jorku w roku 1956. A potem artykuł o Łesi Ukraince także z roku 1943, a zaraz przeskakujemy do Monachium: już pierwszy etap emigracyjny, już rok 1948. Autorowi chodziło o pokrewieństwo tematyczne, a nie o chronologię.

Autora interesuje przede wszystkim człowiek i jego przemiany

\* Jurij Szerech, „Druka runda”. Literatura. Teatr. Ideologie. *Suczasnist'* 1978.

duchowe i moralne. A że chodzi mu o osadzenie tego człowieka w konkretnych warunkach społecznych i politycznych, pisze o Ukrainie, która jest zawsze obecna i której rzeczywistość kształtuje i określa wybranych bohaterów. Nie znaczy to, aby „Druka runda” miała być książką polityczną. Nie było to zamierzeniem Szeweljowa-Szerecha. Ale rzadko kiedy udaje mu się akcentów politycznych uniknąć, podobnie jak kultura narodu ukraińskiego, będąca głównym tematem książki, nigdy nie była w stanie oderwać się od polityki. I tak oto dochodzimy do jednego z najważniejszych motywów, nad którymi zatrzymuje się pióro Szerecha: do nienawiści. W przedmowie zacytowane jest zdanie Sołżenicyna: „Nikt nie płakał — nienawiść dusi łyż!”. A oto krótki komentarz Szeweljowa: „Mówi o Estończykach, ale w takiej samej mierze powiedzenie to stosuje się do wszystkich innych narodów, które znalazły się w pazurach rosyjskiego nietoperza”.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego Szeweljow w swojej przedmowie twierdzi, że ukraińska literatura emigracyjna kwitła bujnie w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, a następnie tak jakby przestała w ogóle istnieć. Oto zaskakująca opinia: „Naturalnie, od czasu do czasu pojawiają się powieści i poezje różnych pań, które w dawnych, dobrych czasach wypełniały swój wolny czas haftowaniem albo robótkami na drutach, zaś obecnie ciągną do pióra. Ale z literaturą to ma niewiele wspólnego...”. Przesadnie pesymistyczna ocena! Gorzej, że nie tylko poszczególne opinie, ale cały wydzźwięk książki jest zdecydowanie pesymistyczny.

Ołeh Olżycz napisał kiedyś świetny wiersz o dobie „okrutnej, jak wilczyca”. Przełożyłem go jeszcze przed wojną. Szerech uznał, że to jedynie „piękny frazes; echo romantycznej pozy”. Bo — tu muszę przytoczyć dłuższy cytat — „wilczyca jest okrutna fizjologicznie: kiedy czuje głód, albo nie straciła nadmiaru życiowej energii. Cóż wspólnego ma z tym okrucieństwo naszych dni? Naturalnie, w systemie sowieckich i niemieckich obzów koncentracyjnych można znaleźć sadystów, ludzi osobiście okrutnych. Ale czy tak wiele od nich zależy? System nie zmieniłby się, gdyby ich zastąpić ludźmi porządnymi, czy nawet dobrymi. Bo to jest system — funkcjonalny system. Śledź trafia do beczki, do tnącej go maszyny, do błyszczących blaszanek na konserwy. Co tu ma do rzeczy okrucieństwo? Czyje? Rybaków, robotników, maszyn? Nie, to wina systemu, w którym wszystko ma swoją funkcję i jej służy. Humanitarny rybak czy robotnik w zasadzie nie różni się od sadystów. Droga śledzia została wyznaczona tak samo jak droga rybaka, robotnika i noża w maszynie. To nie biologia, nie uczucie, nie żądza, nie charakter, to funkcjonalny system i tylko on dyktuje”.

Szerech ma sporo racji, ale popełnił zasadniczy grzech: nie zauważył, że człowiek jest elementem twórczym, który potrafi, gdy stanie przy konwojerze mu się uprzykrzy, rozwalić wszystkie maszyny i porozrzucić wszystkie mutry, wraz z całym funkcjonalizmem, wyjść na świeże powietrze i skończyć z potwornym snem, przez niego samego stworzonym. Zresztą Szerech co raz



to wpada w sprzeczności. Na jednej z następnych stron przyznaje, że złodziejstwo i spekulacja, rozpowszechnione w funkcjonalnym systemie, stanowią „jedyną poprawkę do nieubłaganego mechanizmu systemu”. I dodaje: „Złodziej i spekulant to w dzisiejszych czasach jedyni ludzie walczący o indywidualne prawa człowieka”. Już byłbym skłonny zgodzić się, choć z poważnymi zastrzeżeniami, gdy na następnej stronie czytam szokujące zdanie: „Spekulanci, złodzieje, wolny człowiek — to wszystko nieboszczycy. To nawet nie prognoza, to już tylko konstatacja”.

Jedna z jego wcześniejszych prac nosi znamienity tytuł: „Myśli przeciw prądowi” (Ulm, 1948 rok). To postawa godna pochwały, ale kryje w sobie liczne niebezpieczeństwa. Największe z nich: poszukiwanie oryginalności za wszelką cenę. Weźmy choćby jego słuszną w zasadzie walkę z prowincjonalizmem w kulturze ukraińskiej, walkę z Pacykowem.

Otóż nazwę tej halickiej dziury otrzymała także grupa „wisnykiwców”, czyli ludzi skupionych przy czasopiśmie, wydawanym we Lwowie przez wybitnego publicystę Dymitra Doncowa. Dostało się przy tej okazji także takim osobistościom jak historyk Hruszewskij, profesor Smal-Stoćkyj czy poeta i publicysta Jurij Łypa. Wszystkich postawił do kąta, deklarując: „Wisnykiwstwo to była agresja Pacykova. To była próba przy pomocy skoncentrowanej woli ufundowania Pacykova w świecie, odgrodziwszy go od tego świata... Próba prowincji przeciwstawienia się światu, podnosząc swój prowincjonalizm do rangi najwyższej świętości...”.

Przepraszam, ale to znowu nie tak. Wolno przeciwstawiać się Doncowowi i jego publicystyce, ale powyższa charakterystyka jest zdecydowanie krzywdząca. Na pewno „doncowszczyzna” wychodziła daleko poza miedzę rodzinnego Pacykova, czyli ukraińskiej parafiańszczyzny, choć niekiedy Szerech całkiem precyzyjnie określa jej zasięg. Ale robienie z takich poetów jak Jurij Łypa czy Jewhen Małaniuk ciasnych parafian jest niesłuszne. Żaden z wymienionych w przytoczonym cytacie nie był plebanem żadnej ukraińskiej parafii.

Przykład z „romantyczną wilczycą” Ołeha Olżycza jest także chybiony.

Natomiast godne pilnej uwagi są opinie Szerecha o wpływie państwa rosyjskiego na rozwój politycznej myśli ukraińskiej. „Szansa Ukrainy — to znowu z książki Szerecha — polega na tym, że znajduje się przy bityj drodze. Że jest zarazem Europą i Azją. Nasza kultura brała w siebie elementy z dwu stron świata. Było wiele wpływów i połączeń orientalnych i należy je wydzielić, nauczyć się ich, podkreślić. Trypole i Iran. Szcypionka bizantyjska także szła od Wschodu. Spengler uważa kulturę Bizancjum za arabską. „Słowo o połku Ihora” związane jest nie tylko z normandzkimi sagami i pieśnią o Rolandzie. Związane jest również z Biblią i epejami wschodnimi. Zbrodnia Rosji polega nie tylko na tym, że oderwała nas od Europy. Oder-

wała nas także od Wschodu. Wychowała nie tylko eurofobię, ale również — pogardę dla Wschodu”.

Brak świadomości, że Ukraina znajduje się na kulturalnym skrzyżowaniu dróg, Szerech przypisuje prowincjonalizmowi, czyli wszechobecnemu Pacykowowi. Jest w tym pewna racja, ale nie całkowita. Szerech lubi zbyt generalizować. Zastanawiając się nad tym, co Ukraina jest w stanie dać ludzkości, pisze co następuje: „Tradycja Ukrainy, jaką może ona wnieść do współczesnych czasów, to — określając umownie — tradycja odwiecznej ludowości, w rozumieniu nie klasowym, lecz duchowym. Jurij Łypa formułował to, że tak powiem, poza czasem i przestrzenią. 'Jesteśmy rasą, której przeznaczeniem jest wyzwolenie i utrwalenie wolnego i możnego włościactwa — na Ukrainie i w jej otoczeniu'. Formuła ta, jeżeli ją brać dosłownie, brzmi utopijnie i nierealnie. Co więcej, w takim ujęciu formuła obejmuje historię Ukrainy od Trypola do... kolektywizacji. Nie dalej. Bo kolektywizacja oznaczała śmierć wolnego i możnego włościactwa, jako gospodarczego i społecznego elementu”.

Wracając do głównego tematu książki, stwierdzić trzeba, że hasło Szerecha, aby z „futoriańskiego marzyciela zrobić człowieka czynu” zasługuje na pełne uznanie. Nie jest to hasło oryginalne, ale zostało postawione w sposób oryginalny, choć często zbyt krańcowo, a więc mylnie. Konkretny przykład. Pisze Szerech z całą słusnością, że „duma narodowa to korzeń i podstawa wszystkiego”. Ale potem daje przykłady, świadczące właśnie o typowo prowincjonalnej pysze, a nie o narodowej dumie. „Myśl, że Szewczenko, wiadomo, jest wielkim poetą, ale Puszkina czy Mickiewicza są więksi, to brak narodowej dumy”. Tu nagle z pogromcy prowincjonalizmu wylazła właśnie prowincjonalna pycha czyli nieszczęsny Pacyków. To zupełnie tak, jak gdyby Polacy oświadczyli, że dramaty Słowackiego nie ustępują Szekspirowi, zaś Sienkiewicz posiada najwyższą rangę powieściopisarską.

Taras Szewczenko był niewątpliwie geniuszem, prorokiem, odnowicielem narodowej świadomości, słupem granicznym na ukraińskiej drodze rozwojowej, ale wysuwanie go przed Puszkina i Mickiewicza jest po prostu niepoważne. Nie miał kulturalnego zaplecza, był samoukiem i umarł przedwcześnie. Owszem, żył czterdzieści siedem lat, ale jakież to było życie! Miał 24 lata, gdy został wykupiony z poddaństwa, potem spędził dłuższy okres jako zwykły żołnierz w twierdzy zakaspijskiej, gdzie nie wolno mu było ani pisać, ani malować. Padł ofiarą jednej z wielu moskiewskich zbrodni. Nikt nie wie, do czego by doszedł, gdyby urodził się i wychował w normalnych warunkach. Od pierwszej chwili był orłem o przetrąconych skrzydłach. Nie jego wina, że się nie rozwinął do swobodnego, orlego lotu.

Swego czasu ogłosiłem w paryskiej *Kulturze* dłuższy artykuł o Szewczenku, w którym postawiłem sprawę jasno. Był talentem na najwyższą miarę, ale nie mógł go w pełni wykorzystać. I nie ma w tym nic wstydliwego, że ukraińska poezja zdobyła się już



w kilkadziesiąt lat później na większe od szewczenkowskich osiągnięcia artystyczne. Niech tu padną nazwiska Maksyma Rylskiego, Jewhena Małaniuka, Ołeha Olżycza...!

Natrafiamy u Szerecha i na taką osobliwość jak twierdzenie, że „ukraińska mowa jest bliższa słowackiej, niż polska”. *Curiosum!* Języki czeski, słowacki i polski (także zanikający łużycki) stanowią wspólną grupę zachodnio-słowiańską; ukraiński należy wraz z rosyjskim i białoruskim do grupy wschodniej. Więc?

Wreszcie muszę zwrócić uwagę na to, co Szerech napisał tu i ówdzie o Polsce (np. str. 371). Cytuję: „Pogardę do Mongołów, Semitów i Finów pożyczylimy od Moskwy. Naiwną teorię o naszej historycznej roli jako przyłbicy Europy od Wschodu pożyczylimy od Warszawy. W Polsce teoria ta miała cień racji, bo Polska to najbardziej wschodni kraj katolicki (ale tylko cień!). Ale i tam jest śmiechu warta. Przypomnijmy, że w „Krzyżowcach” Zofii Kossak-Szczuckiej dwaj polscy rycerze zwalczają niewiernych pod Antiochią i w ten sposób przesądzą o wyniku wyprawy krzyżowej, losach Europy i świata. Nawet tam, pod Antiochią! Prowincjonalna pycha narodowa jest zawsze śmieszna, a w wyniku — same katastrofy. Czy należy przerzucać stronicę polskiej historii?”

Owszem, ale należy to czynić w sposób poważny i bez tanich złośliwości. Szerech lubuje się w rzucaniu na papier efektownych zwrotów, za którymi zbyt często czai się pustka. Tamci dwaj polscy rycerze i ich drużyny przyczynili się do wygranej pod Antiochią, ale nie odnieśli zwycięstwa sami. Ponadto owa bitwa pod Antiochią nie przesądziła o losach Europy i świata, najwyżej o przedłużeniu pobytu krzyżowców w Azji. Nie było więc powodu, by Kossak-Szczuckiej zarzucać pychę narodową. Natomiast o losach Europy (i zapewne świata) przesądziły dwa oblężenia Wiednia i obydwie bitwy pod Chocimiem. W pierwszej z nich (w roku 1621) brali, jak wiadomo, skuteczny udział także Kozacy Konaszewicza-Sahajdacznego. To są wielokrotnie stwierdzone fakty historyczne, a nie ich „cień”, jak tego chce Szerech.

Chciałbym zadać jeszcze parę pytań. Kiedy i gdzie Niemcy powstrzymywali najazdy Tatarów, o czym Szerech napisał na tej samej 371 stronie? Symboliczny udział nielicznych pocztów krzyżackich w bitwie pod Legnicą czy w wyprawie Wielkiego Xięcia Witolda na Lewobrzeże (klęska nad Worskłą) do takiego twierdzenia nie uprawnia. Także obecność ukraińska w bitwie pod Grunwaldem była bardzo skromna (trzy chorągiewki: Kijowska, Brzeska i Krzemieniecka). Chyba, że pułki smoleńskie, które się dzielnie skrwawiły w pierwszej fazie bitwy, uznamy za ukraińskie. Białorusini będą protestować i chyba nie bez racji. A nieboszczyk Iłowajskij zapewne przewróci się w grobie, bo przecież te pułki smoleńskie uznał za rosyjskie. No, ale to był jeszcze wiek XV i rusyfikacja Smoleńszczyźnie na razie nie zagrażała. Przyszła znacznie później.

Józef ŁOBODOWSKI

## „Columbia Dictionary of Modern European Literature” i Polska

W 1972 roku, w dwadzieścia pięć lat po ukazaniu się pierwszego „Columbia Dictionary of Modern European Literature”, wydawnictwo Uniwersytetu Columbia podjęło pracę nad przygotowaniem wydania drugiego. W grudniu 1980 roku ten ponad 900 stron liczący tom ukazał się drukiem. W tym długim, bo aż osmioletnim okresie przygotowania drugiego wydania następowy przerwy nie zamierzone przez wydawnictwo, spowodowane najpierw trudnościami finansowymi, później w 1977 śmiercią naczelnego redaktora, Jean Alberta Bédé. Dopiero w latach 1978-1979, po objęciu redakcji głównej przez Williama B. Edgertona, rozpoczęły się końcowe prace redakcyjne nad napisanymi kilkanaście lat wcześniej hasłami. Przysporzyło to redaktorom poszczególnych działów niemało kłopotu, hasła wymagały uaktualnienia, długi okres niepewności nie pozwalał na zamawianie haseł brakujących, pojawiły się nowe nazwiska pisarzy, które należało uwzględnić.

W większości przypadków udało się z kłopotów wybrnąć, ale nie ulega wątpliwości, że niektóre ominięcia czy dysproporcje, nie do uniknięcia w ogóle w dziele przygotowanym przez dwudziestu ośmiu redaktorów i około pięciuset autorów, byłyby jeszcze mniejsze, gdyby nie przerwy i pośpiech ostatniego okresu przygotowania Słownika do druku.

W porównaniu z wydaniem pierwszym ilość haseł w drugim wydaniu wzrosła o ponad jedną trzecią, ale zwiększenie ilości haseł poświęconych pisarzom polskim jest jeszcze znaczniejsze. W pierwszym wydaniu haseł polskich znalazło się 48, w obecnym zaś 120. Znacznie wzrosła również objętość pojedynczych haseł, dotyczy to zwłaszcza hasła ogólnego „Polska literatura”, które liczy 21,5 szpalt i równe jest hasłu „Niemiecka literatura”, ustępując tylko hasłom „Francuska literatura” i „Rosyjska literatura”.

Z pierwszego wydania, w którym hasła o literaturze polskiej były redagowane i w większości napisane przez Arthura P. Colemana, w wydaniu drugim można było po ich uzupełnieniu powtórzyć tylko kilka. To samo stało się z hasłami z wydania pierwszego w innych literaturach. Tyle zaśzło zmian w poglądach na literaturę, tyle ukazało się nowych prac, że zachowanie dawnych haseł okazało się niemożliwe. Taka sama będzie zapewne kolej rzeczy, gdy po następnych dwudziestu pięciu latach podjęte zostaną prace nad trzecim wydaniem „Columbia Dictionary”.



Autorami haseł polskich w obecnym wydaniu są: Joachim T. Baer — 3 hasła, Arthur P. Coleman — 3, Marion M. Coleman — 1, Halina Chybowska — 1, Bogdan Czaykowski — 5, Edward J. Czerwiński — 4, Samuel Fiszman — 6, Zbigniew Folejewski — 7, Daniel C. Gerould — 1, Mieczysław Giergielewicz — 9, George Gömöri — 4, Jerzy R. Krzyżanowski — 11, Madeline G. Levine — 2, Czesław Miłosz — 2, Marian Pankowski — 1, Samuel Sandler — 7, Tymon Terlecki — 11, Ewa M. Thompson — 7, Wiktor Weintraub — 2, David Welsh — 2, Andrzej Wirth — 4, Zoya Yurieff — 3, Alicja Zadrożna — 24.

Chronologicznie listę haseł polskich otwiera Norwid, podobnie jak francuskich Baudelaire i rosyjskich Dostojewski. Okresowo hasła podzielone są mniej więcej w ten sposób, że pisarzom okresu pozytywizmu i Młodej Polski przypada jedna trzecia, pozostałe pisarzom okresu międzywojennego oraz lat po drugiej wojnie aż do współczesności, a z kolei spośród tych ostatnich około jedna trzecia pisarzom tworzącym na emigracji.

Hasło „Polska literatura” poza nakreśleniem ogólnej linii rozwoju literatury i charakterystyką poszczególnych epok zawiera szczegółowsze dane o wielu pisarzach, dla których, nie zawsze słusznie, zabrakło miejsca wśród haseł indywidualnych. Kompozycyjnie więc hasło ogólne i hasła indywidualne uzupełniają się nawzajem i razem zawierają możliwie całościowy obraz naszej literatury. Nie ulega wątpliwości, że literatura polska reprezentowana jest w tym Słowniku obszernie, że w tym wielkim gmachu literatur europejskich udało się wygospodarować dla niej kąt niemały, ale zasadą przy sporządzaniu siatki haseł była z konieczności selekcja. I wniosek stąd jeden, wniosek który poracać wciąż i wciąż, gdy w czasie prac redakcyjnych z powodu braku miejsca należało przeprowadzać bolesną operację skracania listy haseł, a mianowicie, że czas jest podjąć trud przygotowania słownika współczesnych pisarzy polskich w języku angielskim, którego celem byłoby jak najpełniejsze ogarnięcie wszystkich osiągnięć współczesnej literatury polskiej.

Samuel FISZMAN

## PUBLIKACJE UKRAIŃSKIE

Nakładem wydawnictwa miesięcznika *Suczastnist'* ukazały się dwa tomy zeszytów ukraińskiego Samizdatu: „Pohrom w Ukraini 1972-1979” i „Zupynit' krywosuddia! Sprawa Łewka Łukianenka”. Pierwszy tom przygotował do druku, zaopatrzył wstępem i objaśnieniami Roman Kupeczynskyj a drugi Stepan Sadowykyj.

Pogrom na Ukrainie zawiera materiały dotyczące walki z ruchem narodowym w latach 1972-1979: areszty, procesy, treść wyroków sądowych, odwołania do władz, listy, protesty, represje wobec rodzin itp. Kupeczynskyj

we wstępie wskazuje, że wzmożona i zaostrzona walka z ruchem oporu na Ukrainie jest globalna.

Na tom składają się następujące głośne sprawy: Wasyla Stysia, Waczesława Czornowoła, Iwana Switycznoho, Ołeksandra Serhienka, Wasyla Lisowo i Jewhena Proniuka, Borysa Wowhara, ks. Wasyla Romaniuka, Mychajła Osadczoho, Iwana Hela, Ihora Kałyncia, Niny Stokatowy, Stefania Szabatary oraz Nadiji Switycznoji.

Jest to cenny zbiór dowodów polityki eksterminacyjnej i rusyfikacyjnej. Drugi tom jest w całości poświęcony Łukianence, jego bezkompromisowej walce o wolność Ukrainy. Łukianenko należy do najwybitniejszych członków ruchu oporu, związany jest z Komitetem Helsińskim, obecnie jest uwięziony. Różne komitety ukraińskie i międzynarodowe ogłaszały protesty w związku z przesładowaniem, aresztowaniem i skazaniem Łukianenki, niestety — jak dotychczas — nie odniosły one żadnego skutku.

## Nadesłane nowości wydawnicze

WAT (Aleksander). *Mój wiek. Rozmowy z Czesławem Miłoszem*. Tom I-II, str. 390, wydanie drugie poprawione. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1981).

*Księga psalmów*. Tłumaczył z hebrajskiego Czesław Miłosz. Wydanie trzecie. Str. 324 i 4 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1981).

NEUSCH (Marcel). *U źródeł współczesnego ateizmu. Sto lat dyskusji na temat Boga*. Str. 294 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1980).

MIREWICZ (Jerzy, ks., T.J.). *Wychowawcy Europy*. Str. 132 i 4 nlb. (Wyd. Księżyca Jezucici, Londyn 1981).

PRZYBYLSKI (Ryszard). *Wdzięczny gość Boga. Esej o poezji Osipa Mandelsztama*. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. Libella, Paryż 1980).

KOWALSKI (Bronisław, dr). *Morskie i terytorialne aspekty w gospodarce Rzeczypospolitej 963-1959*. Str. 523 i 5 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1980).

KUCIA (Thaddeus). *Filozofia biografii*. Str. 199. (Wyd. Veritas, Londyn 1981).

KRZYSZTOPORSKA (Maria). *Ze*

*wspomnień tułaczycy*. Str. 142. (Wyd. Veritas, Londyn 1981).

*Cudem ocaleni. Wspomnienia z kacetów*. (Praca zbiorowa). Str. 327 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1981).

NIETYKSZA (Wacław). *Dziennik pielgrzyma do Lourdes*. Str. 31. (Wyd. Veritas, Londyn 1981).

*Wieczór wersalski (w sześćdziesięciolecie podpisania Traktatu Wersalskiego)*. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Romana Dmowskiego w Londynie, 1980).

KAREN (Tamara). *„Kim był ten człowiek?” Rysunki w tekście Teresy Lewandowskiej*. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1981).

CIOŁKOSZ (Adam). *Ludzie PPS*. (wydanie drugie); GROSS (Feliks). *Wspomnienie o Adamie Ciołkoszu*. Str. 162 i 2 nlb. (Wyd. Centralny Komitet Polskiej Partii Socjalistycznej, Londyn 1981).

TWARDOWSKI (Jan). *Niebieskie okulary*. Wiersze. Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1980, cena zł 50).

HELLER (Michał). *Wszeczeństwo i słowo*. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1981, cena zł 64).



- ZYCHIEWICZ (Tadeusz). *Ludzkie drogi*. Str. 261 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1981, cena zł 80).
- WOJTYŁA (Karol) [Andrzej Jawień, A.J., Stanisław Andrzej Gruda, Piotr Jasień]. *Poezje i dramaty*. Str. 408 i 4 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1981, cena zł 150).
- Protokoły porozumień Gdańsk-Szczecin-Jastrzębie; Statut NSZZ „Solidarność”*. Str. 29 i 3 nlb. (Wyd. Krajowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa 1980, cena zł 8).
- KISIELEWSKI (Stefan). *Stosunki Państwo-Kościół w PRL*. Str. 28 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Głos, Warszawa 1980).
- MŁOSZ (Czesław). *Widzenia nad Zatoką San Francisco*. Str. 164 + 2. (Wyd. Wydawnictwo Głos, Warszawa 1980).
- MŁOSZ (Czesław). *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada i inne wiersze*. Str. 140 i 4 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1980, cena zł 80).
- Szczeciński sierpień 1980*. Str. 145 i 3 nlb., fotografie. (Wyd. Naczelna Redakcja Wydawnictw Poprzasowych, Szczecin 1980, cena zł 40).
- CYWIŃSKI (Bohdan). *Z dziejów Kościoła katolickiego w Polsce niepodległej*. Str. 30. (Wyd. NOW-a w cyklu wykładów TKN, Warszawa 1980).
- JEDLIŃSKI (Jerzy). *Forma i treść „umowy społecznej”*. Str. 27. (Wyd. NOW-a w cyklu TKN, Warszawa 1980).
- BARAŃCZAK (Stanisław). *Knebel i słowo*. Str. 43. (Wyd. NOW-a w cyklu wykładów TKN, Warszawa 1980).
- DRAWICZ (Andrzej). *Inna Rosja*. Str. 36. (Wyd. NOW-a w cyklu wykładów TKN, Warszawa 1980).
- STUDZIŃSKI (Bogumił). *Wies polska w latach 1944-1978*. Str. 34 i w załączeniu *Rzeszowska Umowa Społeczna w sprawie wsi i polityki rolnej*. (Wyd. Biblioteka Ruchu Chłopskiej Samoobrony Społecznej, zeszyt 2, Londyn 1981).
- DREWŃOWSKI (Jan). *Problematyka opozycji w Polsce*. Str. 18 i 2 nlb. (Wyd. Jutro Polski Ltd., Londyn 1981).
- SOUVARINE (Boris). *Panaït Istrati et le communisme*. Str. 32. (Wyd. Editions Champ Libre, Paryż 1981).
- RUK (Laïla). *Leale la Polonaise*. Str. 219 i 4 nlb. (Wyd. La pensée universelle, Paryż 1977).
- BARKA (Vassil). *Le prince jaune*. Tłum. z ukraińskiego Olga Jaworskyja, przedmową opatrzył Piotr Rawicz. Str. 363 i 5 nlb. (Wyd. Gallimard, Paryż 1981).
- KONWICKI (Tadeusz). *La petite Apocalypse*. Tłum. Zofia Bobowicz. Str. 246 i 2 nlb. (Wyd. Robert Laffont, Paryż 1981).
- NOWAK (Jan, National Director Polish American Congress). *Ideological Competition in United States' Strategy*. Str. 6. (Wyd. (Polish American Congress, Annandale, Virginia, USA).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy, dr). *Ethical Implications of Medical Genetics*. Str. 51-64 (nadbitka z referatu przygotowanego dla UNESCO, wyd. Institute for Theological Encounter with Science and Technology, styczeń 1981).
- FORSYTH (Frederick). *The Devil's Alternative*. Str. 404 i 4 nlb. (Wyd. Bantam Book, USA, 1981).
- EUCHARISTERION: Essays presented to Omeljan Pritsak on his Sixtieth Birthday by his Colleagues and Students*. Volume III/IV cz. I i II. Str. 972 i 2 nlb. (Wyd. Harvard Ukrainian Studies, Ukrainian Research Institute, Cambridge Mass., 1980).
- GARLIŃSKI (Józef). *The Swiss Corridor. Espionage networks in Switzerland during World War II*. Str. 222. (Wyd. J. M. Dent and Sons Ltd., London-Melbourne-Toronto 1981).
- CHLEBOWCZYK (Józef). *On Small and Young Nations in Europe. Nation-Forming Processes in Ethnic Borderlands in East-Central Europe*. Str. 216. (Wyd. Ossolineum w serii „Polish Historical Library”, nr I, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1980, cena zł 55).

## Wolna trybuna

### Jeszcze o Kościele i Polsce

Ciekawy i ważny tekst redakcyjny „Obserwatorium”, zamieszczony w październikowym numerze *Kultury* paryskiej, być może sprowokuje szereg wypowiedzi na temat roli, strategii oraz taktyki Kościoła i kościelnych instytucji (lub poszczególnych urzędowych osób). Wyraźniejsze rozróżnienie roli, strategii i taktyki prowadzi do spostrzeżenia, iż Kościół pełni w Polsce rolę obrońcy wartości ludzkich, osobowych i społecznych, ukazując jedność wartości Bożych i ludzkich, duchowych i doczesnych. Strategia Kościoła w Polsce wyraża się m.in. w walce z sowietyzacją, w dalekosiężnym wysiłku obrony przed nihilizmem i rozpaczą, w dawaniu ludziom nadziei w tych warunkach, w jakich żyją, a także w wytrwałym dążeniu do zmiany warunków na bardziej ludzkie. Natomiast taktyka, która nakazuje Kościołowi liczyć się z faktami dokonanymi, wymaga wchodzenia w doraźne i ograniczone sojusze z różnymi siłami działającymi w społeczeństwie, wymaga szukania kompromisów i godzenia się na ustępstwa. Taktyczne ustępstwa, a nawet słabości i błędy nie unieważniają dobrej strategii oraz roli. Przy tym taktyczne błędy powinny być widziane w kontekście spraw szerszych. Nie ufamy łatwo czyimś dobrym deklaracjom i ustępstwom taktycznym, gdy wiemy, że są one podporządkowane generalnie złej strategii i zgubnej roli. Nie potępiamy też łatwo taktycznych błędów, gdy rozpoznajemy zasadniczą dobrą wolę i mądrość. Odrzucamy małe dobro podane nam w kontekście wielkiego zła. Odrzucamy też małe zło podane nam bez złej woli w kontekście wielkiego dobra. Kościołowi nie przysługują w dziedzinie taktyki przywilej nieomyślności.

Formuła: „po owocach ich poznacie je” zastosowana do Kościoła budzi spokojną ufność, że jego prestiż nie będzie narażony na szwank.

W dziedzinie polityki, w obliczu ważnych decyzji, których przesłanki nie są dostatecznie jasne, trzeba przyznać ludziom dobrej woli swobodę poczynań i poglądów w duchu *in dubiis*



*libertas*. Nie jest źle, gdy różne czynniki, częściowo nawet przeciwstawne, współgrają w rzeczywistości społecznej.

Gdy krytykuje się — w jakimś sensie — Kościół, warto wiedzieć tę krytykę, jej styl i sposób w kontekście krytycyzmu, jaki uprawia się wobec rodziny, narodu i najbliższych przyjaciół — wobec ludzi, których się kocha pomimo wszelkiego zauważonego w nich zła, wobec więzi i wartości, które są bezcennym darem, bez których człowiek nie mógłby żyć. Inaczej natomiast ocenia się i krytykuje organizacje lub instytucje, które powołane były dla określonych zadań i celu swojego nie spełniły. Krytykując rodzinę lub swój naród nie przestaje być uczestnikiem wspólnoty krytykowanej, wdzięcznym odbiorcą dóbr różnego rodzaju oraz dawcą tego, co mam do dania. Krytykując jakąś organizację lub instytucję, mogę czuć się całkowicie na zewnątrz niej, mogę nawet kwestionować rację jej bytu.

W kazaniu wygłoszonym przez Ks. Prymasa w Częstochowie 26 sierpnia zawarta była myśl o wspólnej winie za społeczne zło w Polsce. Jest to wyznanie ujmująco pokorne. Warto byłoby tę myśl rozwinąć. Na czym polega wina katolików oraz kościelnych instytucji? W jaki sposób odwrócić się teraz od zła? Zmaterializowanie jest właściwością nie tylko materialistów. Takie cechy jak pogoń za doraźnym zyskiem, brak odwagi, obojętność wobec wartości Bożych i ludzkich występują nie tylko wśród księży. Niechrześcijańskie byłoby dzielenie ludzi na dobrych i złych. Ponadto komunizm w Polsce może być widziany nie tylko jako wielki grzech o wymiarach społecznych i państwowych, lecz także jako wielka kara za grzechy chrześcijan, albo jako wielkie doświadczenie, które nie tylko niszczy, ale i oczyszcza. Trzeba przyjąć w duchu wiary to straszne doświadczenie, w którym grzech zespala się z chorobą, zaś choroba może mieć wartość krzyża, czyli jest zadatkiem przewyciężenia grzechu. Negatywistyczne podejście wobec komunizmu, które dostrzega w nim tylko nihilizm (konsekwentną, choć ukrytą destrukcję wartości), jest słusze jedynie częściowo, bo łatwo przechodzi do porządku nad głębszymi przyczynami zła wspólnego wszystkim ludziom, nad tym także, iż komunizm nie jest jedynym złem w Polsce. Polska wolna od komunizmu nie oznacza *eo ipso* Polski sprawiedliwej.

Styl postępowania niektórych kościelnych instytucji, ich ugodowość wobec władz dzisiejszych warto byłoby porównać ze sposobem współistnienia kościelnych urzędów (np. warszawskiej kurii) z okupacyjną władzą niemiecką.

Wydarzenia tegoroczne w Polsce są według mojej i nie tylko mojej oceny wielkim przebudzeniem i znakiem nadziei. Ten proces można nie tylko wzmocnić (albo osłabić), lecz także lepiej ukierunkować (bądź wypaczyć). Prowokacyjne poczynania ze strony niektórych organów władz zmierzają do wypaczenia i osłabienia procesu moralnej i duchowej odnowy. Polityka partii — chaotyczna i niekonsekwentna zresztą — jest wyrazem

lęku oraz tendencji samozachowawczych, połączonych ze starczym pragnieniem ocalenia *status quo* tzw. socjalizmu w Polsce. Polityka Kościoła — niezmienna w swoich założeniach — jest być może wyrazem chęci łagodzenia konfliktów, osłabiania napięć, hamowania zbyt doraźnych oczekiwań. Dlaczego żądania kościelne formułowane są ogólnikowo lub niejawnie — nie wiem, ale mogą się domyślać, iż dlatego, że dotyczą one nie tylko władzy, ale całego społeczeństwa, a więc nie chodzi tu Kościołowi o proste wymuszenie, lecz o zgodę opartą na dobrej woli i na przekonaniu. Wiadomo, czego żąda Kościół w PRL. Obecnie przyszedł czas zbiorowego rachunku sumienia, czyli uświadomienia sobie, że tworzymy już teraz Polskę niepodległą i sprawiedliwą. Nie ma Polski niepodległej bez Polski sprawiedliwej. Nie ma Polski sprawiedliwej, gdy w Polsce za zgodą czynną lub bierną większości Polaków dzieje się zło, w tym zło straszne zabijania dzieci nienarodzonych.

Trwa czas budzenia i wstawania ze snu.

Pozwolę sobie jeszcze na dygresję egocentryczną.

Mam osobiste powody, aby nie cieszyć się z pewnej lokalnej, ograniczonej współpracy między obu władzami. Wolałbym mieć większe oparcie i zrozumienie u swoich kościelnych przełożonych. Niektórzy z nich opinie na mój temat, pochodzące od SB (lub dziwnie zbieżne z nimi) przyjmują bezkrytycznie, nie konfrontując ich z opiniami np. moimi. Zarazem wolałbym, aby instytucje kościelne czuły się bardziej solidarne z konkretnymi ludźmi i ze społeczeństwem w sytuacji opresji ze strony władzy państwowej oraz w sytuacji wytrwałych dążeń rewindykacyjnych ze strony narodu. Jednak byłbym niewdzięczny i nieuczciwy, gdybym nie stwierdził, że otoczony jestem w Kościele przyjaźnią, dobrocią i pomocą. Tu spotyka się ludzi dobrej woli; tu można liczyć na wielorakie wsparcie dobrych przedsięwzięć. Tu zarazem przechodzi się szkołę wiary, która otwiera oczy na wartości ukryte, zapoznane, niezależne od okresowych koniunktur. Działacz opozycyjny bywa nieraz hamowany w swoim rozpędzie przez rodzinę, która ma co do niego swoje oczekiwania i obawy. Trudno nie wczuć się w rację „przeciwnej” strony, racje nakazujące spokój, rozważę, roztropność. Taki hamulec bywa potrzebny, zawsze jest zrozumiały, nie oznacza nielojalności. Podobnie kościelne hamowanie bywa po prostu elementem wymiaru macierzyńskiego ludzkiej wspólnoty, zatroskanej poprzez przedstawicieli i przywódców o wszystkie swoje dzieci.

Komunizm załamanie się od wewnątrz. Czekamy z nadzieją na wielkie wyzwolenie. To oczekiwanie wymaga cierpliwości i rozważa. Czasem lepiej nie dobijać dzikiej bestii, lecz poczekać aż sama zdechnie. Z drugiej strony jednak przedłużająca się agonia bestii, jej walka przedśmiertna nie powinna budzić wobec niej litości (bo jest ona tworem nieludzkim), lecz raczej powinna budzić wysiłki zmierzające do wyzwolenia ofiar.

Dzieło wyzwolenia jest zarazem już dokonane przez Chrystusa i jeszcze oczekiwane przez ludzi na świecie. Jest to dzieło



nie tylko ludzkie. Dlatego wysiłek wyzwolenia jest nie tylko pracą, polega nie tylko na trudzie organizacyjnym, wydawniczym, samokształceniowym, społecznym. Wysiłek wyzwolenia jest współdziałaniem z mocą Boga, który wyzwala, jest przemianą ducha obejmującą wszystkie sprawy ważne. Solidarność nie jest prawdziwa, dopóki nie obejmuje wszystkich ludzi, dopóki nie zważa na wszystkie wartości. Solidarność rzeczywista obejmuje także dzieci nienarodzone, widzi także te wartości, o które walka społeczna jeszcze się nie toczy. Stopniowe wznoszenie się i poszerzanie się żądań budzi dobre nadzieje na dalszy bieg spraw.

Groteskowy jest lęk władz przed tzw. „elementami antysocjalistycznymi” w obliczu totalnej destrukcji komunizmu, który zwyciężony jest krok po kroku tą samą robotniczą bronią, którą usiłował wojować i wymachiwać. Kogo Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera. Prowokacyjne represje władz obracają się przeciwko prowokatorom. Czuje się już apokaliptyczny klimat ostatecznej rozgrywki, w której szatan wygubi swoje narzędzia, w której poprzez wiele znaków dobrych i złych wszyscy wezwani będą do ocalenia.

Ks. Stanisław MAŁKOWSKI

Warszawa, 3 grudnia 1980

## BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 333 — PAWEŁ ZAREMBA

# HISTORIA DWUDZIESTOLECIA

(1918 - 1939)

(w 2-ch tomach)

Do druku przygotował Marek Łatyński

Tom I-szy str. 240.

Tom II-gi str. 432.

Cena I/II F.170,00.

„Historię” można nabywać tylko w całości.

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

### 21-10-80

Z wielkim opóźnieniem otrzymaliśmy odezwę alumnów Seminarium Duchownego św. Cyryla i Metodego w Bratysławie, którzy 20 i 21 października 1980 roku zorganizowali dwudniową głodówkę jako protest przeciwko Konferencji „Pacem in terris”.

### 23-3-81

Sekretarze KC, podział pracy: Jaki jest podział pracy i odpowiedzialności w Sekretariacie KC PZPR? Odpowiedź na to pytanie przynosi ostatni numer *Życia Partii*. Redakcja wyjaśnia, że najprościej można ten podział scharakteryzować przez wskazanie, jakie wydziały KC podlegają poszczególnym sekretarzom: I tak: I-szy sekretarz KC Stanisław Kania kieruje pracą KC, Biura Politycznego i Sekretariatu, sprawuje nadzór nad Głównym Zarządem Politycznym Wojska Polskiego, Centralną Komisją Kontroli Partyjnej i Wydziałem Kadr i Kancelarią Sekretariatu KC. Kazimierz Barcikowski: Wydział Organizacyjny (nadzór ogólny), Wydział Administracyjny, Wydział Organizacji Społecznych, Sportu i Turystyki oraz Biuro Spraw Sejmowych. Tadeusz Grabski: Wydział Przemysłu, Budownictwa i Transportu, Wydział Handlu i Finansów, Wydział Socjalno-Zawodowy. Stefan Olszowski: Wydział Prasy, Radia i Telewizji, Wydział Pracy Ideowo-Wychowawczej Wyższa Szkoła Nauk Społecznych i Ośrodek Kursów Partyjnych, redakcje czasopism „Zagadnienia i Materiały” oraz „Ideologia i Polityka”. Roman Ney: Wydział Nauki i Oświaty, Instytut Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu, Centralne Archiwum. Jerzy Waszczuk: Wydział Kultury, redakcja *Nowych Dróg*. Emil Wojtaszek: Wydział Zagraniczny. Zdzisław Kurowski: Wydział Organizacyjny, Wydział Ogólny, Biuro Listów i Inspekcji, redakcja *Życia Partii*. Jerzy Wojtecki: Wydział Rolny i Gospodarki Żywnościowej. Podział pracy i odpowiedzialności poszczególnych członków Prezydium Rządu jest od ub. roku podawany do wiadomości publicznej. Jeśli idzie o Sekretariat KC, to informacja *Życia Partii* jest pierwsza.

### 14-4-81

Zmarł w Warszawie Paweł Piotr Trzebuckowski, filozof, pisarz i publicysta katolicki.

### 23-4-81

Zmarł w Warszawie w wieku 89 lat Henryk Józewski, organizator młodzieżowych kół niepodległościowych w 1914 roku w Kijowie, naczelny komendant P.O.W. K.N.3, minister Spraw Wewnętrznych w rządzie K. Bartla, wojewoda wołyński w latach 1929-1939, w czasie okupacji komendant Okręgu Stołecznego Służby Zwycięstwu Polski, a następnie doradca komendanta głównego Z.W.Z. a później A.K., więzień polityczny, wypuszczony z więzienia w 1956 roku. Henryk Józewski był czołowym przedstawicielem normalizowania stosunków polsko-ukraińskich. ■ Zmarł w Warszawie Władysław Kempfi, adwokat, filister korporacji Aquilonia, b. prezes Ogólnopolskiego Związku Bratnich Pomocy, więzień obozów koncentracyjnych w Sachsenhausen i Matthausen-Gusen.

### 25-4-81

W bież. roku Polska otrzyma z ZSSR 13,1 mln ton ropy naftowej i 2,9 mln ton różnych produktów naftowych. Będzie to jedyne źródło zaopatrzenia



w importowane paliwa płynne, gdyż prawie zupełnie ustały zakupy dewizowe. Oznacza to zmniejszenie konsumpcji o około 20%. ■ Wymiana turystyczna Polski z NRD została zawieszona. Rośnie ilość anulowania przyjazdów z Czechosłowacji. Na kwiecień i maj zostały anulowane wyjazdy do ZSSR.

## 29-4-81

W Białymstoku zmarł w wieku 70 lat ks. prałat Witold Pietkun, kapłan archidiecezji wileńskiej, wychowanek Uniwersytetu Stefana Batorego, autor wielu prac naukowych, działacz społeczny, trzykrotnie sądzony i skazywany za głoszenie swoich poglądów, przyjaciel i orędownik „Solidarności”. ■ *Niezależność*, dziennik NSZZ „Solidarność” regionu Mazowsze podaje w nr. 35 informację o rejestracji Stowarzyszenia „Grunwald”. Stowarzyszeniu temu przewodzi Bohdan Poręba; liczy ono jakoby 100 tys. członków, a jego celem jest „upowszechnianie polskiej tradycji”. Jak dotychczas z tradycji czerpie ona antysemitizm, zaś poparcie z Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Po raz pierwszy w Polsce Ludowej oficjalnie zaakceptowano istnienie organizacji faszystowskiej. Organizacji tej patronuje St. Olszowski, który załatwił jej rejestrację.

## 30-4-81

Kazimierz Świtoń, członek zarządu regionalnego MKZ Katowice, złożył rezygnację z pełnionej funkcji. Zarząd regionalny określił działalność Świtonia jako nieodpowiedzialną i zmierzającą do rozbicia zarządu. ■ Gminne spółdzielnie odmawiają skupu kartofli od rolników indywidualnych, mimo notorycznego braku na rynku tego podstawowego produktu rolnego. Jednocześnie ukazało się zarządzenie ministra Przemysłu Spożywczego i Skupu, Jana Zaleskiego, zmniejszające z dnia na dzień przydział paszy dla indywidualnych hodowców z 200 na 80 kg na sztukę bydła. Natomiast PGR-y otrzymują od 600 do 700 kg paszy treściwej. Zapas paszy wystarczy rolnikom na 2-3 dni. W samym tylko województwie skierniewickim grozi na tychmiastowe wybiecie 7-8 tys. sztuk świń. Należy pamiętać, że 35% tuczników przypada na indywidualne gospodarstwa rolne. W związku z tą sytuacją biuletyn informacyjny M. K. Wałbrzych zamieszcza artykuł Marty Gąsiorowskiej pt. „Kto robi sztuczny głód?”. P. Gąsiorowska, cytując rzeczywiste niebywałe przykłady marnotrawstwa, dochodzi do wniosku, że zaopatrzenie rynku stało się narzędziem walki ze społeczeństwem. Pytanie: kto odpowiada za tę akcję? ■ Telewizja węgierska nadała godzinny program o Polsce, który zawiera wywiad z Lechem Wałęsą. Program był bardzo obiektywny i nawet wypowiedzi władz PRL-u były bardzo wstrzemięźliwe w komentarzach na temat „Solidarności”.

## 1-5-81

Zarząd Polskiego PEN-Clubu przyznał nagrodę Fundacji Roberta Gravesa Tomaszowi Jastrunowi za tom „Płomienie błędnego koła”. Nagrody za wybitne osiągnięcia w dziedzinie przekładów literatury polskiej na języki obce otrzymali: Pierre Emmanuel i K. A. Jeleński za przekłady poezji na język francuski. ■ W 1980 roku wyjechało z Polski na misje 91 misjonarzy i misjonarek do Ameryki Południowej, Afryki i Japonii. ■ Komisja zakładowa przy Zakładach Mechanicznych im. Cegielskiego w Poznaniu, w związku ze zbliżającą się 25-tą rocznicą Poznańskiego Czerwca 1956, domaga się usunięcia Józefa Cyrankiewicza ze stanowiska przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju, motywując to tym, że p. Cyrankiewicz, wieloletni prezes Rady Ministrów i b. członek Biura Politycznego KC PZPR, był zawsze zwolennikiem rozwiązywania konfliktów przy pomocy siły. Uchwała komisji zakładowej kończy się słowami: „...ufamy, że obecna władza

zrozumie zdecydowany głos robotników zrzeszonych w NSZZ *Solidarność*”. Rzeczywiście zrozumiała! Pierwszy sekretarz Biura Politycznego PZPR, p. St. Kania, w związku z 70-letnią rocznicą urodzin J. Cyrankiewicza, wysłał do niego gorący telegram, podkreślający zasługi solenizanta. „Serdeczne życzenia” przesłała również redakcja *Polityki*. ■ Podniesiono średnio o 50% jednolitą międzynarodową taryfę osobową (EMPT) na przewóz osób oraz przesyłek bagażowych i ekspresowych.

## 2-5-81

W kościele akademickim św. Anny w Warszawie, w 60-tą rocznicę założenia korporacji Patria, została odprawiona msza św. za zamordowanych i zmarłych członków korporacji.

## 3-5-81

Platforma „Petrobalticu” położona w strefie polskich wód przybrzeżnych na wysokości Rozewia dotarła do złoża ropy — dziennie wydobywa się około 200 ton.

## 4-5-81

W ostatnich czasach do licznych braków doszedł jeszcze jeden: w PRL brak jest papierosów. Radio Warszawa I próbowało to wyjaśnić w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego i Usług w wydziale koordynacji zaopatrzenia rynku oraz w Centrali Zaopatrzenia „Społem”. Nigdzie nie uzyskano informacji z powodu nieobecności dyrektora i naczelnika. Redaktorka kończy swoją informację słowami: „... Można oczywiście skorzystać z okazji i odwołać się od palenia. Tylko, że ja odzwyczajam się na razie od jedzenia, a jak wiadomo tych dwóch kuracji połączyć się nie daje”. ■ Minister Józef Kępa, przewodniczący Społecznego Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie, w wywiadzie udzielonym p. Marcie Korejwo oświadczył m.in., że koszt odbudowy Zamku wyniósł ponad 930 mln złotych, a brakuje jeszcze 250 mln. Ofiarność społeczna w ostatnich dwóch-trzech latach prawie zanikła. P. Kępa odwołuje się do ofiarności społeczeństwa w Kraju i na emigracji.

## 5-5-81

W PRL prowadzone są śledztwa przeciwko czterem byłym ministrom, siedmiu wiceministrom, pięciu byłym I. sekretarzom Komitetów Wojewódzkich PZPR, dwóm byłym sekretarzom KW PZPR. W sumie toczy się 102 postępowań przygotowawczych przeciwko osobom zajmującym co najmniej stanowiska dyrektorów, kierowników, naczelników gmin i miast. Komisja wyłoniona przez X plenum KC PZPR zdecydowała przesłuchać w najbliższym czasie członków poprzedniego kierownictwa. W pierwszym rzędzie dotyczy to Edwarda Gierka i jego syna Adama oraz poprzedniego I-go sekretarza w Katowicach, Zdzisława Grudnia.

## 6-5-81

Organizacja partyjna w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Mińsku Mazowieckim wybrała delegatów na miejską konferencję sprawozdawczą-czo-wyborczą. Odmówiono wyboru Edwarda Babiucha, b. członka Biura Politycznego i sekretarza KC, który od kilkunastu lat jest członkiem tej organizacji partyjnej.

## 10-5-81

Do Japonii przybyła ośmioosobowa delegacja NSZZ „Solidarność”, w której skład wchodzi m.in. L. Wałęsa, Z. Bujak, J. Rulewski, L. Dymarski i T. Ma-



zowiecki. Delegacja przybyła na zaproszenie Centrali Związków Zawodowych SOHYO, ale będzie również gościem pozostałych central.

**11-5-81**

Wydawnictwo Morskie w Gdańsku przygotowuje zbiorową książkę o Lechu Wałęsie. Oprócz życiorysu i wypowiedzi L. Wałęsy książka zawierać będzie dokumenty związkowe z ostatnich miesięcy.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**9-2-81**

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie ogłosił konkurs na prace dotyczące walki o polskość Kresów Zachodnich. Inicjatorką tego konkursu była p. Eudoksja Rakowska z Australii, która ufundowała nagrody w wysokości \$ A.1.500. Na konkurs wpłynęły tylko dwie prace, z których jedna pt. „Na świętej Warmii” otrzymała drugą nagrodę, a druga pt. „Wilczy czas” trzecią. Okazało się, że autorami tych prac byli: Jędrzej Giertych z Londynu i Adam Tomaszewski z Toronto.

**6-4-81**

Dr Józef Lichten, na zaproszenie Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, wygłosił w Londynie dwa wykłady: 6. 4. br. w sali Instytutu Gen. Sikorskiego pt. „Kościół i Judaizm w świecie współczesnym” i 8. 4. br. w gmachu POSK-u pt. „Adam Czerniaków na tle epoki”.

**1-5-81**

Związek Lekarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie liczy obecnie 155 członków, w tej liczbie 40 % nowego pokolenia z dyplomami powojennymi, uzyskanymi w Wielkiej Brytanii. ■ Dochód Instytutu Polskiego i Muzeum im. Gen. Sikorskiego wyniósł w 1980 roku £ 48.208.00. Preliminarz budżetowy na 1981 rok przewiduje sumę £ 42.000.00. Pomocą dla Instytutu jest Fundacja Sztandarów PSZ, która z odsetek zebranej kwoty £ 50.695.00 zabezpiecza sztandary i inne pamiątki żołnierskie. W okresie sprawozdawczym urządzono trzy wystawy: „Wojsko Polskie w kampanii wrześniowej”, „Pomocnicza Wojskowa Służba Kobiet” oraz „Wojska łączności”. W archiwum studiowało akta 126 badaczy historii z różnych krajów. Załatwiono 1.473 kwerendy i sporządzono 1.360 fotokopii dokumentów. Kontynuuje się scalanie aktów państwowych, przygotowane są do mikrofilmowania dalsze lata archiwum osobistego Prezesa Rady Ministrów, kolekcje gen. W. Andersa, relacje uczestników kampanii wrześniowej i akta Polskich Sił Powietrznych. ■ Na V Biennale Internazionale Del Bronzetto Dantesco, zorganizowanym przez Centro Dantesco w Rawennie, p. Wanda Ładniewska otrzymała złoty medal za brąz ilustrujący „Boską Komedie” Dantego. Tematem tegorocznego Biennale był czysciec. Rzeźba p. Ładniewskiej nosi tytuł „Sodoma distrutta”.

**3-5-81**

W Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym (POSK) w Londynie odbył się w dniach 25 kwietnia - 3 maja br. trzeci „Tydzień Kultury Polskiej”. Obejmował on trzy wystawy (książek wydanych na emigracji w ostatnich latach, „wiosenną wystawę” plastyków londyńskich i wystawę „użytkowników teatru” łączącą przegląd osiągnięć z perspektywami rozwojowymi nowoczesnej, będącej na ukończeniu sali teatralnej w siedzibie POSK-u) oraz cały szereg imprez estradowych i scenicznych. Na czoło wybiło się wido-

wisko Związku Artystów Scen Polskich „Wszystkiego po trochu”, składające się z fragmentów sztuk Fredry, Wyspiańskiego, Zapolskiej i duetów śpiewnych, wyreżyserowane przez Tolę Korian; angielska dramatyzacja (*rehearsed reading*) „Małej Apokalipsy” Tadeusza Konwickiego w opracowaniu Heleny Kaut-Howson oraz trzecie, przy wypełnionej sali, odtworzenie „Pod Mleczną Drogą” Dylana Thomasa w oryginalnej adaptacji Tymona Terleckiego. Dopełniły programu: koncert kameralny z doskonałymi solistami (m.in. polska skrzypaczka Białasówna) zgromadzonymi przez Konfraternię Artystów Polskich w Wielkiej Brytanii; wieczór poświęcony twórczości Czesława Miłosza przez Grupę „Pro Arte”; wieczór autorski Jerzego Pieterkiewicza, zorganizowany przez Związek Pisarzy, kabaret poetycki „Panie, Panowie”, odczyt prof. Z. Stahla o aktualnej sytuacji politycznej, zabawa dla dzieci i bal dla starszych. W pierwszy dzień odbył się Kiermasz Książki, na którym rekord sprzedanych egzemplarzy pobiły „Skrytki” Zofii Romanowiczowej (Instytut Literacki, Paryż) i „Pod Mleczną Drogą” Thomasa Terleckiego (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn). Organizacja całości „Tygodnia” spoczywała w rękach p. Urszuli Święcickiej.

**5-5-81**

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się tradycyjne zebranie T-wa Historyczno-Literackiego dla uczczenia 190-tej rocznicy Konstytucji 3 Maja. Prezes T-wa E. Zaleski zdał sprawozdanie z rocznej działalności THL i Biblioteki Polskiej, podziękował Fundacji Lanckorońskich za trwałą i hojną pomoc materialną dla Biblioteki oraz złożył podziękowanie dyr. J. Handelsmanowi za bezinteresowną i ofiarną pracę. Następnie głos zabrał prof. Leprince-Ringuet, członek Akademii Francuskiej, który wręczył Towarzystwu honorowy medal — „Złotą Minerwę” ofiarowaną przez Prezesa „Société d'Encouragement au Bien” — Prezydenta Senatu Alain Pohera. — Referat o Konstytucji 3 Maja i polskich pisarzach reformatorów epoki trzecio-majowej wygłosił prof. Jan Myciński, prodiakan Wydziału Humanistycznego na Uniwersytecie Katolickim w Lille. — Towarzystwo urządziło wystawę czasopism i publikacji wydawanych w Polsce poza zasięgiem cenzury. Wprowadzenie do wystawy przedstawił Marek Franciszkowski.

**6-5-81**

Kongres Polonii Kanadyjskiej podaje, że do dnia 1 maja br. zebrano na żywność i lekarstwa dla Polski \$ 246.000. Jednocześnie jest przeprowadzana zbiórka lekarstw, która do tej pory przekroczyła wartość \$ 32.000. Konto banku leków osiągnęło sumę \$ 50.000 (suma ta jest częścią całości zbiórki).

**8-5-81**

W Ecole de Hautes Etudes en Sciences Sociales w Paryżu prof. Andrzej Ajnenkiel z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk prowadził trzy seminaria na temat „Społeczeństwo i władza w Polsce XIX i XX wieku”.

**9-5-81**

W Johannesburgu (Afryka Południowa) został odsłonięty i poświęcony Pomnik Katyński. Pomnik ten został ufundowany przez społeczność polskie i przyjaciół w Republice Południowej Afryki i Zimbabwie.

**12-5-81**

Zmarł w Londynie w wieku 92 lat Mieczysław Sokołowski; bezpośrednio przed wojną był wiceministrem w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Do czasu cofnięcia uznania rządowi RP był delegatem Polski do władz UNRRA.



## 17-5-81

Obchody w 100-ą rocznicę urodzin gen. Władysława Sikorskiego w Wielkiej Brytanii rozpoczęły się uroczystą Mszą św. w katedrze w Nottingham oraz składaniem wieńców na cmentarzu w Newark. 19. 5. br. odsłonięto tablicę pamiątkową w hotelu Rubens w Londynie, 23. 5. br. została otwarta wystawa w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego. Akcja sprowadzenia zwłok gen. Sikorskiego do Polski stała się przyczyną konfliktu rodzinnego. P. St. Leśniowski, zięć gen. Sikorskiego i jedyny uznany spadkobierca Generała sprzeciwia się temu. Natomiast mjr M. Kycia, mąż przybranej siostry Generała, opowiada się za odesłaniem prochów. W tej sytuacji decyzja będzie zależała od władz brytyjskich. W dniu 4. 5. br. w *Życiu Warszawy* ukazał się list do redakcji Janusza Groszkowskiego, który podaje: „Szanowni panowie redaktorzy — W prawym dolnym rogu pierwszej strony poczytnego *Życia Warszawy* z dnia 10 kwietnia 1981 roku w notatce podpisanej PAP przeczytałem między innymi: 'Pomnik generała Władysława Sikorskiego, który stał do 1975 roku zniknął pewnej nocy z Zakopanego w nieznaną bliżej okolicznościach'. Bardzo byłoby interesujące bliższe wyjaśnienie, jak mogło stać się coś podobnego, aby wysoki na 2 metry obelisk zniknął bez wiedzy organów utrzymujących porządek w kraju. Należy się obawiać, że sprowadzone do kraju nagle po 40 latach zwłoki śp. gen. Władysława Sikorskiego mogą również któregoś dnia zniknąć w nieznaną bliżej okolicznościach. Łączę wyrazy poważania. Czytelnik *Życia Warszawy* — Janusz Groszkowski.

## 18-5-81

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odczyt prof. Józefa Hurwica pt. „Wkład polskich uczonych do rozwoju nauk ścisłych w ostatnim półwieczu”. ■ Żona litewskiego dysydenta Balisa Gaikasasa, skazanego w 1978 roku na 15 lat więzienia — po odbyciu uprzednio kary 25 lat więzienia od 1948 do 1973 roku — wystosowała apel do prezydenta Mitteranda, by zechciał interweniować w sprawie uwolnienia jej męża.

## 2-6-81

Towarzystwo Polsko-Ukraińskie zorganizowało w Bibliotece Polskiej w Paryżu odczyt prof. Borysa Lewickiego (po polsku) na temat „Sytuacja narodowościowa w ZSSR przed i po wydarzeniach w Polsce w 1980-81”.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

Przy *League for Industrial Democracy* powstał Komitet Uczonych i Artystów dla Demokracji w Polsce. ■ Instytut Polski w Nowym Jorku organizuje 39-tą doroczną sesję naukową poświęconą tym razem sztuce i poezji polskiego Renesansu. W programie przewidziane są również dyskusje dotyczące aktualnej sytuacji politycznej w Polsce i współczesnej poezji. Własne wiersze czytać będą Ewa Lipska i Stanisław Barańczak. ■ Lech Wałęsa otrzymał nagrodę im. George'a Meany przyznaną w tym roku po raz pierwszy przez amerykańskie związki zawodowe AFL-CIO. Miarą jego popularności w Ameryce jest fakt, że *Newsweek* reklamuje się wielkim zdjęciem Wałęsy i z podpisem: „Nasi konkurenci posłali reporterów do się o niego pytali. My rozmawialiśmy z nim osobiście”. ■ Edmund Szoka, amerykański biskup polskiego pochodzenia, został mianowany przez Jana Pawła II arcybiskupem miasta Detroit, jednego z największych skupisk ka-

tolików w Ameryce. ■ W styczniowym numerze *National Geographic* wydrukowano 30-stronicowy fotoreportaż z Podhala Iwony Momatiuk i Johna Eastott. ■ W początku kwietnia liczne zebrania oddziałowe Kongresu Polonii Amerykańskiej poświęcone były uczczeniu pamięci oficerów polskich poległych w Katyniu. Drugą sprawą poruszaną podczas zebrania była zbiórka pieniędzy na Bank Leków „Solidarności”. Kongres Polonii Amerykańskiej podał, że do dnia 24 marca br. zebrano na ten cel 174.451 dolarów, z tego 50 tys. pochodzi z fundacji Barbary Piaseckiej-Johnson. ■ Wiele amerykańskich uniwersytetów organizuje ostatnio spotkania i konferencje na tematy polskie. Dyskusje o ruchu „Solidarności” odbyły się ostatnio m.in. na uniwersytetach Amherst, Boston, Pennsylvania, Columbia, Yale i Harvard. Na uniwersytecie Western Michigan miała miejsce konferencja dotycząca wpływu Polski na inne kraje Europy wschodniej. W konferencji uczestniczyli m.in. profesorowie Alex Pravda, Roman Szporluk i Andrzej Ehrenkreutz. Prof. Ehrenkreutz brał również udział w dyskusji nt. „Polska i Stany Zjednoczone”, zorganizowanej przez waszyngtońskie Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych. W dyskusji zabierali głos także b. ambasador amerykański w Polsce Richard Davis, W. Bniński, J. Nowak, Z. Fallenbuchl, S. Wasowski i inni. Północnoamerykańskie Studium Spraw Polskich zorganizowało na uniwersytecie Ann Arbor dyskusję dotyczącą finansowej pomocy dla Polski. W dyskusji uczestniczyli m.in. R. Davis i prof. Fallenbuchl. Na tym samym uniwersytecie Stowarzyszenie Studentów Polsko-Amerykańskich zorganizowało „Dzień Solidarności z 'Solidarnością'”. Na uniwersytecie stanowym w Detroit Studium Spraw Polskich zorganizowało również wystawę polskich druków opozycyjnych z lat 1976-1981. ■ Z okazji 80-ciolecia prof. Aleksandra Turyna odbyła się w Uniwersytecie Stanow w Urbana, Ill uroczystość wręczenia mu „Festschrift”, wydanej przy udziale wielu uczonych europejskich i amerykańskich. Prof. Turyn — przed wojną profesor filologii klasycznej na Uniwersytecie Warszawskim — w latach 1941-1970 był profesorem klasyki na Uniwersytecie w Urbana. ■ W dniach 1-2 maja 1981 roku odbyły się w Nowym Jorku doroczne obrady Polskiego Instytutu Naukowego. Porządek dzienny konferencji obejmował poza wyborami nowego zarządu szereg sesji o tematyce z zakresu historii, socjologii i literatury, z udziałem polsko-amerykańskich oraz amerykańskich naukowców. Jednym z gości Konferencji był Stanisław Barańczak, który ostatnio objął katedrę slawistyki na uniwersytecie harwardzkim. Jeśli chodzi o problematykę polityczną dotyczącą ostatnich wydarzeń w Polsce, na uwagę zasługiwała sesja w dn. 1 maja pt. „Sytuacja w Polsce”. Uczestniczyli w niej prof. Adam Bromke, Victor Gray — kierownik sekcji polskiej w departamencie stanu, dr Zygmunt Nagórski, William Shaufele b. ambasador USA w PRL oraz Bolesław Wierzbiański, redaktor naczelny *Nowego Dziennika*, wychodzącego w Nowym Jorku. Mówcy w swych kolejnych wystąpieniach bądź ograniczali się do pewnych uwag typu informacyjnych, bądź też, jak prof. Bromke, dr Zygmunt Nagórski i red. B. Wierznego, bądź też, jak prof. Bromke, dr Zygmunt Nagórski i red. B. Wierzbiański — występowali z krótką analizą wydarzeń. Według opinii sprawozdawcy najbardziej treściwe i zwarte było wystąpienie prof. Bromke. Prof. Bromke, który w niedalekiej przeszłości akcentował konieczność pogodzenia się z rządami sowieckimi w Polsce, hołdując poglądom iż realne interesy Polaków i innych ludów Europy wschodniej wykluczają wszelkie opór wobec Kremla, uznał obecnie doniosłość przełomu jaki zapoczątkował konanie iż próba zgniczenia rozwijającego się ruchu siłą doprowadziłyby do rozpadu sowieckiego imperium. Zbliżyony do niego pogląd sformułował dr Z. Nagórski. Sesji przewodniczył prof. Feliks Gross. W pierwszym dniu Konferencji odbyły się wybory do Zarządu Głównego. Zarząd wybrano bez zmian w jego dawnym składzie z dodatkiem prof. Zbigniewa Brzezińskiego, który w konferencji nie uczestniczył. Obrady zakończył bankiet w czasie



którego przemawiali prof. Stanisław Barańczak oraz prof. Richard Pipes wyższy urzędnik Rady Bezpieczeństwa Stanów. Prof. Pipes — urodzony w Polsce, ukończył gimnazjum w Warszawie — zachował płynną i bezbłędną znajomość polskiego. ■ 25 marca 1981 zmarł w Catonsville, Maryland (USA), w wieku 96 lat, Michał Kwapiszewski, jeden z najstarszych dyplomatów RP. W czasie ostatniej wojny był on radcą ambasady RP w Waszyngtonie w randze ministra pełnomocnego. Po wojnie przez 15 lat pracował w US Library of Congress w Waszyngtonie.

## NOTY

### PRYMAS WĘGIER W ROLI PROPAGANDZISTY REŻYMU I CENZORA LISTÓW PAPIESKICH

W nr. 1/2 *Kultury* z bież. roku omawiałem wywiad kard. Lekai'a, w którym ostro zaatakował O. Werenfrieda Van Straaten za sprawozdanie o sytuacji Kościoła na Węgrzech, określając je jako „stek kłamstw”. Na to oskarżenie kierownik zasłużonej międzynarodowej organizacji charytatywnej „Pomoc Kościołowi w potrzebie” (*Kirche in Not*, Koenigstein, RFN) replikuje w liście otwartym zamieszczonym 16 kwietnia na łamach katolickiego tygodnika włoskiego *Il Sabato*. Czasopismo bolońskie *Il Regno*, które opublikowało wywiad z Prymasem Węgier, cytowany następnie przez prasę międzynarodową, odmówiło publikacji tego listu.

O. Werenfried stwierdza m.in., że inkryminowane sprawozdanie było opracowane przez kapłana węgierskiego, który w przeciwieństwie do kardynała „nie został odznaczony najwyższym orderem państwowym, lecz cierpiał za Chrystusa i pozostał mu wierny”. Tekst sprawozdania był konsultowany „przez przyjaciół i doradców węgierskich” organizacji kierowanej przez O. Werenfrieda, którzy zweryfikowali opublikowane fakty. Na oskarżenie go o kłamstwa „w celu wywarcia wpływu na ludzi i dla pieniędzy, tylko po to, by je zdobyć”, odpowiada: „Z polecenia i z błogosławieństwem trzech papieży głosiłem czynne miłosierdzie przez 35 lat. Miliony uchodźców i prześladowanych są za to wdzięczni. W roku ub. pomogłem Kościołowi na Węgrzech darami o wartości 2.264.000 dolarów. Czy swój sąd o tej działalności mógłby kardynał potwierdzić wobec biskupów węgierskich, sędziwych kapłanów, zakonnie wypędzonych z klasztorów, księży dyskryminowanych, wiernych modlących się w podupadających kościołach?”

Kardynał Lekai zaprzecza, by zajmował negatywne stanowisko wobec tzw. wspólnot podstawowych czyli samorzutnie organizowanych grup wiernych, złożonych przede wszystkim z młodzieży. O. Werenfried wyjaśnia, że według wiarygodnych informacji Lekai próbował podporządkować je kontroli państwowej, wywoływać rozłamy, odróżniając „dobre” grupy od „złych”, likwidować ten ruch. I po przytoczeniu faktu wydalenia — pod zarzutem udziału w tych grupach — z seminarium w Budapeszcie sześciu studentów teologii, stwierdza dosłownie: „Rozumiem dobrze, że te małe wspólnoty podstawowe i młodzież nie mogą podzielać Waszej polityki ocenianej jako zbyt ustepliwa wobec reżymu komunistycznego. Ale to nie upoważnia Ks. Kardynała do publicznego denuncjowania tych grup, które usiłują uzyskać w ustroju totalitarnym przestrzeń wolności dla wiary, nawet jeśli czasem błędą lub przesadzają”.

Nie zgadza się z opinią kard. Lekai'a, że nominacja kard. Casaroliego na Sekretarza Stanu jest „dowodem”, iż Jan Paweł II podziela pogląd Prymasa Węgier o konieczności kontynuowania polityki, jaką ten ostatni nazywa „węgierską drogą małych kroków i układów”. Kontestuje również powołanie się na listy Papieża do episkopatu i kleru węgierskiego, w których Lekai nie dostrzegł krytyki hierarchii. Papieski list wielkanocny w 1980 roku na temat palącego problemu nauczania religii był czytany w kościołach na Węgrzech w wersji ocenzurowanej przez Prymasa. Tekst integralny — jak skrupulatnie oblicza O. Werenfried — zawierał 556 wierszy, w prymasowskim liście okólnym dla parafii pozostało 177 wierszy, 36 kard. Lekai „streścił własnymi słowami”, 343 wiersze „zostały przez ks. Kardynała skreślone, co równa się 61,7% objętości listu papieskiego”. O. Werenfried przypisuje tę interwencję „chirurgii estetycznej” poleceniom Urzędu d/s Kościelnych. Rozprawia się następnie w sposób jednoznaczny z kardynałem „uprawiającym poprzez superoptymistyczne deklaracje propagandę na rzecz władz rządowych”: „W swoich coraz liczniejszych panegirach prorządowych Ks. Kardynał utrzymuje, że na Węgrzech nie Kościół, lecz marksizm zrealizował naukę społeczną Kościoła... Sprawiedliwość społeczna nie ogranicza się do przysparzania dobrobytu materialnego lub społecznej opieki zdrowotnej również dla kapłanów” (cytat z wywiadu Lekai'a). Wymaga przede wszystkim poszanowania godności i wolności człowieka”.

W zakończeniu O. Werenfried pisze m.in.: „Ten list jest straszny. Dałbym nie wiem co za to, by nie być zmuszonym do jego napisania. Czuję się jak kat, który ma obciąć głowę skazanemu, ale przedtem prosi go o przebaczenie. Wybacz mi biedny Ks. Kardynał, jeśli muszę przeciw Jego ustępstwom ochraniać Jego kapłanów i wiernych, Jego kraj uciemiężony, Jego Święty Kościół Boży. Nie jestem sędzią Ks. Kardynała, nie osądzam Jego intencji. Przyrzekłem jednak Jego poprzelnikowi (tzn. kard. Mind-szentemu), że uczynię wszystko, aby pomóc jego owczarni. Jestem w służbie Kościoła prześladowanego, którego Ks. Kardynał jest jednym z najbardziej tragicznych przedstawicieli. W tej chwili to Ks. Kardynał jest najwybitniejszą ofiarą prześladowania. Modłę się za Niego każdego dnia. Niech Bóg Go wspiera w zmartwieniu, które jest na pewno ogromne. Niech Da Mu moc wykonania gestu ponadludzkiego heroizmu. Drogi Kardynał, proszę przybyć tutaj, gdzie można swobodnie przemawiać, ogłosić tu pełną prawdę o tym, co przeżył w tajnikach swego wielkiego więzienia węgierskiego. Mów o prawdziwym obliczu tych, którzy prześladowują Kościół, o metodach diabelskich, jakimi go zniszczyli. A potem usunąć się w zacisze. Tylko z Bogiem. Niech Go błogosławi i da Mu pokój” (list jest datowany 9 lutego, Koenigstein).

D. M.

### „POMOC KOŚCIOŁOWI W POTRZEBIE” DLA POLSKI

Organizacja O. Werenfrieda Van Straaten przekazała Kościołowi polskiemu w ub. roku pomoc o wartości ok. 3 milionów dolarów. Złożyły się na nią: środki na utrzymanie klasztorów kontemplacyjnych, zakup dla nich sprzętu do wyrobów rękodzielniczych, dotacje na remont budynków klasztornych, na rozbudowę seminarium, na wyposażenie domów starców dla księży, na akcję dobroczynną, na zakup papieru do druku, na pomoce dydaktyczne dla katechezy, na urządzenia sanitarne, kuchenne i remont przytułków dla chorych i starców oraz pomoc na wykształcenie, studia językowe i koszty podróży dla misjonarzy. W tym roku dotacje będą zwiększone, zwłaszcza



na opłacenie papieru dla wydawnictw kościelnych i na modernizację drukarni oraz na budowę kościołów. W biuletynie kwietniowym O. Werenfried stwierdza: „Pomoc jest tym bardziej uzasadniona, że już dziś Kościół polski zastępuje na placówkach misyjnych kraje zachodnie, zbyt ubogie w kapłanów, a któregoś dnia przyjdzie mu może rechrystianizować Europę. Nasza pomoc dla Polski jest także inwestycją na przyszłość”. Organizacja „Pomoc Kościołowi w Potrzebie” podjęła w ostatnich miesiącach akcję „Statek dla Polski”. Apelując do potencjalnych ofiarodawców na świecie, O. Werenfried pisze: „Liczymy na to, że uda nam się wysłać do Polski setki ton żywności. Obiecujemy, że te produkty będą zwolnione z cła. Biskupi i rząd współdziałają aby zapobiec katastrofie, do której może dojść bez pomocy zagranicznej. My również musimy się do tego przyczynić. Akcja nasza będzie kosztować miliony. Kardynał Wyszyński liczy na Was”.

D. M.

SPOTKANIE  
KRAJOWEJ KOMISJI POROZUMIEWAWCZEJ  
Z WICEMINISTREM SPRAW ZAGRANICZNYCH PRL  
JÓZEFEM WIEJACZEM — GDAŃSK, 9-10. IV. 1981\*

Wiceminister J. Wiejacz w pierwszej części spotkania przedstawił polską koncepcję polityki zagranicznej, genety jej szukając w drugiej wojnie światowej oraz w układach jałtańskim i poczdamskim. Za zasady obecnej polityki zagranicznej uznał sojusz z ZSSR, dążenie do rozbrojenia, któremu służy wysuwanie przez rząd PRL inicjatyw pokojowych na forum międzynarodowym (wiceminister podał tu wiele przykładów, m.in., jako jeden z pierwszych, „plan Rapackiego”). Obecnie Polska jest w centrum zainteresowania polityków całego świata ze względu na znaczenie naszego kraju w systemie równowagi sił Wschód-Zachód. Wiceminister uznał NATO za pakt o charakterze agresywnym. Po pewnym czasie przerwano wiceministrowi wystąpienie, prosząc go, aby raczej udzielał odpowiedzi na pytania członków KKP. Na pytanie *Wałęsy*: — Co jest dla kogo niekorzystne? (ponieważ minister mówił dużo o niekorzystnej dla nas destabilizacji w kraju). *Odpowiedź*: — W naszym interesie leży odprężenie międzynarodowe. *Pytanie*: — Skoro „oni” tak strasznie się zbroją, to dlaczego mają co jeść, a my nie? *Odpowiedź*: — To są sprawy gospodarcze, zawsze byli od nas bogatsi, zamożniejsi. *Pytanie Cierniewskiego*: — Na jakich zasadach prawnych odbyła się interwencja ZSRR w Czechosłowacji w 1968 roku? *Odpowiedź*: — Trzeba wziąć pod uwagę, że powody do niepokoju są natury ideologicznej. W Polsce występują zjawiska zupełnie nowe, do tej pory niespotykane. Husak wyraził chęć pomocy, Breżniew wypowiedział się dość powściągliwie (na Zjeździe KPCz o sytuacji w Polsce). Ze strony poważnych polityków nie ma obecnie takich dążeń. Wracając do pytania Cierniewskiego — są w Układzie Warszawskim zobowiązania sojusznicze wewnętrznej i zewnętrznej natury. Ewentualna interwencja — tylko na wypadek groźby, że kraj „wypadnie” z sojuszu. Klauzule Układu Warszawskiego przewidują pomoc wojskową na zasadzie porozumienia stron. *Gwiżdza* (zar-

\* Informację tę podajemy za *Tygodnikiem Biura Informacji Prasowej NSZZ „Solidarność”* nr 2, Gdańsk 16. IV. 1981 oraz za *Solidarnością* MKZ NSZZ „Solidarność” w Gdańsku, nr 12/42 z 15. IV. 1981.

to bliwie): — Jak stwierdzimy, że władza w Związku Radzieckim doszła do takich wypaczeń, że musimy interweniować, to kiedy możemy wkroczyć? *Odpowiedź*: — Chyba, że Pan stanie na czele tych wojsk. *Cierniewski*: — Propaganda sąsiadów mówi o siłach antysocjalistycznych. Czy minister może to odnotować? *Odpowiedź*: — Czesi mają trochę urazu za 68 rok, NRD jest ciągle narażona na propagandę RFN (opcja jednoczeniowa). *Nowak, Poznań*: — Skąd Rakowski miał informację o interwencji (chodzi o sytuację podczas rozmów z grupą negocjatorską KKP po Bydgoszczy)? *Odpowiedź*: — Widocznie przewidywał najgorsze. *Nowak*: — Dlaczego prasa sąsiadów (daje przykład *Neues Deutschland*) oczernia nasz związek, Wałęsę również? *Odpowiedź*: — Trzeba rozróżniać — każdy ma prawo do własnej oceny. Tego nie można nikomu zabronić. Nie wchodzimy w polemiki i spory, by nie dolewać oliwy do ognia (w dalszym ciągu odpowiedzi nie mówi o prasie wschodniej, ale o zachodniej, która jego zdaniem w wielu wypadkach wykorzystuje to co się dzieje w Polsce dla własnych, często wrogich celów politycznych. Powiedziałem to, co mogłem w tej chwili powiedzieć. *Kurpiński*: — Cemu służy dezinformacja w ZSRR? *Odpowiedź*: — Nie potrzeba, żeby w ZSRR urabiano o nas opinię, bo i tak wielu obywateli tego kraju uważa nas za element wicherzycielski i za naród, który nie potrafi się wyżywić. Nie chcę bronić faktów przekręcania informacji i informacji nieprawdopodobnych. *Kurpiński*: — Chodzi o podawanie faktów ewidentnie nieprawdopodobnych. *Odpowiedź*: — Powinniśmy to rozwiązywać na drodze współpracy, nie konfrontacji, np. współpracy redakcji. *Kurpiński*: — Decyzja o przedłużeniu manewrów? *Odpowiedź*: — Kraje socjalistyczne były zaniepokojone sytuacją w naszym kraju. *Kurpiński*: — A tak zwane siły antysocjalistyczne? *Odpowiedź*: — Za premierem Jaruzelskim — to te, które nie pomagają wyjść z kryzysu. Jeśli chodzi o „Solidarność”, to tylko nie znający realiów może ją umieszczać w obozie kontrrewolucji. *Dymarski*: — Czy ministerstwo ma informację, że w KKP są elementy antysocjalistyczne? *Odpowiedź*: — [Mówi o konieczności wzajemnych kontaktów (MSZ-KKP), ale nie udziela konkretnej odpowiedzi. Dodaje]: Wypowiedzi członków „Solidarności” nie zawsze są przemyślane, ale rozumiem to. To się zdarza. *Wach* (Tychy): — Czy oficjalne wyjaśnienie zbrodni w Katyniu nie przyczyniłoby się do poprawy stosunków PRL-ZSRR? *Odpowiedź*: — Na pytanie o Katyni to Sokorski dobrze odpowiedział ostatnio, żartem oczywiście, że jest to pytanie za 5 tysięcy dolarów. Czy jest ktoś na sali, kto ma tyle?... Myslę, że jest to oczywiście sprawa bardzo bolesna, wiele jest takich tragicznych spraw w stosunkach między Polską i Rosją, i potem Związkiem Radzieckim, przy tym miejmy świadomość, że są to sprawy wzajemne. (...) Nie jest to moment, kiedy należałoby podejmować te trudne sprawy z przesłanką. Czemu by to służyło? Służyłoby to jątzerzeniu (...). Jest faktem, że jest tam pomnik, że są składane wieńce przez delegację ZBOWiD-u roku, o ile jestem dobrze poinformowany, to może nawet delegacja ZBOWiD-u pojechała na uroczystość. *Głos z sali*: — A „Solidarność” może pojechać? *Odpowiedź*: — Jeżeli „Solidarność” wejdzie do Frontu Jedności Narodu to ja nie widzę przeszkód, żeby brała udział w różnych narodowych delegacjach tu i tam. *Głos z sali*: — Ale FJN to nielegalna organizacja, bo nie jest zarejestrowany. *Rak*: — Koszty pobytu wojsk Układu Warszawskiego w PRL? *Odpowiedź*: — Nie mam danych. *Gwiżdza*: — Dlaczego przedłużono manewry, jeżeli w napiętych sytuacjach zazwyczaj na całym świecie się je wstrzymuje? *Odpowiedź*: — Sam odetchnąłem z ulgą, kiedy się zaczęło. Sprawa polska była w centrum uwagi. *Gwiżdza*: — Kto zdecydował? *Odpowiedź*: — Podaje przykład książki angielskiego generała według której trzecia wojna światowa zaczyna się w Polsce od lokalnego konfliktu (jest to zarazem odpowiedź na poprzednie pytanie). *Cyran*: — Moja wyjściowa ocena sytuacji jest całkiem inna (nawiązuje do



początkowych słów wiceministra). Przeżyłem już wiele, m.in. rok 39, zaznaczam to, by nie było niejasności. ZSRR dotarł do Łaby i na tych terenach podporządkował sobie państwa tam leżące. Zachód się na to zgodził. Nie jesteśmy w pełni suwerenni, decyduje ZSRR. Dla podporządkowania innych używa czołgów i napalmu (Afganistan). W Czechosłowacji aresztowali legalny rząd. Nam jako Polsce grozi to samo, bo ZSRR uważa, że ma prawo. Co robi Ministerstwo Spraw Zagranicznych, żeby to utrudnić? Nie chcemy występować z Paktu. Jeżeli do interwencji dojdzie, to będzie to wojna imperialistyczna. Bo nie my, ale nam będą chcieli zabrać wolność. Tę wojnę świat określi jako imperialistyczną! *Odpowiedź:* — Nie zgadzam się z taką oceną. Nie widzę powodu, żeby tak miało się stać. W sprawie suwerenności — czasy, kiedy państwa były całkowicie suwerenne, dawno już minęły. *Sobieraj:* — Co robi MSZ w sprawie możliwości utworzenia Polonii radzieckiej? *Odpowiedź:* — W ZSRR nie przewiduje się tworzenia takich grup. Byłoby to przyznanie Polakom nadzwyczajnych praw w ZSRR w stosunku do innych narodów. Staramy się dostarczyć im jak najwięcej informacji o naszym życiu i kulturze przez sieć naszych placówek dyplomatycznych. Polityka jest sztuką realnych możliwości... *Sobieraj:* — Fałszywe informacje TASS-a o sytuacji w Kieleckiem? *Odpowiedź:* — Była akcja z naszej strony, dementi ze strony TASS i zmiana ich personelu w Warszawie. *Sobieraj:* — Kredyty dla Polski — pozostają w Polsce? (Są podobno takie klauzule przy pożyczkach). *Odpowiedź:* — Nie ma takich klauzul. To są pieniądze tylko dla Polski. *Sobieraj:* — Liczebność armii ZSRR w Polsce? *Odpowiedź:* — Dwie dywizje (z tego co wiemy). *Przydział:* — Rząd PRL zawsze oficjalnie popiera walkę ludów trzeciego świata i innych o wyzwolenie narodowe. Czy rząd popiera też walkę narodowo-wyzwoleńczą w Afganistanie? *Odpowiedź:* — Jesteśmy za politycznym rozwiązaniem konfliktu, zwołaniem konferencji z udziałem wszystkich zainteresowanych stron. *Rozpłochowski:* — Jak Polsce służy sprawa więźniów politycznych? *Odpowiedź:* — Ta sprawa nie waży na prestiżu i pozycji Polski. Na pytanie *Gwiadzy*, czy MSZ nie powinien wystosować do władz radzieckich odpowiedniej noty w sprawie przesładowań tamtejszych działaczy niezależnego ruchu związkowego *odpowiedź:* — Ja takiej noty nie wysłę. *Rozpłochowski:* — Na zewnątrz — same postępowe inicjatywy, a wewnątrz — zacieśnianie swobód? *Odpowiedź:* — Za Gierka każdą inicjatywę MSZ rozdymano propagandowo, teraz staramy się tego nie robić, bo sytuacja wewnętrzna na to nie pozwala. Niech byśmy próbowali wysunąć np. propozycję nowego ładu ekonomicznego... *Rozpłochowski:* — Pyta o możliwość użycia Wojska Polskiego np. w Azji, w Czechosłowacji? *Odpowiedź:* — Traktatowych ustaleń nie ma. 68 rok w Czechosłowacji — to była decyzja jednorazowa. Na pytanie, czy to prawda, że Zdzisław Grudzień ma zostać wysłany na placówkę dyplomatyczną — *odpowiedź:* — Grudzień nie wchodzi w ogóle w grę. No dajcie spokój... (oklaski).

W dalszej dyskusji wiceminister Wiejacz stwierdził, że rząd nie zamierza ingerować w zagraniczne kontakty „Solidarności”, doradził natomiast „rozsądny wybór partnerów” (wiadomo — stwierdził minister — że AFL-CIO nie kryje się z antysojalistycznymi deklaracjami). Stwierdził również, że wywiady udzielane przez działaczy „Solidarności” dziennikarom zachodnim mogą być wykorzystywane przeciwko Polsce. W sprawie pytań A. Gwiadzy o zakazy wyjazdów z PRL dla działaczy sprzed Sierpnia, a także możliwość powrotu emigrantów z 1968 roku wiceminister obiecał, że MSZ zainteresuje się tą sprawą. Podzielili również zdanie, że informacja o obsadzie polskich placówek dyplomatycznych i międzynarodowych umowach handlowych (kredyty) jest nadal niewystarczająca, co sprzyja rodzeniu się i krążeniu plotek.

## Listy do Redakcji

Pretoria, Płd. Afryka, 16 kwietnia 1981.

Wielcy Szanowny Panie Redaktorze,

Dziękuję za umieszczenie artykułu pana Zygmunta K. Dąbrowskiego w *Kulturze* nr 4/403, str. 122-134 i w związku z tym artykułem proszę o podanie w *Kulturze* kilku poprawek językowych.

Słowo *Voortrek*, pisane dużą literą, znaczy początek wielkiego *trek'u* tzn. wędrówki lub wycieczki Burów z kolonii kaapskiej w roku 1833. Słowo *voortrekker* oznacza więc uczestnika tej wędrówki, a obecnie również członka organizacji młodzieżowej *voortrekker'ów* i spolszczona liczba mnoga tego słowa brzmi *voortrekkerzy* a nie *roortrekkerzy* (str. 123). Przywódca etnicznej grupy Zulu nazywa się Gatscha Buthelezi („gacza butelezi”) (str. 129 i 130). Słowo *kraal* przyjęło się w języku angielskim i oznacza według Bulasa i Stanisławskiego zagrodę, wieś murzyńska otoczoną płotem lub ogrodzenie dla bydła i owiec. „Kraael'u” nie ma.

Obecnie projektuje się nowy ośrodek przemysłowy w Bronkhorstspuit, które leży około 50 km na wschód od Pretorii. Być może, że o tej miejscowości autor myślał, a nie o nieznanym Bronchosspuit.

Chciałbym czytelników *Kultury* powiadomić, że na 16 uniwersytetów w tym kraju jest jeden dla Hindusów, jeden dla kolorowych, cztery wyłącznie dla czarnych i jeden otwarty dla wszystkich ras. Wymieniam je w porządku alfabetycznym oznaczając personel uczący (profesorowie, wykładowcy) przez PU, a studentów przez S.

1. *University of Durban-Westville*, założony w 1960 r. dla Hindusów. Język wykładowy: angielski, PU 300, S 4.895.

2. *University of Fort Hare* (Ciskei), założony w 1916 r. jako S.A. Native College. Od 1960 do 1970 podlegał departamentowi Bantu Education, a w 1970 r. uzyskał status uniwersytetu. Jest on przeznaczony dla grupy etnicznej Xhosa. PU 186, S 2.400.

3. *Medical University of Southern Africa*, założony w 1976 r. dla czarnych studentów medycyny, dentystryki i weterynarii.

4. *University of the North*, założony w 1959 r. dla grup etnicznych Tsongo, Sotho, Venda i Tswana. Język wykładowy: angielski, PU 167, S 1.474.

5. *University of South Africa*, założony w 1873 r., Royal charter 1877 r., od 1946 jest uniwersytetem korespondencyjnym, otwartym dla wszystkich ras bez względu na kraj zamieszkania. Język wykładowy: afrikaans i angielski, PU 900, S 55.000, w tej liczbie dużo czarnoskórych, Hindusów i kolorowych.

6. *University of Western Cape*, założony w 1960 r. dla kolorowych i grup etnicznych Griqua i Malajów. Język wykładowy: afrikaans i angielski, PU 223, S 3.501.

7. *University of Zululand*, założony w 1960 r. dla grup etnicznych Zulu i Swazi. Język wykładowy: angielski, PU 145, S 1.243.

Do tej liczby dochodzi *University of Transkei*, założony w 1977 r. w niezależnym państwie Transkei, wydzielonym z Republiki Afryki Południowej. Język wykładowy: angielski, PU 56, S 650.



Drabinki do wspinania się w górę są nie tylko dla białych, ale i dla czarnych, dla Hindusów, którzy czasem też są bardzo czarni, jak i dla kolorowych.

(Powyższe dane wzięłem z *The World of Learning 1979-1980* wyd. 30, Europa Publications Limited, London 1979).

Łączę serdeczne pozdrowienia.

Dr F. KAŁUŻA

Madryt, 16 marca 1981.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uwaga, dotycząca artykułu Tymoteusza Klempskiego, „Matka świętych Polska”. Chodzi mi o zdanie: „To dlatego musieliśmy aż z Sewilli importować św. Izydora, by go przybrać w wieśniacze szaty krakowskie czy kujawskie”.

Jeżeli to miał być dowcip, to całkowicie chybiony. To zupełnie nie tak. Święty Isidoro z Sewilli (wiek VI-VII) był właśnie andaluzyjskim szlachcicem, więc do ubierania go w „wieśniacze szaty” nie nadawał się. Pewnie chodziło o późniejszego o pięćset lat św. Izydora Rolnika (San Isidro Labrador), który jest patronem miasta Madrytu, a w Sewilli nigdy nie był (XI-XII wiek). Zresztą jest niuans w imieniu: Sewilijczyk nazywał się Isidoro, a ten drugi, który zwykł sypiać pod drzewkiem, gdy aniołowie za niego orali, po prostu — Isidro. Minęło pięć stuleci, nawet w imionach świętych następowały zmiany.

Miałbym do Klempskiego znacznie więcej pretensji, ale na razie niech wystarczy ta jedna.

Józef ŁOBODOWSKI

Paryż, 22 kwietnia 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

Cieszyć się należy z faktu, że *Kultura* stara się zamieszczać informacje (choć niestety skąpe i na ogół niesystematyczne) o działalności i dorobku polskich twórców działających na obczyźnie. Gorzej jednak gdy informacja przetrada się w, nieświadomą zapewne, dezinformację. A taki charakter ma niestety artykuł Tadeusza Heinicha pt. „Hommage to Chopin i Polonia A. Panufnika” (*Kultura* nr 4/403, 1981, str. 140-142). Otóż autor już na wstępie solennie zaznacza, a następnie raz jeszcze potwierdza na końcu artykułu, że „jak dotychczas Polska nie odegrała żadnej roli w historii baletu” oraz, że chodzi o dziedzinę sztuki „w której Polacy byli jak dotychczas obcy”. Do tych kategorycznych a nader wątpliwej wiarygodności stwierdzeń dołącza się zamieszczenie spowodowane tym, że autor nie precyzuje zupełnie czy ma na myśli balet jako sztukę tańca scenicznego i choreografii, czy też balet jako formę kompozycji muzycznej.

Słusznie informując o międzynarodowych sukcesach baletowych kompozycji Andrzeja Panufnika, czy choreograficznym zastosowaniu innych jego utworów zdaje się zupełnie ignorować jego poprzedników na tym polu, jak i następców, jak Różycki, Szymanowski, Palester, nie mówiąc już o całej plejadzie wybitnych polskich kompozytorów powojennego okresu. Podobnie wiadomości o polskim baletcie (w sensie tańca i choreografii) pełne są niedokładności i błędów, np. przedwojenny Polski Balet Reprezentacyjny (co

za niefortunna nazwa) nie został bynajmniej założony przez Bronisławę Niżyńską, ale z inicjatywy Jana Lechonia przez dyr. Szyfmana, znakomitego organizatora i animatora polskiego życia teatralnego na przestrzeni z górą półwiecza. B. Niżyńska była jedynie przez rok choreografem tego zespołu i niewątpliwie w istotny sposób przyczyniła się do jego sukcesów na paryskiej Wystawie Światowej; m.in. do zdobycia złotego medalu dla baletu „Pieśń o Ziemi” Romana Palestra. Polski Balet i po jej odejściu kontynuował pod kierunkiem Jana Cieplińskiego swą międzynarodową działalność propagując m.in. „Harnasie” Karola Szymanowskiego. Dopiero wybuch wojny w roku 1939 położył jej kres.

Nie wiem też z jakich źródeł pochodzą przedziwne transkrypcje znanych nazwisk polskich artystów bo np. niejaki „Woidzikowski” to chyba nikt inny niż znakomity polski tancerz i choreograf Leon Wójcikowski, ten sam, który już w roku 1917 brał udział w londyńskiej premierze „Trójgraniastego Kapelusza” Manuela de Falla’i, a potem aż po lata 60-te rozwijał bardzo ożywną działalność w Polsce (głównie) i za granicą, przed i po wojnie (ostatnim miejscem jego pracy była Kolonia).

I wreszcie sprawa może szczególnie rażąca; *Kultura* słusznie uważa się i jest uważana za pismo polskie, choć wychodzące we Francji, tymczasem artykuł T. Heinicha pisany jest rodzajem polonijnego żargonu, naspikowanego anglicyzmami, co powoduje, że niektóre sformułowania stają się całkowicie niezrozumiałe np. „David Bintley... napisał (???!!!)\* już siedem baletów”; „wznowił Hommage to Chopin dodając do tego nową produkcję” ???!!...\*\*

W sumie więc staranność korekty, także merytorycznej, okazuje się niezębna.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

A. SUTKOWSKI

Nowy Jork, 10 kwietnia 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 3/402 *Kultury* na stronie 95 ukazał się tekst Zdzisława Baua pod tytułem „Z Nowego Jorku poza cenzurą”, dotyczący incydentu, jaki autor wywołał w redakcji *Nowego Dziennika*, a którego przebieg został przedstawiony jednostronnie. Niezależnie od tego jaki wydzźwięk usiłował sprawie nadać p. Bau, jest ona natury trywialnej, stojącej poza praktyką dziennikarską i publicystyczną; dlatego na tekst ogłoszony w *Kulturze* odpowiadam z zalem i niechęcią.

Oto jak wyglądał przebieg incydentu, widziany przez redakcję, względnie przeze mnie.

Pan Bau przez szereg lat pisywał do *Nowego Dziennika* felietony podpisane pseudonimem Bob i rzeczywiście na skutek specyficznego podejścia do tematów, języka okraszonego makaronizmami z wielu języków (co wielu czytelnikom nie odpowiadało) i niezaprzeczalnej oryginalności korzystał z przywileju, że jego teksty, z kilkoma wyjątkami, szły do druku bez zmian.

12 stycznia br. byłem na konferencji w Waszyngtonie, zwołanej przez Kongres Polonii Amerykańskiej dla określenia stosunku do sytuacji w Polsce. Tak się złożyło, że kolega redakcyjny, który miał mnie tego dnia zastępować, był nieobecny na skutek choroby. Ale artykuł można było

\* Choreograf nie może baletu „napisać”, może go ułożyć.

\*\* Chyba chodzi o realizację sceniczną?



wręczyć komukolwiek w redakcji. P. Bau często bowiem zostawiał swoje teksty w sekretariacie redakcji. Przez zbieg okoliczności trafił do p. Dymitrowa, który w redakcji był zaledwie 5 dni, a który wbrew temu co p. Bau pisał, ani nie miał tytułu, ani funkcji redaktora zarządzającego. Dlaczego p. Bau, znający nasz dziennik od pierwszych chwil istnienia, uważał, że musi wdać się z p. Dymitrowem w dyskusję nad swoim felietonem, niewiem. Nie mam odpowiedzi. Może interesowało go poznanie nowego człowieka w redakcji?

I tu zaczyna się pierwsza trudność z tekstem zamieszczonym w *Kulturze*. Relacja p. Dymitrowa zasadniczo różni się od relacji p. Baua. P. Dymitrow stanowczo zaprzecza, aby był nieuprzejmy, albo, aby „zachowywał się obcesowo”. Owszem, miał wątpliwości do „fasowania malin”, którym to powiedzeniem p. Bau postępuje się dosyć często. Stanowczo też zaprzecza aby użył zdania, że „języka tak się nie kaleczy w *Życiu Warszawy*”. To zdanie — utrzymuje p. Dymitrow — jest wymysłem p. Baua. A kiedy p. Bau powiedział, że korzysta z przywileju, że jego felietony idą do druku tak jak je oddaje, oświadczył, że „w takim razie nie czuje się kompetentny”. I nie był. Także rzucanie felietonu przez stół, zdaniem p. Dymitrowa, jest niecisłością.

Ale dopiero od tego momentu zaczynają się zasadnicze niecisłości p. Baua.

— Nie mógł przypuszczać, że decyzję o zamieszczeniu felietonu powezmę w ewentualnej rozmowie telefonicznej z redakcją. Rzeczywiście telefonowałem do redakcji, ale dopiero w przerwie konferencji, kiedy numer *Nowego Dziennika* był już złożony. Natomiast felietony p. Baua były często przekładane na następny dzień i taką samą ewentualność można było przyjąć i tego dnia.

— Artykułu p. Bau nie zostawił „w rękach sekretarza redakcji”, ale w rękach menadżera, p. Hieronima Wyszynskiego, którego, jak i całą redakcję, p. Bau zna od wielu lat. Decyzje redakcyjne nie leżą w jego kompetencji. Dlatego p. Wyszynski prosił, aby sprawę odłożyć do mojego powrotu. Kiedy jednak p. Bau dowiedział się, że nie ma decyzji o zamieszczeniu felietonu w numerze bieżącym, będącym już w stadium wykończenia, artykuł swój wycofał. Następnie żegnając się z p. Wyszynskim, który prosił go o poczekanie do mojego powrotu, o jeden dzień, oświadczył, że zrywa współpracę z *Nowym Dziennikiem*. Podkreślam jeszcze raz, stwierdził, że zrywa współpracę z *Nowym Dziennikiem*. Była to jednostronna decyzja wyłącznie p. Baua, nie redakcji, ani tym więcej moja, skoro byłam w Waszyngtonie.

— Następną sceną, którą mi zreferowano jest jeszcze bardziej ambarasująca. P. Bau w sekretariacie redakcji zaczął wykrzykiwać, że *Nowy Dziennik* angażuje cenzorów z *Życia Warszawy*, ludzi niepewnych i, że on, dziennikarz o długiej przeszłości, został obrażony. Według relacji scena miała charakter wulgarny, obraźliwy dla wydawnictwa i dla mnie osobiście. Na dodatek p. Bau zapowiedział, że poinformuje o tym wszystkich, co rzeczywiście z wielką energią czynił, składając wizyty u swoich i moich przyjaciół, wydzwaniając poza Nowy Jork, powodując wysyłanie do mnie listów.

— Nie telefonowałem do p. Baua, z którym znam się od wielu lat, doszedłem bowiem do przekonania, że: a) zerwał współpracę z *Nowym Dziennikiem*; b) obraził przez insynuacje kolegów redakcyjnych i mnie osobiście. Natomiast poprosiłem mego kolegę, współwydawcę, wiceprezesa wydawnictwa *Nowego Dziennika* Bolesława Łaszewskiego, aby z p. Bauem odbył rozmowę i skłonił go do zmiany decyzji. Nie wydawało mi się właściwe telefonować do osoby, która zachowuje się wobec mnie i wydawnictwa niestosownie. I tutaj następuje dalsza niecisłość.

— P. Bau rozmowę z p. Łaszewskim kwituje lakonicznie, jako niemal

nieistniejącą. A przecież ta rozmowa trwała półtorej godziny i p. Łaszewski prosił p. Baua, aby nie zrywał współpracy z *Nowym Dziennikiem*. Argumenty p. Łaszewskiego, stwierdzające, że p. Bau natrafił w redakcji na człowieka nowego, pracującego zaledwie pięć dni; że mógł poczekać jeden dzień na powrót z Waszyngtonu p.p. Wierzbiańskiego i Łaszewskiego; że nie można stosować zasady *pars pro toto* i na skutek drobnego incydentu zrywać współpracę z redakcją i dobrymi, starymi znajomymi i redaktorami, którzy starają się utrzymać prasę polską za granicą — nie trafiły do przekonania p. Baua. Nie trafiły też do przekonania argumenty, że kontrubacja polskich dziennikarzy do tej prasy jest ważna i musi wznosić się ponad personalne i ambicjonalne animozje.

P. Łaszewski czynił to w imieniu wydawnictwa, a ponieważ rozmawiał na moją prośbę — także i w moim imieniu. Odmowa p. Baua była stanowcza, mimo powoływania się na wieloletnią przyjaźń i współpracę.

Nie wiem jak odnosili się do p. Baua jego koledzy z *Expressu* w Warszawie, ani w *Orle Białym* i *Dzienniku Żołnierza*, ale wiem na pewno, że nie odważyłby się na wywołanie sceny na środku redakcji, czego dopuścił się w czasie mojej nieobecności w *Nowym Dzienniku*. Ani nie zrywał z nimi współpracy dlatego, że komuś w redakcji nie podobało się jakieś sformułowanie albo, że proponowano mu poczekać jeden dzień, szczególnie w sytuacji, kiedy p. Bau doskonale wiedział, że felieton jego poszedłby do druku.

Zgadzam się, że gdyby p. Bau nie wycofał swego felietonu, gdyby nie zerwał współpracy z *Nowym Dziennikiem*, zaproponowałbym korekty w biografii Głabińskiego, gdyż zawierała błędne informacje.

I wreszcie uwaga ostatnia. P. Bau pośrednio daje mi wskazówki, jak mam rekrutować personel. Nie wiem, jak on sam postępował przy doborze personelu w wydawnictwach, agencjach prasowych i dziennikach jakie zakładał czy prowadził. Moje doświadczenie potwierdza, że stare pokolenie dziennikarskie z okresu przedwojennego czy wojennego odchodzi i że nie ma innej metody, jak dobieranie przez redakcję zespołu spośród ludzi z kraju, chcących pracować w pismach Polonii, emigracji i w innych massmediach. „Dekompresja”, o jakiej pisze, odbywać się może tylko w pracy. Zresztą dokładnie pamiętam, że zalecał mi przyjmowanie do *Nowego Dziennika* osób, których nie znał w ogóle, które przybyły wprost z warszawskich środków masowego przekazu i jakoś mu wtedy nie uderzało „klawisz znacznie głębszego znaczenia”. Uderzył teraz.

Każdy z nas może chronić swoje ego, które przykrawamy albo wyolbrzymiamy według własnego zdania o sobie. Ale na zakończenie pozwól sobie wypowiedzieć opinię, że „duch szacunku” dla tych, którzy od 1945 roku „nie fasują malin”, w znacznej mierze zależy od nich samych.

Ponieważ sam tytuł artykułu p. Baua imputuje, że jego „ostatni felieton” był obiektem prób cenzury, stwierdzam, że gdyby p. Bau nie wycofał tekstu, nie pożegnał się z wydawnictwem i nie obraził naszej redakcji przez awanturę, a nawet gdyby był skłonił się do argumentacji p. Łaszewskiego, wiceprezesa wydawnictwa, jego felieton o p. Głabińskim nie byłby ostatnim.

Z poważaniem,

Bolesław WIERZBIĄŃSKI

Listem p. Bolesława Wierzbiańskiego zamykamy dyskusję na temat incydentu p. Zdzisława Baua z redakcją *Nowego Dziennika*. (Redakcja).



## UZUPEŁNIENIE

P. Piotr Iglowski, prezes Zrzeszenia Studentów i Absolwentów w Wielkiej Brytanii, zamieścił w kwietniowym (4/403) numerze *Kultury* list do Redakcji, w którym zaproponował zbiórkę pieniędzy dla zrehabilitowania nagrody *Kultury* dla p. Józefa Mackiewicza. W liście nie było adresu p. Iglowskiego, na który należałoby przekazywać pieniądze. Podajemy go obecnie:

PIOTR IGLIKOWSKI, 12 MALBOROUGH CRESCENT,  
LONDON W4 1HF. Tel. 01-994-3992.

## BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 313 — SERIA „DOKUMENTY”

## RAPORT O STANIE NARODU I PRL

Tom poprzedzony *Przedmową* Andrzeja Brzeskiego zawiera opracowania: Stefana Kurowskiego: *Doktrynalne uwarunkowania obecnego kryzysu gospodarczego PRL*; *Raport o stanie Rzeczypospolitej i o drogach do jej naprawy* opr. przez Komitet Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”; Józefa Kuśmierka: *O czym wiedziałem*; *Robotnicy nabrali odwagi* — wywiad z B. Borusewiczem; *wyjątki z Komunikatu 171 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski*.  
Str. 224. Cena F. 65,00.

TOM 320 — SERIA „DOKUMENTY”

## JAK Z TEGO WYJŚĆ?

Druga część „Raportu o stanie Rzeczypospolitej i drogach do jej naprawy” opracowanego przez Komitet Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”.

Str. 80.

Cena F. 25,00.

## WPŁATY NA KSS „KOR”

Bezimiennie z Grenoble (Francja) .....	F. 100,00
A. J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 100,00 .....	F. 240,00
Irena Strutyńska, Knutange-Nilwange (Francja) — za miesiące maj i czerwiec à F. 100,00 .....	F. 200,00

## WPŁATY NA NIEZALEŻNĄ OFICYNĘ WYDAWNICZĄ

A. T. z USA — \$ 48,00 .....	F. 264,00
Bezimiennie z Panorama, S.A. (Australia) .....	F. 330,00

## WPŁATY NA T.K.N.

A. J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 100,00 .....	F. 240,00
---	-----------

## WPŁATY NA K.P.N.

Piotr Zalewski, Wielka Brytania — £ 10,00 .....	F. 115,00
---	-----------



Czytelnicy *Pomostu* w Chicago przekazali kwotę \$ 1.602,00

z czego na:

„Solidarność” — \$ 842,00 .....	F. 4.631,00
Spotkania — \$ 100,00 .....	F. 550,00
T.K.N. — \$ 100,00 .....	F. 550,00
Bibliotekę Historyczną i Literacką — \$ 100,00 .....	F. 550,00
Niezależną Oficynę Wydawniczą — \$ 100,00 .....	F. 550,00
Ruch Młodej Polski — \$ 100,00 .....	F. 550,00
<i>Robotnika</i> — \$ 50,00 .....	F. 275,00
<i>Puls</i> — \$ 50,00 .....	F. 275,00
<i>Bratniak</i> — \$ 50,00 .....	F. 275,00
Fundusz Pomocy L. Moczulskiemu — \$ 50,00 .....	F. 275,00
Fundusz Pomocy Więźniom Politycznym — \$ 30,00 .....	F. 165,00
KSS „KOR” — \$ 30,00 .....	F. 165,00



—NOWOŚCI WYDAWNICZE—

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 321 — JANINA KOWALSKA

## POGRANICZE

Powieść o początkach polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii.

Str. 280.

Cena F. 80,00.

TOM 322 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

## SKRYTKI

Nowa powieść autorki

„Baśki i Barbary”

i innych książek, które zapewniły jej wysokie miejsce  
w literaturze emigracyjnej.

Str. 200.

Cena F. 55,00.

TOM 324 — HENRYK GRYNBERG

## ŻYCIE GODZIENNE I ARTYSTYCZNE

Powieść

Str. 180.

Cena F. 50,00.

TOM 335 — KAZIMIERZ BRANDYS

## MIESIĄCE

(1978 - 1979)

Zapisy pamiętnikarskie o charakterze osobistym na tle  
wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 256.

Cena F. 75,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt Légal: 2<sup>e</sup> Trimestre 1981.



# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002 .....		F. 115,00	F. 210,00
ARGENTYNA: « Liberia Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 .....	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, Tel. 212-2013 .....	\$A. 4,50	\$A. 26,00	\$A 48,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23 .....	F.B. 190,00	F.B. 1100,00	F.B. 2000,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury » .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176 .....	Fl h 10,50	Fl h 60,00	Fl h 110,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2, Tel. 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszczański, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W. Toronto 145 Ont.. Polish Alliance Presse, Ltd. « Związkowiec », 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7 .....	\$ Can. 6,00 DM 10,00 F. 20,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00 F. 115,00	\$ Can. 60,00 DM 100,00 F. 210,00
NIEMCY: St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss .....	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 20,00	K.S. 115,00	K.S. 210,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009, Tel. 475-8886. Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland., Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego. Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17-th St. N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich. 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut St., Philadelphia, Pa. 19103. POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, Tel. (312) 489-2554; E. I. Suszynski, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503. Tel. (213) 540-2398; Jan Wojcik, 674, Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene St., Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Cal., 94306. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748. ....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD. Tel. (01) 370 2210 .....	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241 .....	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.210; półroczna — F.115.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,20.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).



# Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

**TOM 336 i 339 — CZESŁAW MIŁOSZ**  
**DZIEŁA ZBIOROWE**  
**POEZJE**

**Tom I-szy**

Str. 292.

Cena F. 75,00.

**Tom II-gi**

Str. 240.

Cena F. 70,00.



**TOM 337 — STANISŁAW BARAŃCZAK**

**TRYPTYK Z BETONU,**  
**ZMĘCZENIA I ŚNIEGU**

Nowy tom wierszy

Str. 68.

Cena F. 25,00.



**TOM 338 — ZESZYTY HISTORYCZNE**

**ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY**  
**SZÓSTY**

Zawiera m.in. opracowania: J. Rakowskiego — *Zetowcy i piłsudczycy* (dok.); P. Wandycza — *Historia Polski od roku 1863*; Gen. M. Tokarzewskiego-Karaszewicza — *U podstaw tworzenia Armii Krajowej*; M. Trojanowskiej — *Nieudana wyprawa kurierska*; RECENZJE, OKRUCHY HISTORII.

Str. 240.

Cena F. 45,00.



**TOM 340 — MACIEJ BROŃSKI**

**TEKSTY I PRETEKSTY**

Zbiór esejów  
z dziedziny literatury i kultury.

Str. 272.

Cena F. 75,00.